

częstochowski magazyn literacki
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji "Li-TWA"



Copyright ©LITERACKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI
„Li-TWA” w Częstochowie

Redakcja:

Barbara Strzelbicka, Agnieszka Złota, Olga Wiewióra, Władysław E. Piekarski,
Jan Łączewski, Rafał Socha, Ireneusz K Korpyś.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska,
Olga Bąkowska, Alicja Nowak, Piotr Głowacki, Wojciech Grabałowski, Bogdan Knop,
Kazimierz Kowalczyk, Wojciech Kajtoch, Jacek Gierasiński, Marian Panek,
JerzyHutek,Janusz Mielczarek, Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

Jarosław Leszczuk, Władysław E. Piekarski

Druk:

Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42 – 200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl



Printed in Poland.

Wydawca

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li - TWA” z/s w Częstochowie
ul. Wilsona 8,
42-200 Częstochowa

Adres dla korespondencji:

ul. Mireckiego 22 m.43
42-206 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

alekeller@interia.pl
galeria.piekarski@gmail.com
galeria.litwa@gmail.com

www.litwa.czyst.pl

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000308140 Regon: 240938341 NIP: 9492090225
Konto: BANK MILLENNIUM 19 1160 2202 0000 0001 1690 1952

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISBN 978-83-63052-58-4

JUBILEUSZE

SŁOWO OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy „częstochowskiego magazynu literackiego GALERIA”! ... 3

WYDARZENIA

2013 Rokiem Juliana Tuwima 4

Kalendarium PAŹDZIERNIK 2012 – STYCZEŃ 2013 4

Jubileuszowa seria wydawnicza książek Andrzeja Kalinina 5

Nagroda Literacka „Li-TWA” 6

GOŚCIE GALERII

Bożena Gorska, Laurka dla Jubilatki 7

Wojciech Pestka, Mea culpa, czyli powietrzna trąba, droga mleczna i bomba .9

Prostota i neutralność – wywiad z Martą Konieczny 11

POEZJA – DEBIUT

Katarzyna Piotrowska, Wiersze 14

Agnieszka Złota, „W zakurzonych archiwach pamięci...” – o debiucie prasowym Katarzyny Piotrowskiej 16

POEZJA

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, Róża – piosenka 18

Anna Kajtochowa, Z wierszy niepublikowanych 19

Małgorzata Kościcka, Wiersze 21

Agnieszka Złota, Z cyklu „Raport o zieleni” 23

Izabela Kołdej – Ptak, Wiersze z dedykacją 24

Lech „Leszek” Grochulski, Wiersze 25

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk, Kazimierza „Stolorza” Kowalczyka Zakład przetwarzania i utylizacji słów i myśli „Stara Wierszownia” 27

Władysław E. Piekarski, Kalininowa szósta pieśń nad pieśniami nie do śpiewania .30

Wiesław „Kardynał” Wyszyński, Kalinin, Stepy Kalininowe (twerskie) ... 32

PROZA

Andrzej Kalinin, Konie (obraz trzeci) 32

Andrzej Waško, „Konie” – o debiucie Andrzeja Kalinina 48

Bogdan Knop, Ballada o czasie i miejscu 50

Piotr Głowacki, Stowarzyszenie 53

CONVERSATIO

Pisanie to ciężka praca... Z Andrzejem Kalininem rozmawia Aleksandra Keller 55

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

| | |
|--|----|
| Zbigniew Wołczyński, <i>Obrazy, obrazy i szkice z „Galerii” – moje subiektywne spojrzenie na wspomnienie z lat 1994 – 2009</i> | 62 |
| Małgorzata Franc, <i>Jubileuszowo o Galerii</i> | 70 |
| <i>Ślady w pamięci</i> | 71 |
| Aleksandra Keller, <i>Śmieszność i groza – „Ze sztambucha starego komucha” Andrzeja Kalinina</i> | 73 |
| Andrzej Kalinin, <i>Władysław E. Piekarski uhonorowany orderem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”</i> | 75 |
| Konrad Ludwicki, <i>Nieogarnialność życia w monologach (i pieśni) Władysława Edwarda Piekarskiego</i> | 83 |
| Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk, <i>Głosy do książyek przeczytanych. Glosa VII – O książce Alicji Nowak „Wczoraj”</i> | 85 |
| Barbara Strzelbicka, <i>Człowiek na rozdrożu</i> | 89 |
| Agnieszka Złota, <i>„(...) bo tak naprawdę mamy siebie i przestrzeń” – kosmiczne dylematy Magistra Witalisa</i> | 92 |

NA SZTALUGACH

| | |
|---|----|
| <i>Karol Barton – Retrospektiva</i> | 95 |
|---|----|

ŚWIAT WEDŁUG SOCHY

| | |
|---|----|
| Rafał Socha, <i>Epizod XIV: Jak zostałem redaktorem</i> | 96 |
|---|----|

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

| | |
|---|-----|
| Małgorzata Nowakowska – Karczewska, <i>Maria Konopnicka</i> | 102 |
|---|-----|

HISTORIA W GALERII

| | |
|---|-----|
| Jan Łączewski, <i>Ważniejsze rocznice historyczne w 2013 roku</i> | 107 |
| <i>Władysław Betza</i> | 107 |
| <i>Czy Polska prowadziła wojny zaborcze?</i> | 108 |

NOTY O KSIĄŻKACH

| | |
|---|-----|
| <i>Antologia wierszy poetów częstochoowskich</i> | 110 |
| Joanna Szymańska, <i>Bajeczka dla dwóch synków i córeczki</i> | 110 |
| Agnieszka Złota, <i>Studium filozofii upadku</i> | 111 |
| Jerzy Hajduga, <i>Powieki wieków</i> | 111 |

JEST JAK JEST

| | |
|--|-----|
| Andrzej Niewinny Dobrowolski: <i>Historyjka o historii</i> | 112 |
| <i>Halina</i> | 112 |

Z TEKI FRASZKOPISA W SPÓDNICY

| | |
|---|-----|
| Agnieszka Jarzębowska, <i>Fraszki</i> | 114 |
|---|-----|

NOTY O AUTORACH

| | |
|--|----|
| Agnieszka Złota, <i>Katarzyna Piotrowska</i> | 16 |
| Lech „Leszek” Grochulski | 26 |

Drodzy Czytelnicy „częstochockiego magazynu literackiego GALERIA”

W maju 2012 roku minęło pięć lat od ukazania się pierwszego numeru GALERII (maj 2007). To był dla nas radosny jubileusz, który pozwolił nam spojrzeć wstecz z satysfakcją i miłą świadomością, że pomimo wielu przeciwności istniejemy i możemy gościć w Waszych domach, sprawiając Wam przyjemność z lektury poezji i prozy publikowanej na łamach naszego magazynu.

To skromny jubileusz – zaledwie pięć lat – ale przez ten czas GALERIA wciąż ulegała metamorfozom, rozszerzaliśmy jej zawartość tekstową, zapraszaliśmy do współpracy nowych autorów, zachęcaliśmy nieśmiałyh twórców do debiutu, młodym umożliwialiśmy zaistnienie w środowisku literackim naszego regionu, a także poza nim. Dbaliśmy także o szatę graficzną, by stawała się przejrzysta, czytelna i sympatyczna dla oka. Ten proces wciąż trwa.

Oddajemy dziś do Waszych rąk 25 numer „częstochockiego magazynu literackiego GALERIA”. Traktujemy go jako swoistego rodzaju poszukiwanie nowych rozwiązań. Zmiany są znakiem czasu – konieczne i potrzebne, aby pismo mogło zaspokajać gusta literackie i estetyczne, a także przynosić nadzieję na kontynuację swojego istnienia w świadomości jego odbiorców.

Bo to Wy, Drodzy Czytelnicy, jesteście dla nas najważniejsi i z myślą o Was tworzymy każdy kolejny numer. Dziękujemy, że jesteście z nami już od pięciu lat.

25 numer GALERII jest numerem specjalnym, bo pełnym wspomnień, anegdot i tej niemal programowej „adoracji”. Tak mało dziś ciepłych słów i życzliwości. Mamy nadzieję, że GALERIA jest pismem, które pozwala Wam na chwilę spokoju, refleksji i pogody.

25 numer GALERII jest wyjątkowy z jeszcze jednego powodu – JUBILEUSZU ANDRZEJA KALININA. W tym roku wypadnie nam w okolicach późnej jesieni świętować 80. rocznicę urodzin Pisarza. W atmosferze podniosłej i uroczystej już teraz, w wiosennej aurze marca, rozpoczynamy na łamach GALERII obchody „częstochockiego” roku Andrzeja Kalinina – publicysty, członka PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a także pomysłodawcy i ojca-założyciela Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, propagatora ruchu literackiego w mieście i regionie. Przypominamy Państwu debiutanckie opowiadanie „Konie”, które ukazało się poza zasięgiem cenzury w kwartalniku literackim „Arka” w 1984 roku.

Dziękujemy Wam za wsparcie, wyrazy życzliwości i przyjaźni, które przez te wszystkie lata wyznaczały nam sens naszej redakcyjnej pracy.

Serdeczne podziękowania pragniemy wyrazić dla Panów - Jarosława Leszczuka z Drukarni „Gryf” oraz Jacka Krasuckiego z portalu *cz.info.pl* za pomoc w redakcji i komputerowym składzie numeru. Bez nich nie byłby tak elegancki.

Słowa podziękowania kierujemy także do Pana Janusza Mielczarka za udostępnienie bogatego archiwum fotografii.

Wam, Drodzy Czytelnicy, i sobie życzymy kolejnych wspólnych jubileuszy w gronie Przyjaciół i Sympatyków „częstochockiego magazynu literackiego GALERIA”.

W imieniu Zespołu Redakcyjnego



2013 ROKIEM JULIANA TUWIMA

MKiDN przeznaczy na ten cel 800 tys. złotych

W 100 rocznicę poetyckiego debiutu Juliana Tuwima rozpoczęły się w niedzielę 6 stycznia w Łodzi obchody ustanowione przez Sejm Roku Tuwima. Obchody Roku Tuwima – ustanowione przez Sejm w 60. rocznicę śmierci poety – organizuje jego rodzinne miasto – Łódź. W niedzielę zainaugurowała je impreza przy pomniku Ławeczce Tuwima przed łódzkim magistratem. Okazją była przypadająca tego dnia 100. rocznica debiutu poety – publikacji wiersza „Prośba” w „Kurierze Warszawskim” w 1913 roku.

24 stycznia miasto zaplanowało zorganizować na terenie Sejmu happening, którym podziękuje za Rok Tuwima. W najbliższym czasie mają zostać ogłoszone konkursy na plakat i logo obchodów, a także uruchomiona zostanie specjalna strona internetowa.

Planowane jest także m.in. przygotowanie wystawy multimedialnej „O gorejącej treści zdarzeń”, która ma być pokazywana w całej Polsce, ale także za granicą, koncert muzyki „Słopiewnie”, czyli poezja Tuwima w interpretacji kompozytorów XX wieku, czy plenerowy spektakl „Bal w Operze”.

Wśród innych wydarzeń znaleźć się mają m.in. przegląd piosenki aktorskiej do wierszy Tuwima, koncerty zespołów rockowych czy organizacja działań artystycznych w pociągu „Tuwim” relacji Łódź – Warszawa. Miasto planuje też odsłonięcie pamiątkowej tablicy na kamienicy przy ul. Kilińskiego 46, w której urodził się poeta.

Minister kultury Bogdan Zdrojewski zapowiedział w piątek 4 stycznia w Sejmie wsparcie organizatorów obchodów Roku Tuwima kwotą 800 tys. zł. Zapowiedział jednocześnie, że zwiększy środki na obchody pod warunkiem, że zostaną one przeznaczone „na ciekawe projekty, które będą inwestycjami w wiedzę i wrażliwość”. Jednocześnie miasto Łódź zapisało w tegorocznym budżecie 300 tys. zł na obchody Roku Tuwima.

Minister kultury chciałby ponadto, aby w Łodzi powstał – związany z Tuwimem – ośrodek, który po zakończeniu 2013 r. będzie kontynuować działalność.

źródło: www.institutksiazki.pl

KALENDARIUM PAŹDZIERNIK 2012 – STYCZEŃ 2013

- 8 października** – Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Bogdan Zdrojewski – wyróżnił Władysława E. Piekarskiego odznaczeniem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”;
- 10 października** – powołanie Olgi Wiewióry (Aleksandry Keller) na stanowisko Redaktora Naczelnego „częstochowskiego magazynu literackiego GALERIA”;
- 15-21 października** – II edycja Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj”;
- 17 października** – promocja tomiku wierszy Lecha Grochulskiego „Powiedzieć kobiecie...” (w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”);
- 24 października** – promocja tomików wierszy Olgi Bąkowskiej, Alicji Nowak i Krystyny Biskup (w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”);
- 7 listopada** – spotkanie z Tadeuszem Chabrowskim i promocja książki „Białe nieszpory” (w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”);
- 15 listopada** – promocja tomików wierszy poetów Janowskiego Klubu Literackiego (w Teatrze „S”);
- 17 listopada** – ukazała się GALERIA 24;
- 21 listopada** – promocja tomiku wierszy Jacka Gieraszińskiego „Przypowieści stracha na wróble” (w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”);
- 29 listopada** – wieczór poetycko-prozatorski „Baby rządzą!” połączony z prezentacją twórczości Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel, Izabeli Kołdej-Ptak i Aleksandry Keller (w kawiarni Pop – Art);



Foto: Miroslaw Ptak
 „Baby” – Izabela Koldej-Ptak, Elżbieta Jeziorowska-Wróbel i Aleksandra Keller podczas wieczoru poetycko – prozatorskiego, (listopad 2012).

22 grudnia – tradycyjne spotkanie wigilijne Członków i Sympatyków Towarzystwa „Li-TWA” (w Teatrze „S”);

12 stycznia – spotkanie kolegium redakcyjnego „częstochockiego magazynu literackiego GALERIA” w składzie: Barbara Strzelbicka, Agnieszka Złota, Olga Wiewióra, dr Jan Łączewski, Władysław E. Piekarski, Rafał Socha, Ireneusz K. Korpyś i rozpoczęcie prac nad 25 (jubileuszowym) numerem GALERII.

Rafał Socha

JUBILEUSZOWA SERIA DZIEŁ ZEBRANYCH ANDRZEJA KALININA – „WOKÓŁ ANDRZEJA KALININA”

Wydawnictwo Literackie „Li-TWA” działające pod egidą Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” od dwóch lat zabiegało, by wznowić wydanie wszystkich książek Andrzeja Kalinina, jakie do tej pory ukazały się na księgarskich półkach i ugruntowały pozycję pisarza w literaturze. Jesienią 2012 roku, po wielu miesiącach starań, udało się zrealizować to przedsięwzięcie dzięki wsparciu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Bogdana Zdrojewskiego – w ramach programu „Promocja literatury i czytelnictwa – Literatura”.

Wielkim orędownikiem wznowienia publikacji była Poseł Ziemi Częstochowskiej – Izabela Leszczyzna, która udzieliła projektowi wsparcia i rekomendacji.

Wydanie włączyliśmy do programu obchodów 80-lecia urodzin Andrzeja Kalinina, który mamy zamiar zrealizować przy współpracy władz samorządowych Miasta Częstochowy, Województwa Śląskiego, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także instytucji kulturalnych z regionu.

Seria dzieł zebranych Andrzeja Kalinina, którą oddajemy do rąk czytelników, składa się na bibliofilskie – jubileuszowe wydanie pod

wspólnym tytułem „Wokół Andrzeja Kalinina”. Pięcioksiąg serii zawiera w sobie następujące tomy: „...i Bóg o nas zapomniał”, „W cieniu złych drzew”, „Las wokół”, „...a życie jak rzeka”, „Ze sztambucha starego komucha”.



Foto: Aleksandra Keller

Oktładki jubileuszowej serii.

Podstawą serii jest kształt edytorski i spójna kolorystyka. Za projekt okładek odpowiadał duet: Irena Młynarczyk oraz Władysław E. Piekarski. W posłowiach przywołano słowo od Waldemara M. Gaińskiego czy zapis z „Tygodnika Literackiego” – audycji w Programie II Polskiego Radia, w którym wzięli udział prof. Tomasz Burek (literaturoznawca) i Piotr Matywicki (poeta i krytyk literacki).



Okladka „W cieniu złych drzew”.

Foto: red.

W planach wydawniczych znajduje się również książka bibliograficzna o Andrzeju Kalininie pt. „Z Kalininem o Kalininie przy kalininówce”, której autorem jest Władysław



Foto: red.

Okladka „Ze sztambucha starego komucha”.

E. Piekarski. Warto dodać, że i ta publikacja znalazła uznanie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, który wsparł jej wydanie stosownym stypendium.

Z noty wydawniczej – red.

NAGRODA LITERACKA „LI-TWA”

Podczas styczniowego posiedzenia Zarządu powrócił temat ustanowienia **dorocznej** Literackiej Nagrody Towarzystwa, którą chcemy wyróżniać twórców literatury z subregionu częstochowskiego za najlepszą opublikowaną książkę.

Wstępnie ustalono, że nagroda powinna być przyznawana raz w roku. Uznano, że trzeba należy rozdzielić wyróżnienia na kategorię poezji i kategorię prozy – przy czym do prozy zaliczono też szkice, eseje i recenzje.

Selekcja do nagrody odbywać się będzie dwustopniowo. Na pierwszym etapie członkowie Towarzystwa zgłoszą swoje propozycje. Do tych propozycji ustosunkuje się Zarząd. W przypadku trudności w wyborze Zarząd może zasięgnąć opinii spoza swego grona. Nagroda nie ma charakteru cyklicznego i jej przyznanie w danym roku może zostać zawieszona, jeśli uzna się, że opublikowane książki nie są godne wyróżnienia nagrodą Towarzystwa.

W projekcie nagroda ma mieć wymiar rzeźby symbolizującej jej twórczy i literacki charakter.

W planach jest także przyznanie nagrody postaci dyplomu honorowego lub ewentualnie niewielkiej gratyfikacji pieniężnej ufundowanej przez sponsora lub sponsorów.

W tle sygnalizowano wyróżnianie najlepszych debiutantów literackich, ale uznano że wyróżnieniem jest dla nich druk książki, a ponadto mają prawo ubiegać się o nagrodę Towarzystwa. Jednocześnie też postanowiono, że raz na dwa – trzy lata Towarzystwo będzie przyznawać nagrodę za całokształt twórczości literackiej dla twórcy subregionu w postaci rzeźby symbolizującej jej twórczy i literacki charakter, dyplomu honorowego lub ewentualnie gratyfikacji pieniężnej fundowanej przez sponsora lub sponsorów. Samo wręczenie nagrody zostanie połączone z Galą na cześć wyróżnionego.

Zasugerowano, aby wręczenie nagród odbywało się podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Pisarza.

wep

Bożena Gorska

LAURKA DLA JUBILATKI

Mam nadzieję, że to nie będzie beczka miodu z łyżką dziegciu – bo i na co komu taki „jubileuszowy” miód. W krąg „Galerii” wprowadził mnie pan Wojciech Pestka, polecając moje nigdzie jeszcze niepublikowane wiersze, w których i on sam, i redakcja dopatrzili się znamion poezji. Potem wydałam u Państwa także kilka esejów. Mój kontakt z czasopismem zaczął się od numeru piętnastego, nie mogę się zatem wypowiadać o wcześniejszych.

Stowarzyszenie wydające „częstochoowski magazyn literacki GALERIA” nazwało się dowcipnie Literackim Towarzystwem Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”. Ten autoironiczny żart językowy ma głębszą treść. Sygnalizuje bowiem, że mamy tu do czynienia z grupą dobrych znajomych, może nawet przyjaciół, zebraną wokół wspólnych celów: tworzenia literatury, oceniania jej, wydawania, ale także wymiany myśli, wspierania się wzajemnego i organizowania lokalnego środowiska literackiego. Patronuje ono również artystom plastycznym. Zarazem pełni rolę miejskiego centrum kultury. A na ile jest żywe i prężne – widać to po zamieszczonych w „Galerii” relacjach ze spotkań, imprez literackich – jak chociażby Międzynarodowy Dzień Pisarzy w Częstochowie – i towarzyskich, a nawet balów, bogato dokumentowanych fotograficznie.

Na początku listopada 2010 roku miałam szczęście uczestniczyć w wieczorze promocyjnym z okazji wydania książki pana Bogdana Knopa „Literatura prywatna i inna”. Sala Teatru „S” wypełniona po brzegi publicznością. Oryginalna formuła spotkania. I samo towarzystwo urzekające kulturą i dyskretną elegancją. Ja to nazywam przedwojennym wychowaniem. A przecież pogoda była psia – gdzie zatem kalosze, wyświechtane dzinsy i adidasy?

Potem recital pani Justyny Królak przywołał klimat Saint-Germain-des-Prés z jego naj-

lepszych lat. A uwieńczył to spotkanie turniej autorskich nalewek, gdzie w szranki stanęli głównie panowie – producenci i degustatorzy.

Skoro już mowa o nalewkach – dane mi było nazajutrz gościć w domu państwa Kalininów, zwiedzić ich „galerię w chałupie” i kosztować legendarnej kalininówki. Były tam też – jak mawiał Witkacy – „rozmowy istotne”. A dzięki panu Piekarskiemu przewędrowałam Częstochowę szlakami Poświętowskiej. W ogóle nianczona byłam wtedy przez Towarzystwo „Li-TWA” jak papież na pielgrzymce. Pobyt w takich miejscach jest jak kąpiel u czystego źródła. I jak ładowanie wewnętrznego akumulatora.

„Galeria” to nie tylko magazyn literacki, ale i grupa pisarzy – a wiadomo, że chociaż tworzy się w samotności, artysta nie powinien być mizantropem, bo rozwojowi i doskonaleniu autora służy uczciwa krytyka i wymiana myśli.

„Galeria” to także środowisko i krąg czytelnicy. A poczytać tu można nieraz rzeczy osobliwe, nieobecne gdzie indziej. Jak przekłady utworów białoruskiego poety, prześladowanego we własnej ojczyźnie dysydenta i bohatera sprawy narodowej Uładzimira Niaklajewa, wprowadzonego na łamy częstochockiego magazynu przez swojego wspaniałego rodaka, literaturoznawcę, tłumacza, Jazepa Januszkiewicza. Jak wiersze pisane podczas okupacji przez młodzieńką podówcza Beatrycze Danczowską, matkę światowej sławy skrzypaczki Kai Danczowskiej. Jak wiersze, których autorami są... uzdolnione dzieci – z Klubu Miłośników Książek i Pracy Twórczej działającego w szkole podstawowej nr 2 i laureaci konkursu „Pamięci Haliny Poświętowskiej” zorganizowanego przez szkołę podstawową nr 53. Dlaczego nie? „Wiersz o Halinie Poświętowskiej”, autorstwa czwartoklasisty (!) Piotra Węgrzyńskiego, po prostu poraża dojrzałością poetycką.

Cenię w „Galerii” otwartość na nowych autorów. Nawet na tych przychodzących „znikąd” – wszak na własnej skórze doznałam życiowego przyjęcia.

Na pierwszy rzut oka Częstochowski Magazyn Literacki jawił mi się jako zeszyt nieco zgrzebny. Aczkolwiek przepadam za niebieskim kolorem w różnych odcieniach, przyznam, że ten turkus, który w połączeniu z fakturą być może miał nawiązywać do indygo denimu, w efekcie nie zawsze wypadł szczęśliwie. W ogóle nad okładką warto by trochę popracować, podciągnąć kilka elementów graficznych, czcionkę, kolorystykę. Może, zachowując pewne cechy stałe, tworzące rozpoznawalny idiom pisma, pokusić się o zmienność kolorów tła w poszczególnych numerach. Widziałabym tu staranniejszy nadzór profesjonalnego plastyka.

Co do gatunku papieru czy poziomemu technicznemu fotografii wewnątrz – wiadomo, że redakcja zmagą się z ograniczeniami finansowymi, cóż, „tak krawiec kraje...”. Trudno mieć o to pretensje. Nie upierałabym się też co do uporządkowania pewnego ogólnego chaosu w układzie treści. Może i korzystniejsze byłoby umieszczanie publikacji w blokach, zgodnie z gatunkami literackimi bądź tematyką. Ale innym czytelnikom właśnie ta dotychczasowa swobodna kompozycja może bardziej odpowiadać, bo ma pewien wdzięk. Natomiast na pewno psuje wizerunek pisma widoczny brak rzetelnej korekty, bałagan w spisie treści, pomyłone numery stron, literówki, a bywa, że i błędy ortograficzne, wreszcie niestaranne opracowanie techniczne. I nie da się tego usprawiedliwić, że komputer pomieszał – wszak to tylko narzędzie w ludzkich rękach.

Nie rezygnowałabym z poprzedniego formatu zeszytów. Był wygodniejszy, łatwiejszy do trzymania w ręce. A przecież nie każdego stać na luksus zagębiania się w domowym czy bibliotecznym fotelu z najnowszym numerem pisma. Wielu czytelników, zdyszanych

w codziennym biegu, wykorzystuje na lekturę wolne pół godziny w autobusie.

Nie wszystkie teksty zamieszczane w „Galerii” odpowiadają moim oczekiwaniom, ale nie czuję się powołana do krytyki. Nasze opinie są przecież subiektywne. Natomiast wierzę w odpowiedzialność autorów nie tylko za każde słowo, ale i za każdy przecinek. Teksty powinny bronić się same. A ostatecznej oceny i tak dokona dopiero „przyszłość korektorka wieczna”. Dlatego podoba mi się u redaktorów „Galerii” szacunek dla autorów, objawiający się nieingerencją. To różni „Galerię” od wielu magazynów literackich. Okropne są te wszechwiedzące i wszechwładne redaktorskie ołówki. I te zastrzeżenia z góry – o skrótach, adiustacji, zmianach tytułów. Szkolno-polonistyczno-belferskie – jak do dzieci. Jeżeli coś się nie nadaje – można tego nie publikować. A skoro się już zamieszcza, trudno, całe ryzyko i tak ponosi piszący. Przecież każdy autor kompromituje się na własny rachunek. I ma do tego prawo.

Życzę „Galerii”, żeby się doskonaliła, bo warunki ma. A wszystkim Zaczynym Galernikom z Towarzystwa „Li-TWA” – radosnych jubileuszowych upojeń, do wyczerpania szlachetnych patentowanych nalewek. Piwniczki napełni się nowymi, a przecież z takiej okazji „upić się warto, upić się warto, w szynku na rynku wygłupić się warto!”

Bożena Gorska



Karol Barton, Lewitujący kubek, 95x65, akryl na płótnie.

Wojciech Pestka

MEA CULPA

czyli powietrzna trąba, droga mleczna i bomba

Powietrzna trąba

Przyznaję, nie posiadam pierwszego numeru. Mam drugi, pustą przestrzeń w miejscu na numer trzeci, mam czwarty, piąty... ale nie mam pierwszego. Jestem pewien, że ukazał się pod nazwą „LI-TWA”. Nie wiem tylko: w kwietniu czy maju 2007 roku? Stawiam na maj! Poprosił mnie o ten numer Serhij Sołowiow. Miał już jeden, a poprosił jeszcze i o mój. Rozumiem, to była ta kolejna publikacja w Polsce, która miała zmienić jego życie – ukraińskiego literata. Jego rozumiem, siebie nie. Wyszło na to, że zmieniła moje. Wessał mnie jakiś powietrzny wir i od tego czasu krążę wokół tamtego zdarzenia, wokół Częstochowy, obracam się coraz szybciej – czy tego chcę, czy nie. Chociaż myślałem w pewnym okresie mojego życia, że „to miasto” mam już za sobą.

Droga mleczna

Moment narodzin. Trzeba odbyć podróż w czasie, by rozproszyć ciemności i pokazać w jaśniejszych barwach moment, kiedy pierwszy numeru „LI-TWY” ujrzał światło dzienne. Tamta wiosna, o ile rzeczywiście była pamiętna, to zapewne ze względu na odłożony w czasie proces narastania sympatii ku Ukrainie. Jego kulminacja nastąpiła w 2007 roku. Nasi wschodni sąsiedzi zostali honorowym gościem Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie (17 – 20 maja), na fali (kto pamięta, ten wie, jaki entuzjazm wywoływała Pomarańczowa Rewolucja w Polsce) zainteresowania ukraińską literaturą pojawił się Andruchowycz, Żadan, Prochaško... Wtedy właśnie na trasie literackiego tournée dwu ukraińskich pisarzy: Serhija Sołowiowa i Serhija Ponomarenki, pomiędzy Radomiem a Krakowem pojawiła się Częstochowa. Dzień wcześniej, 29 maja o północy, z latarkami w rękach oglądaliśmy „stary” cmentarz w Jedlni, a następnego dnia w tempie istic maratonskim pokonywaliśmy „jednostkami”

trasę z Radomia do Częstochowy. Musieliśmy zdążyć z dwoma przesiadkami: w Skarżysku (opóźnienie, pociąg nieskomunikowany, ale czeka na nas) i Kielcach (znów opóźnienie, pociąg nieskomunikowany, jednak czeka). W końcu Częstochowa, jesteśmy, peron toru oporowego, na peronie osobiście Władysław E. Piekarski i Bohdan Knop, słońce. Ruch pierwszy – hotel (wiem gdzie, nie pamiętam jaki). Ruch drugi – obiad (z wszystkich dań zapamiętałem jedynie dodatki: kluski śląskie i piwo „Żywiec”). Ruch trzeci – Jasna Góra (mam zdjęcia na tle „Golgoty” Jerzego Dudy-Gracza). Ruch czwarty – godzina 19, chodnik na ulicy Mirowskiej przed Piwnicami Margaux, z teczki Władysław E. Piekarski wyciąga pierwszy numer „LI-TWY”, w nim tłumaczenia opowiadania „Żądło” Serhija Sołowiowa i fragment powieści „Siódma świeca” Serhija Ponomarenki (niestety, nie wiem który, mimo że tłumaczyłem jeden, a redagowałem drugi z tekstów) i już jest, bez fanfar i błysku fleszy, jeszcze mało kto zdaje sobie sprawę, że moment historyczny, że za pięć lat rocznica, że „niech żyje, żyje nam”... Ruch piąty – schody w dół, Izabela Leszczyna, rozmowa, atmosfera literackiej biesiady, czerwone wino, piwniczny krąg (do końca nieokreślony, może nawet i niebiański), stuk kopyt rozgorączkowanego pegaza.

Bezruch po godzinie 22 – noc. Okoliczności łagodzące: następnego dnia biblioteka Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego, później Kraków.

Bomba (siła wybuchu i rozrzut zależy od punktu widzenia)

Ten moment, kiedy pismo przekształciło się jak poczwarka z „LI-TWY” w „Galerię”, miał miejsce w okolicy trzeciego numeru. Przypuszczam, że odnotowali go tylko „Li-twini”. Czas płynie szybko. Nie wiadomo, kiedy minęło pięć lat. Jubileusz „Galerii”? W głowie się nie

mieści! Dla jednych świadczący o potencjale środowiska, dla innych zaledwie efektowne świecidełko ubarwiające krajobraz miasta, kwiatek do częstochowskiego kozucha. Jak by nie było – wydarzenie. Patrzę na rozłożone numery. Widzę, jak zmieniała swój format, przyrastała na gatunkowej wadze i objętości, jakby ta tytułowa bomba miała jakieś związki z dalszą, ubogą

krewną nazywaną czasami bombą kaloryczną. Czy nie wybuchnie przed czasem? Świat się zmienia, zmieniają się czytelnicy. Czy „Galerii” starczy sił na konieczne zmiany? Mam nadzieję. Wtedy za dziesięć lat, nie wiadomo gdzie i w jakim składzie zakrzykniemy... a jednak znów, niech nam trwa!

Wojciech Pestka



Karol Barton, Wiatrak i pelikany, 70x50, akryl na płótnie.

PROSTOTA I NEUTRALNOŚĆ

Wywiad z Martą Konieczny

Czas na zmiany! Galerię trzeba unowocześnić! Magazyn musi stać się wreszcie profesjonalnie zrobionym pismem! Takie głosy pojawiały się na forum Towarzystwa już od dawna, zrazu z cicha, by z nadejściem września ubiegłego roku stać się wymownym manifestem ogółu. To dobra deklaracja, bowiem wszyscy rozumieją konieczność wypracowania rzetelnej i estetycznej formy dla „częstochowskiego magazynu literackiego GALERIA”. Nie wszystko jednak powinno ulegać zbyt szybkiej transformacji – pośpiech nie zawsze przynosi pożądane skutki. Czasem potrzeba wielu miesięcy, aby nowe zasady zostały zaakceptowane. A niejednokrotnie samo ich wdrożenie generuje przeszkodę samą w sobie. Są jednak takie obszary, w których zmiany mogą następować bez presji wielogodzinnych dyskusji – jeśli powierzmy jej profesjonalistom. Przypominają się tutaj słowa Jana Czekajewskiego przytoczone w 24 numerze GALERII przez Andrzeja Kalinina – „Nie pamięć, nie dokładność, nie wytrwałość, ale wyobraźnia – ona jest najważniejsza” i „Dla tych, którzy chcą oderwać się od biedy i przeciętności, mam taką radę: nie wolno się dać przekonać, że coś jest niemożliwe” [A. Kalinin, *Kilka słów o autorze książki, panu Janie Czekajewskim*, GALERIA 24, s. 52.].

Dlatego zmiany rozpoczęliśmy od tego, co najbardziej zewnętrzne, bliskie oku i zdolne do koncentrowania na sobie uwagi – od okładki. O pomoc w tak spektakularnej ewolucji poprosiliśmy Panią Martę Konieczny – częstochowiankę z urodzenia, którą artystyczne poszukiwania zaprowadziły do Warszawy. Ta urodzona w 1969 roku ceniona malarka i graficzka ukończyła w naszym mieście Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Jacka Malczewskiego. W latach 1989 – 1991 studiowała projektowanie graficzne w Moskwie, następnie na ASP w Warszawie, gdzie uzyskała dyplom w 1994 roku. Specjalizowała się w ilustracji książkowej pod kierunkiem prof. Janusza Stannego. Obecnie zajmuje się malarstwem, ilu-

stracją, ceramiką i projektowaniem graficznym. Tworzy także unikatowe książki autorskie. Jej prace znajdują się w kolekcjach w kraju i za granicą, a także w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie [informacje zaczerpnięte ze strony internetowej Autorki: www.martakonieczny.art.pl – przyp. red.]. Z licznych podróży po świecie – tych bliskich i tych dalekich – czerpie nie tylko inspirację dla swoich prac, ale przywozi także pokaźną dokumentację złożoną z fotografii o niezwykłym klimacie, których autorem jest mąż – Jacek Konieczny.

W ubiegłym roku (4 XII 2011 – 31 I 2012) w Galerii Dobrej Sztuki w Częstochowie mogliśmy obejrzeć wystawę jej prac opatrzoną znaczącym tytułem „BIO – STANY”.

Ponieważ nowa dekoracja GALERII jest nie tylko kunsztowna, ale i harmonijna, poprosiliśmy Autorkę o kilka słów na temat swojej twórczości oraz samego projektu okładki.

Redakcja: Jakie znaczenie w Pani sztuce ma kolor i forma – czy jest Pani bliżej akademickiej dokładności, czy jednak swobodnego przetwarzania rzeczywistości?

Marta Konieczny: Forma i kolor to szkielet, i ciało malarstwa. Stanowią całość, muszą służyć sobie nawzajem, uzupełniać się. Jeśli to się uda, to wtedy obraz zyskuje jeszcze duszę. Nauka akademickiej dokładności to etap, który każdy malarz powinien przejść. Ja odebrałam dość surową naukę akademizmu w Moskwie, gdzie studiowałam grafikę przez dwa lata. Rysowałam cieniutkim ołówkiem odlewy gipsowe antycznych rzeźb i modele, na których widać było układ mięśni. Po tym okresie wróciłam do ASP w Warszawie i tu pozwolono mi na znacznie większą swobodę. Jednak dość łatwo można odróżnić czy swobodnie przetworzona przez malarza rzeczywistość służy uzyskaniu jakiegoś wyrazu, czy też jest to próba zamaskowania braku umiejętności. Staram się malować swobodnie, z gestem, ale często wcześniej wykonuję realistyczne szkice po to, by ręka nauczyła się najbardziej charakterystycznych dla danego obiektu kształtów.

Red.: Pani obrazy przypominają prace utrzymane w fowistycznym stylu (w pewnym sensie nakłada się też kalka z Nabistów) – ta sama niejednoznaczność funkcji koloru. Czy jest jakieś określony kierunek sztuki, z którego czerpie Pani inspirację?

M.K.: Gdy studiowałam, uwielbiałam Bonarda. Cały czas wpatrywałam się też w obrazy polskich kolorystów, zwłaszcza Piotra Potworowskiego i Artura Nachta- Samborskiego. Ale to były czasy, kiedy trzeba było pójść do biblioteki, żeby można było korzystać z ograniczonego księgozbioru i oglądać słabe jakościowo reprodukcje. Teraz, kiedy – dzięki Internetowi – mogę oglądać zbiory Luwru i najnowsze wystawy w Londynie i Rzymie, jestem „pożeraczką” wszystkiego. Inspirują mnie prace młodych artystów, którzy nadal nie porzucili płótna dla wideo i instalacji. Bardzo lubię też oglądać design, w którym królują formy zaczerpnięte z przyrody.



Marta Konieczny, Wiadomość, 60x60, olej na płótnie.

Red.: Energetyczność, dynamika, magia – niedopowiedzenie... Pani prace wydają się ascetyczne, chłodne (przez błękity i beże, rozbielone żółcie, gorzkie miody) i wbrew pozorom zamknięte, tzn. odległe, widziane z dalekiego dystansu. Ta ogromna przestrzeń rodzi poczucie wyobcowania, osamotnienia. Z drugiej strony w fakturze

farby można zauważyć bardzo regularne pociągnięcia, linie są względem siebie ułożone w porządku – ta regularność rodzi z kolei spokój. Pani obrazy są mimo czerpania z energii natury jednak pełne ciszy i spokoju, składają się nie tyle do melancholii, ile do buddyjskiej medytacji. Czy taki sposób ujmowania przestrzeni jest pewnym zamysłem twórczym, przewodnim stylem dla wystawy obrazów pod tytułem „BIO-STANY”? Czy jest Pani zwolenniczką ascezy czy też nadmiaru w sztuce?

M.K.: Nie lubię, gdy obraz zawiera zbyt wiele treści i form. Przystępując do malowania, mam jasno określony cel powstania obrazu i jemu podporządkowuję wszystkie środki wyrazu. Czasem jest to pomysł literacki, jakaś anegdota, wtedy unikam zbyt bogatego języka malarskiego. Czasem skupiam się na samym zestawieniu barw i kształtów, a wtedy nie potrzebuję już dodatkowej treści. Lubię spokój, ciszę i możliwość pracy w odosobnieniu, która jest czymś zupełnie innym niż samotność. Mieszkam na obrzeżach Warszawy i na co dzień mam kontakt z przyrodą. Codzienny, długi spacer po lesie z psami – to mój rytuał. Mam czas i możliwość, aby dostrzec życie roślin i docenić nie tylko ich urodę, ale także inteligencję, bogactwo zachowań i strategii przetrwania. Zauważyłam jak wiele wspólnych cech mają ludzie i rośliny. To znajduje też uzasadnienie w naszym języku. My także owocujemy, zapuszczamy korzenie, wyglądamy kwitnąco lub usychamy. Wystawa „BIO – STANY” opowiada o tym wszystkim. Za pomocą form zaczerpniętych z botaniki pokazuję takie stany jak nieśmiałość, ciekawość, wolność. Zachwycają też fakturę pni drzew, układem gałęzi czy nerwów na liściu. Ten zachwytać widać na obrazach prezentowanych na wystawie. Często wyczuwalny w moich pracach ład i porządek to także konsekwencja przyglądania się naturze. Może ogrodnicy, którzy walczą na co dzień o porządek na swoich rabatach i biegają z sekatorami i grabiami, nie zgodzą się ze mną. Wystarczy jednak przyjrzeć się rytmowi jaki tworzą pnie w lesie, poobserwować układ

płatków w kwiatach, by dostrzec ogromny porządek i harmonię.

Red.: Pani więzi z Częstochową są silne przez urodzenie i pierwsze kroki w sztuce – jak ocenia Pani obecną sytuację w kulturalnej przestrzeni rodzinnego miasta (np. w porównaniu z Warszawą)? Czy coś wymaga zmiany, także tej mentalnej?

M.K.: Czuję duży sentyment do Częstochowy, a zwłaszcza do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, które tu ukończyłam. Cieszy mnie, że tak bardzo rozwinęła się i rozbudowała ta szkoła w ostatnich latach. Podoba mi się też bardzo Konduktorownia – galeria Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wspomniała architektura i położenie. Dowiaduję się o licznych wydarzeniach, które często łączą sztuki wizualne z muzyką i happeningiem. To charakterystyczne dla Częstochowy, że uczniowie i absolwenci Szkoły Muzycznej i Liceum Plastycznego tworzą wspólne środowisko, co znajduje wyraz w ich wspólnych przedsięwzięciach. Od znajomych, którzy tu mieszkają, słyszę czasem, że środowiska te są hermetyczne, ale moje osobiste doświadczenia nie dają mi powodu, aby potwierdzić tę opinię.

Red.: Zmiana okładki GALERII wpisuje się w nowy rozdział w istnieniu pisma. Na czym oparła Pani projekt nowej „skóry”, czym kierowała się w projekcie, jakimi wyznacznikami stylistycznymi, krótko mówiąc jaką ideę posiada nowy projekt okładki?

M.K.: Projektowanie okładki poprzedził długi

wywiad i mnóstwo pytań z mojej strony skierowanych do redaktora naczelnego. Nie udało nam się wcześniej spotkać osobiście, więc wymiana nastąpiła drogą mailową. Chciałam jak najwięcej dowiedzieć się o oczekiwaniach i wizji. Obejrzałam także okładki innych, znanych i ważnych na rynku pism literackich, żeby wczuć się w estetykę tych wydawnictw. Zapoznałam się również z archiwum okładek GALERII. Spodobał mi się pionowy układ tytułu. To dość ryzykowne i rzadko stosowane rozwiązanie, ale przy dobrze dobranym i czytelnym kroju czcionki można uzyskać ciekawy efekt. Pionowa orientacja, umiejscowienie oraz czarny kolor tytułu jest nawiązaniem do estetycznej tradycji GALERII. Przy projektowaniu okładki niezmiernie ważny jest układ stałych elementów graficznych i informacyjnych pozwalających na zamieszczanie, w kolejnych miesiącach, różnorodnych formalnie i kolorystycznie zdjęć. Dlatego zaproponowałam bardzo przejrzystą, spokojną kompozycję z neutralnym tłem. Literactwo dobrałam tak, aby nie kojarzyło się z żadną epoką. Nie chciałam nadawać zbyt wyraźnego charakteru okładce, bo myślę, że w GALERII będziecie publikować bardzo różne teksty wielu autorów. Główne zdjęcie, które będzie wybierane przez zespół redakcyjny oraz zmieniający się kolor niektórych stałych elementów graficznych będą bliżej określały zawartość każdego z numerów. Moim celem było zaprojektowanie atrakcyjnej, eleganckiej i współczesnej szaty graficznej, która zachęci czytelnika do tego, aby chciał zapoznać się z tym, co najważniejsze – z treścią.

Red.: Dziękujemy za rozmowę i piękną



*Marta Konieczny,
Blacktree, 2x30x30, olej na płótnie.*

aka

Katarzyna Piotrowska

WIERSZE*

* * *

Uważaj, o co prosisz – prośba może się spełnić.
Z pustego nie należesz – lecz puste się wypełni.
I nie da spokoju blask czyichś oczu,
Nawet, gdy terazniejszość, trzeba będzie poczuć,
Przeżyte godziny pozostaną w tyle –
aparatus zatrzymuje czas tylko na chwilę.

* * *

Tak wiele jest rzeczy,
których nie możemy zmienić.
Bez szans.
Bez słów.
Bez myśli.
Zaklinając czas,
prosząc o spokój,
o siłę.
Tak wiele chcemy przeżyć, lecz inaczej żyć,
innym być.
W inności szczęście znaleźć
– przekonani o nieomyślności.
Tymczasem pociąg życia wciąż gna,
jeśli do niego nie wsiądziesz,
zostawi cię na pustym peronie.
Będziesz sam dźwigać swój bagaż
i nikt już się z tobą nie zamieni,
bo niewiele jest rzeczy,
które możemy zmienić.

27.06.2004 r.

* * *

biec
wybiec
nie zatrzymać się
tak serce bije
coraz szybciej
nie może zwolnić
gdzie się odwrócić
gdzie spojrzeć
gdzie nie spojrzeć – ty



Fotografia ze zbiorów Autorki.

* * *

po co myśleć o pożegnaniu?
więcej trosk stworzę
niż kryształków w twoim spojrzeniu naliczę
przysporzono nam nad głową poświatę księżycą
boję się
że pragnienie
to tylko fantom
za którym gonię
nikt mi nie wskazał wydeptanych ścieżek
i tego
jak sprawić
żebyś uwierzył
podziały wyznaczamy sami
znikną – gdy otoczysz mnie ramionami

* * *

człowiek umiera z miłości
powoli...
nie całkiem...
najpierw umierają myśli
zacierają się rozważania...
później umierają serca
kochające
wierne – już smutne
tylko pamięć nie umiera
przechowuje się w zakurzonych archiwach
i nie ulegnie nigdy wewnętrzniszcznieniu

* * *

Próżno dziś szukać Wokulskich po świecie...
Rozpłynęli się na kartach wyidealizowanych

książek

Albo zetknęli z brutalnością współczesnego życia
Nie chodzą ulicami
Nie tworzą wynalazków
Nie robią interesów
Nie budują zamków z piasku
Zamknęli swoje serca w zaginionych medalionach
I wysadzili w powietrze resztki duszy

Bo nie miał kto kochać ich czerwonych dłoni
Bo nie umiał docenić czulej pieśni serca
Bo zdeterminowanych nie wpuszcza się do salonów
Bo nie istnieje metal lżejszy od powietrza

I nie znajdzie się dzisiaj zatroskanych oczu
I ust co szepczą tylko jedno imię
I myśli...
Lecz mówią
że choć zmieniły się czasy
to ludzie pozostali ci sami
poza tym
że to co ukrywali
wypęzło z piwnicy kurtuazji

Smutek ogarnia serce
gdy pomyśleć
że ich już nie ma...

Nie ma kto kupić kamienicy za najwyższą cenę
Nie ma kto kroić ryby nożem
Nie ma...

I smutno
smutno panowie...
Budować jak oni nie chciecie
Więc nie jedna kobieta dziś powie:
Próżno szukać Wokulskich po świecie...

Tyle przewiosłowane,
że w brązowych odmętach zniknęły puchowe
góry.

Treść dnia spamiętać
i słowa do uśmiechów
i nastrój...
Do szuffadki schować,
najgłębszej...
Tylko trudno
zebrać

pochylone myśli-
nad filiżanką kawy.

Ludzie – koty*Kraków,**1.11.2010.*

Ludzie – koty
czujni o poranku

Ludzie – koty
przeciągają się leniwie pod kocykiem

Ludzie – koty
snują się własnymi drogami

Ludzie – koty
unoszą łapki w półśnie

Wreszcie
maskują się
wąsy i ogony chowają głęboko
i uważają żeby nikt nie dostrzegł
jak zamawiają mleko w dworcowym barze

Czycy

Skośnoocy
Niewysocy
Niepozorni
Nieprzystojni
Wgapiają się

Wychodzą z kryjówki —
zaspałe mrówki

Przy nosie z chusteczką
ratują się ucieczką

* * *

Zderzam się z codziennością w oczach

Ściana czarnych promieni

Mówią językami ludzi i aniołów

Zaiste obraz to tylko mgła

Twierdzenie przypuszczające

Chcieć się odsłonić i dać poznać

Jak?

Kiedy czas ucieka

Gąbką uszu chłonę każde słowo

Spojrzenie zwrotną informacją

Rozbijam się o szarą rzeczywistość

O ulotną chwilę

O obecność obok

O moment istnienia w myślach

Katarzyna Piotrowska

Katarzyna Piotrowska – urodzona w 1987 roku w Częstochowie. Absolwentka filologii polskiej i studentka III roku administracji w Akademii Jana Długosza w Częstochowie. Ukończyła Podyplomowe Studium Kwalifikacyjne Nauczania Kultury Polskiej i Języka Polskiego jako Obcego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Wiersze pisze od kilku lat. W latach 2008 – 2011 uczestniczyła w działalności SKP – „Atrament”. Debiutowała utworami zamieszczonymi w zbiorze poetyckim „Wiersze Atramentem pisane...” (Częstochowa 2011). Uczestniczy w działalności Koła Literackiego – „Anafora” działającego przy IFP AJD.

Agnieszka Złota

*Wiersze rekomendowane przez Agnieszkę Złotą.

Agnieszka Złota

„W ZAKURZONYCH ARCHIWACH PAMIĘCI...” – O DEBIUCIE PRASOWYM KATARZYZNY PIOTROWSKIEJ

Ludzkość w naszym wieku rozpadła się na jednostki...

F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*

Mimo młodego wieku Katarzyna Piotrowska patrzy na świat z dojrzałym dystansem /pociąg życia wciąż gna, jeśli do niego nie wsiądziesz zostawi cię na pustym peronie/ (***Tak wiele jest rzeczy*), podejmuje próby zaklinalnia czasu minionego (*Uważaj o co prosisz...*), chciałyby ocalić cenne wspomnienia, stąd zapewne pomysł na tytuł cyklu *Wspomnienie chwili minionej*.

W utworach zaprezentowanych w niniejszym cyklu podjęła się interesującego opisu przeżyć, diagnozy uczuć, identyfikacji introspekcyjnych prawd. Podmiot liryczny tych wierszy opisuje swoje wnętrze /boję się, że pragnienie to tylko fantom/ albo w innym miejscu /nikt mi nie wskazał wydeptanych ścieżek/. Jest to liryka bezpośrednia, w której podmiot liryczny diagnozuje swoje stany emocjonalno-mentalne przez gramatyczną formułę pierwszej osoby, choć pojawiają się również próby dystansu /tylko trudno zebrać pochylone myśli nad filiżanką kawy/.

Wiersze Katarzyny Piotrowskiej pełne są umiaru, dyskrecji i wyciszenia, dodatkowo zaś emanuje z nich ciepło wewnętrzne jej osobowości. Nie ma tutaj egzaltacji, nadmiernego patosu czy też wybujałej ekstrawersji. Tym, co mnie ujmuje w tych utworach jako czytelnika, jest rozważa i ostrożność w formułowaniu sądów, których praktyczną konsekwencją staje się poetyka zadumy nad przeszłością uwydatniająca kontemplacyjny charakter wspomnień.

Poezja Piotrowskiej oferuje nam całą paletę barw uczuć odmienianych poprzez poszczególne zaprezentowane w tym zastawieniu teksty wierszy. Pojawia się dość feministyczna diagnoza kondycji mężczyzn jako tych, którzy /wysadzili w powietrze resztki duszy/, w pogoni za spełnieniem ideału o mainstreamowym wizerunku macho tudzież twardziela-egotysty. Na tym tle niejaki imć Wokulski Stanisław stanowi dość egzotyczne zjawisko romantycznego handlowca, rycerza gotowego na wielkie poświęcenie dla ukochanej wybranki serca. Staje się również przełamaniem wizerunku amanta, który obdarzony jest w ujęciu autorki niezliczoną ilością zalet, tym cenniejszych, że przypisanych mu przez przedstawicielkę najmłodszej generacji piszących. W wierszu *Próżno dziś szukać...* Wokulski jako pojedyncza figura losu (w takim ujęciu znany jest z powieści Prusa) u Piotrowskiej podlega zwielokrotnieniu, atomizacji niemal. Mam wrażenie, że odmienia go przez przypadki osobowe różnych mężczyzn, a porównanie owo tylko potwierdza wcześniejsze przesłanki. Autorka nie poprzestaje na diagnozie niepokojącego zjawiska – chronicznego braku romantyzmu u mężczyzn, szuka przyczyn i ostatecznie je znajduje... bowiem kobiety są współodpowiedzialne za ów stan rzeczy, /bo nie miał kto kochać ich czerwonych dłoni/ bo nie umiał docenić czulej pieśni serca/. Ideał jest gotów urzeczywistnić się jedynie /na kartach wyidealiz-

zowanych książek/ a w rzeczywistości pozostaje poczucie braku uświadomionego, które rodzi smutek ogarniający serca pełne niewiary w obecność prawdziwych uczuć w świecie konsumpcji i brutalizacji form przekazu.

Podobny nastrój tworzy wiersz ****Tak wiele jest rzeczy...*, w którym Piotrowska dokonuje prób zaklinalnia czasu w dostrzegalne formuły rzeczywistości, co świadczy o głębokim jego przeżyciu i odczuciu. Podmiot liryczny prosi o spokój, siłę, wyraża potrzebę inności, w której poszukuje antidotum na melancholię i recepty na uchwytnie szczęście. Poszukiwanie wariantowości, środków wyrazu dla indywidualnej, artystycznej wyobraźni przebiega w moim odczuciu niemal symultanicznie z poszukiwaniem drogi życiowej... przez poetkę /gąbką uszu chłonę każde słowo, spojrzenie zwrotną informację, rozbijam się o szarą rzeczywistość, o ulotną chwilę, o obecność obok, o moment istnienia w myślach/ (****Zderzam się z codziennością...*).

Sztuczne ideały, powierzchowność, pozorny blichtr, iluzja szczęścia, pustka duchowa to tylko niektóre odsłony rzeczywistości XXI wieku. Autorka jak chyba niemal wszyscy ludzie pióra nie godzi się na podobny stan rzeczy. Zastanawia się nad wyborem drogi życiowej i mam wrażenie, że wybierze tę trudniejszą (wedle zasady starożytnych mędrców *per aspera ad astra*), ale wartościowszą, moralnie lepszą. A może pójdzie za tłumem...(??) Poetka jest dyskretna w tym względzie, nie sugeruje rozwiązania, podkreślając istotnościowy charakter wyboru i związaną z nim odpowiedzialność za słowo /będziesz sam dźwigać swój bagaż i nikt się z tobą nie zamieni/ bagaż doświadczeń (?), wspomnień (?), trudów (?). Poczucie samotności podmiotu lirycznego sygnowane jest przez pusty peron i obojętność krajobrazu...

Cykl *Wspomnienie chwili minionej...* reprezentowany jest przez wiersze o miłości (****Człowiek umiera z miłości/ ***Biec...*) i przemijaniu (****Tyle przewiosłowane...*). Motywy te wiążą się ze sobą dość ściśle w tej poezji, wzajemnie warunkują swoje istnienie. Podmiot liryczny ukazuje doświadczenie miłości „na własnej skórze”. Przeżycia są indywidualizowane, a poprzez swój subiektywizm

zyskują na autentyczności /podziały wyznaczamy sami, znikną gdy otoczysz mnie ramionami/. W wierszu ****Człowiek umiera z miłości...* występuje dość konwencjonalne stwierdzenie „umrzeć z miłości”, obiegowe i dość popularne. Niemniej i tym razem tworzywo podlega komplikacji. Podkreślona zostaje etapowość procesu wskazująca na ocalającą funkcję pamięci jako tej, która /przechowuje się w zakurzonych archiwach i nie ulegnie nigdy wewnątrzniszczeniu/. Zakurzone archiwa stanowią dla autorki rezerwuar pamiętek przeszłości, do których chętnie powraca myślą. Nastawienie introspekcyjne podmiotu analizuje doświadczenie „siebie w sobie”, identyfikuje siebie poprzez odczucie „bycia w świecie”. Z kolei utwór ****Tyle przewiosłowane...* przywodzi na myśl topos życia jako żegluga po wzburzonym morzu. U Piotrowskiej żegluga odnosi się do obszarów pamięci /treść dnia spamiętać i słowa do uśmiechów i nastrój... do szufladki schować najgłębszej.../. Intencjonalność wyrażona w chęci dopełnienia zamierzeń wskazuje na trudności, gdyż myśli przybierają „własny kurs”, są „pochylone”, obciążone sprawami bieżącymi (?), troskami (?). Motyw miłości ujawnia się również poprzez klaustrofobiczne niemal załknięcie, powodujące w konsekwencji natychmiastową chęć zmiany położenia (?) otoczenia (?) jak w wierszu ****Biec...* Pułapka niewłaściwie być może ulokowanych uczuć ukazuje potrzask miłości, która osacza jednostkę czyniąc ją bezwolną, dlatego podmiot liryczny próbuje się wyzwolić ze zwodniczych pęt i ostatecznie udaje mu się tego dokonać.

****Uważaj o co prosisz...* kontynuuje rozważania nad odpowiedzialnością za słowo /z pustego nie nalejesz, lecz puste się wypełni/. Jednocześnie wyraża ostrzeżenie stylizowane na język biblijnego przekazu, podkreślającego sprawczy charakter wypowiedzianych często nieświadomie słów. Pojawia się również wyraźne dążenie do utrwalenia czegoś więcej niż tylko zewnętrznych konturów rzeczywistości, bowiem autorka chciałaby (jak można się domyślać) zatrzymać nastrój, uśmiechy, słowa, czyli wszystko to, co posiada impresyjną nietrwałość i ledwie szkicuje swą obecność w przestrzeni rozmowy.

W ****Ludziach – kotach* podkreślone zostało podobieństwo wynikające z tożsamości natur obojga w aspekcie zdolności adaptacyjnych do zmiennych warunków rzeczywistości. Pozwalają one jak się okazuje tworzyć pozory prawdy na potrzeby sytuacji. Niemniej obawa przed zdemaskowaniem, strach przed byciem „sobą w pełni” ujawniają się w sposób naoczny, pozostawiając rozterki duchowe rodem ze *Zniewolonego umysłu* Miłosza (podobne rozterki przeżywali ci, którzy zmuszeni byli stosować tzw. Ketman).

Koncepcyjnym utworem są *** *Czycy...* i co ciekawe nie jest to oryginalność zaledwie na poziomie tytułu. Skrót myślowy wyraża w tym przypadku obawę przed zalewem przysłowiową chińszczyzną, będąca synonimem bylejakości, tandety i jednowymiarowości. Podmiot liryczny obawia się również zawłaszczenia kultury narodowej, agresji niemal wyrażonej poprzez nadmiar, zwielokrotnienie liczbowe /mrówki/ czynnika obcego w polskim społeczeństwie. Piotrowska definiuje Chińczyków poprzez zaprzeczenie, ucieka przed tzw. „wgapieniem się”, które – mam wrażenie – może spowodować /zniekształcenie człowieka¹. Jest to intuicja gombrowiczowska, głosząca, że /człowiek rozstrzyga się przede wszystkim w konkretnym przypadkowym zetknięciu z ludźmi/², i ustawicznie narażony jest na deformację swojej osobowości. Podobna obawa przed światową ekspansją Chińczyków zawarta jest w witkacowskim ujęciu zaproponowanym w *Nienasyceniu*.

Piotrowska w liryce stawia na refleksje oraz subtelny estetyzm, przez co jej poezja staje się wyważona i impresyjna zarazem, a jej intencjonalność ujawnia się jako odmiana żywiołu kreacyjnego. Myślę, że autorka wierszy niebawem wyłoni się zza /ściany czarnych promieni, co mówią językami ludzi i aniołów/ i ujawni się w pełni możliwości twórczych, których będziemy mam nadzieję świadkami w jej debiutanckim tomiku poezji.

Agnieszka Złota

¹ W. Gombrowicz, *Pornografia*, Kraków 1987, s. 142.

² W. Gombrowicz, *Trans – Atlantyka*, Kraków 1988, s. 129.

Fotografia ze zbiorów Autora.



Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

RÓŻA – PIOSENKA

Andrzejowi Kalininowi

cudowny kwiat
do rosarium dawnych snów
każdy z nas podąża znów

szuka go
co dnia
każdy z nas

*w każdym z nas
w każdym z nas
pierwsza miłość
cichy szept
słów przysięgi
że tylko ta
tylko ta będzie
wciąż będzie trwać
na zawsze
na zawsze już
w każdym z nas*

cudowny świat
cudowny marzeń świat...

gdziez ogrody tamte są
które się na jawie snią

szuka ich
co dnia
każdy z nas

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

Anna Kajtochowa

Z WIERSZY NIEPUBLIKOWANYCH

* * *

Wislawie Szymborskiej

Pora na „pytania
zadawane sobie”.
Pozwalałam życiu
płynąć swobodnie?
Może, chociaż
w określonym kierunku:
wiedzieć jak najwięcej,
widzieć nie tylko to
co zewnątrz. Interesowała
raczej wewnętrzna prawda
choć wiedziałam, że
jej nie odkryję
nawet w sobie. To była
wiedza intuicyjna. Teraz wiem
że po prostu żywa.
(O ile ktokolwiek może
taką prawdę kiedykolwiek
przed sobą czy kimkolwiek odkryć)
A dlaczego w ogóle jej szukałam?
Może by uniknąć pechowego przypadku,
może dla ominięcia dostrzeganych raf,
może by osiągać wytyczane cele
albo bawić się do woli filozofią?
Myśli luźno rzucone niekoniecznie
wiodą w pożądanym kierunku. Tylko
luzem puszczony koń osiągnie cel.
A że nie nasz? To też życie.
Zatem płyn sobie swobodnie.
Aż do samego końca.

21 XI 2007

Fotografia ze zbiorów Autorki.



(1928 - 2011)

Gdyby...

Gdyby jeszcze raz
przejsz bez zadyszki
tą szeroką pełną drogą
gęstwą traw dywanowo
zasłoniętą
Gdyby na wysokim wozie
wznieść się nad sianem
słońcem wysuszonym
na najlepszą paszę
Gdyby zapełnić snopkami
rude rżyska na
Krzemionce i łysinę
Działu okryć fioletem
dojrzewającej sliwki
Gdyby zważoną przymrozkiem
tarninę obrać z jej
czarnego złota
Gdyby Biskupią Górę otrząsnąć
z pokutujących wisielców
i napoić ich spragnione dusze
mgłą wiecznego źródła
w ozdrowieńczym
wybaczącym gościu
może zmalowały tęsknota
za rozbłyśniętymi skowronkami
rankiem i nocą nagle
zapadła nad uśpionym niebem
Gdyby – ono już
nie nadejdzie...

* * *

Odpływa lato w smugę
jesiennej szarugi
Tonie w szarości
ostatni uśmiech
leśnego strumienia
i cień się kładzie
na zrudziałej łące

22 V 2008

W intencji bezdomnych – prośba

W opłotkach pamięci
przebrzmiała piosenka
„nie dla mnie
uroda ulic”
gdy na chodnikach
mrowie samochodów
Jak dobrnąć
do namiastki domu
gdy sił nie starcza
wśród wiatru i śniegu
Nad miastem kołęda
niebieskich aniołów
tak pełnych nadziei
że starczy jej nawet
dla mrocznego jutra
Nadzieja jest wszystkim
co nam pozostaje
na czas zaprzeszy
i niepewną przyszłość
Ją nam przynosi
Nowonarodzony
tak samo bezbronny
jak my wobec życia
Ześlij zatem Panie
ciepło słoneczne
z nim promyk nadziei
Spraw proszę Dzieciątko
by się nam w tym roku
trochę los odmienił

9 XII 2009

* * *

Stare słowa nie umierają
paryja ruczaj jakła potok
fosa cembrowina listek leszczyna
i zawsze młoda radośnica
Tyle ich jeszcze
w dawnych kalendarzach
zapomnianych kajetach
tworzą przebrzmiały świat
Taki w którym
paromiesięczny Filip
przytuli różowy policzek
do twarzy sędziwego człowieka
co tylko ujrzanego
czuje że spotyka kogoś
kogo nie trzeba się bać
ze starego
bezpiecznego świata

Styczeń 2010

* * *

Niektóre winy
ciążą jak belka
gdy mrówka
zeszłą szpilkę sosny
dźwiga na grzbiecie
aby ją donieść
w głąb mrowiska
Tylko my już ich nigdzie
nie doniesiemy ani tym bardziej
nigdy nie zmażemy

20 I 2010

Anna Kajtochowa

Małgorzata Kościcka

WIERSZE

zagubiony

pokieroszowane ręce krwawią
chęć wygrania bitwy mąci w głowie
nim wojna wypali znamię które
nie zniknie o świcie

wyśnię chytry plan uspię czujność
broń wypłuje strzępy kłamstw
raz jeszcze coś popsuję
tym razem to nie będzie twoje życie

pytasz o mnie choć wiesz
jestem igraszką aniołów
dzieciakiem grzebiącym w pogorzelsku
mój świat trawi pustka

gwiazdy toną w kurzawie
w labiryncie myśli łatwo gubi się duszę
jedyne przeblask światła wspomnienie
twojej twarzy Ariadno

pytaj

pytaj za nas dwoje

skrzynia umarlaka

tyle co przywieziono trumnę ze zwłokami Małego
jeszcze nie pachnie ziemią. krzyż na stole obok
kontrapunktuje poziomo ułożone wielkie ciało
w mglistej poświacie lekko uchylonych zasłon widzę cień
wolno przechadzający się u wezglowia. wydaje się iż słyszę
jak szepce. dopada mnie wspomnienie z dzieciństwa.
dwaślad i kilometry wiatru we włosach. wolność.
brak wzmianki o pogruchotanym kręgosłupie. cała wilgoć

z ust

ucieka pod powieki. Chrystus przygląda się boleśnie,
lecz to nie jego twarz zatrzymam na zawsze w pamięci.
przymykam powieki. mija mnie jadąc na gumie. szczyrzy
mordę

jakby złapał Pana Boga za nogi.
pirat.

Fotografia ze zbiorów Autorki.



testerka

śmiała się że w przeciwieństwie do nas przetrwa globalne
ocieplenie. z takim garbem można przejść pustynię.

kiedy nie mogła znaleźć pracy postanowiła oszukać wszystkich
uruchamiając sex-telefon. miała piękny głos, fantazję, ciepło.
kochanków których popijała winem uśmiechając się zalotnie
do lusterka.

papierosowy dym nie drażnił spojówek aż do pierwszej
diagnozy. kolejnych naświetleń, wymiotów. tysięcy odcieni
szarości

przelanych w historię zwycięstwa.

wiosna zazieleni widok z okna. odrosną włosy. tak, teraz będzie
testować kosmetyki do pielęgnacji włosów.

matka Konstancja od sierot

ucichły falowania piersi. ciało ułożone na metalowej
tratwie.

płynie teraz ku słodkiej obietnicy, którą pielęgnowała
jak skarb.
świt przesącza się przez szpary niedomkniętych oczu.
nie łzawią, zahipnotyzowane widokiem.

uruchamiamy ceremonię- dopóki trwa nie czujemy
opuszczenia. przejmują nas detale: umiejscowienie
wieńców, niewłaściwa czerń czarnych ubrań.

mówimy o tym co zdarzyło się kilkanaście lat temu
jakbyśmy chcieli odwrócić czas. wtłoczyć tlen w zapadniętę
płuca. zbliżnić pustkę zanim otworzy się jak
stygmat.

przejdziemy do ogródka, po śladach zostawionych
wczoraj. znajdziemy bulwy które wypadły z koszyka,
bulwy przeczuwające śmierć.
i nim ziemia zdąży przyjąć owoc, otworzymy rany,
których nie będzie miał kto zacerować.
powtórnie osieroceni.

awers

nie patrzy w oczy
cudza
podobna do anioła z trawertynu
pokrytego grubą warstwą kurzu
i ptasich odchodów

czasem jednak
ogarnia mnie bolesne pragnienie
odszukania pulsu w dłoni
czegoś pomiędzy słowami
co należało jedynie do nas

w obliczu wyniosłości
obserwuję profil
nie wiemy o sobie nic

światło załamuje się
wyraźnie oddzielając rzeczywistość
od iluzji

Wywiad

to niedorzeczne a nawet zuchwałe
nie można bawić się cudzym cierpieniem
pani nie ma nawet czterdziestu lat

jest pani jak dziewczynka machająca nogami na kładce
podczas gdy my
przerastamy tkanki ziemi coraz bardziej w głąb

współczucie
raczej ciekawość
niech pani nie zapomina iż nie jesteśmy królikami
nie należy rozgrzebywać piórem
nazbyt wścibskim wzrokiem

pani ma rodzinę
rodziców babki dziadków sąsiadów i cmentarz za
rogiem
raczej niech przyniesie drinka
porozmawia o pogodzie
nawet o polityce

zaangażuje
w życie

na świecie są szczyty głębin
i wielki biznes
niech pani zostawi
starców
biednych czy kalekich również

wy wszyscy jesteście tacy sami
obnażacie niedolę pozostawiając
zawstydzoną
umierającą z głodu i samotności
na znudzonych billboardach i w niemych kolumnach
dla jakiegoś katharsis
którym narkotyzujecie się by zasnąć

niech więcej nie męczy
to się sprzedaje

w sumie jest pani urocza
tak pięknie się pani starzeje

ciepłe życzenia

w mojej głowie kwitną zielone dywany
zapach łąki otula jasne spojrzenia dzieci
trudno je pochwyć wirując w radosnej zabawie
świat wciąż tak niebywale wielki
wyciąga ramiona by uchylić nieboskłon
ku niewinnej wyobraźni

w zagajnikach koty niezmiennie przyczajone
na szare świergotanie które zerwie się do lotu
wraz z białym rojem płatków
w ciepły deszcz od spokojnych pól
potem tęcza obejmie horyzont- będą po niej
wędrować zadarte czupryny i brudne palce

a gdy słońce wypieczone jak słodki naleśnik
skryje się za wzgórzami odpłyną w głęboki sen
mali odkrywcy - papierowe łódeczki
poniosą ich ku brzegom dziewiczych wysp
gdzie każdy szlak czeka na przetarcie
każda góra pragnie być nazwana

może wystarczy jedynie kochać
by zakwitły nawet najciemniejsze głębin
a świat zrodzi się na nowo- lepszy
w blasku dziecięcych źrenic

Małgorzata Koścička

Agnieszka Złota

Z CYKLU

– „RAPORT O ZIELENI”

Krajobraz w letargu

na rozdrożu życia i letargu
 dusza rozbita o skały zwątpienia
 dogorywa w pustym krajobrazie
 bez tła i koloru
 zaczepiona włóknami
 o rafy zawiści
 usypia ostrożnie
 znużona cierpieniem
 bez świadków
 w wyhodowanym laboratorium

Lśnienie

Jakie odczucie towarzyszy jabłku
 gdy ostrze transcendencji
 w postaci noża
 ćwiartuje jego powłoki
 miażdżąc gładki miąższ
 skalpowany ze świecowatej skóry

pozostaje milcząca pełnia
 lśnienie...
 wszystkie pestki patrzą zza światów
 na agonię mistycznej pramatki

prajednia odarta z symbolu
 już nie jest tym samym owocem namysłu
 co przedtem...

Studium pleśni.

Przyczynek pierwszy

pleśń
 na rozkrojonym jabłku
 rozprzestrzenia swe rubieże
 śmiało i z fantazją
 jak pajęczak
 skwapliwie tkający

Fotografia ze zbiorów Autorki.



przemysłane kompozycje nici
 dokonuje skrupulatnego podboju
 emanuje tysiącami rydwanów
 z każdej komórki gotowej się podwoić

zdaje sobie sprawę
 że owoc nie wytwarza przeciwciał

aż wypadną oczodoły ran na podłogę
 walczy z trędotatym do końca
 do ostatniej zmodyfikowanej tkanki

odnosi zwycięstwo totalne
 obezwładnia
 wieńcząc swoje zakusy imperialistyczne
 sukcesem ideologicznym doktryny pleśni
 w postaci powstania
 ogniska chorobotwórczego

Raport o zieleni

Nawet zieleń udręczona
 obolałym spojrzeniem
 płowieje nijakością

współczując bytowi
 cierpień metafizycznych
 niedostępnych ludziom

Agnieszka Złota



Fotografia ze zbiorów Autorki.

Izabela Kołdej – Ptak

WIERSZE Z DEDYKACJĄ

Zarządowi „Li – TWY” - Żarcik

siedzą sądzą debatują
którąś ręką wymachują
chcąc przekazać ważne słowa
mądre – jak ta w lesie sowa.

Zebrań u Poetów i Prozaików

Towarzystwu Wzajemnej Adoracji...Li-Twa

debatują
debetują
czasem mówią
roz-mawiają
grupy pisarzy
roz-czochrane
roz-kochane
roz-rywkowe
ro-kokowe
ro-kowe
pracują
dryfują
wśród
słów
falują
wczorajszo
-dzisiejsi
naj-mądrzejsi

grudzień 2009

Czikita

Panu Andrzejowi Kalininowi – miłośnikowi zwierząt

psia dusza
ma wierne oczy
co rano
brzuch do głaskania
psia morda
nas nie zaskoczy
radość powrotów merdana
nosem trąca
wszędzie węszy wtrąca się
psia dusza

20.12.2009

Kusięta

wiersz dla Pana Andrzeja Kalinina

chmura z łabędzią szyją
sunie po tafli nieba
zapowiada świt
zabłysła
żarówka słońca
radosnym światłem
ogarniając świat
- jak ramieniem
zawstydzone sosny
w śnieżnych czapach
kłaniają się
raz w prawo
raz w lewo
roztańczonemu wiatrowi
a w domku
przy kominku
słysząc skaczące polana
łaskotane ogniem
i wspomnienia *Ze sztambucha*
snujące się -jak dym z fajki
- jak mgły po polach
zataczają kręgi
coraz szerzej
i szerzej

10.01.2013

Izabela Kołdej-Ptak

Lech „Leszek” Grochulski

WIERSZE

Pragnienie

Tak, abyś drżała,
 abyś grała,
 abyś dźwięczała.
 Tak, abyś płonęła
 świecą w mroku,
 abyś fruwała motylem.
 Tak, abyś spływała
 górskim strumieniem,
 rozlanym
 w nizinym rozlewisku.
 Tak, abyś iskrzyła się
 w oczach
 i na czubkach palców.

Mój wzrok na Tobie

Nie odwracaj się.
 Stoję za Tobą.
 Widzę Twoje
 pośpieszne kroki.
 Patrzę na biodra
 przyozdobione
 w dwie obłe kreski.
 Jeśli czujesz
 mój wzrok
 na sobie,
 to może
 coś
 to oznacza.

Twój zapach

Niosę na dłoniach
 Twój zapach
 - ten zapach,
 co mózg wywraca
 i podnosi
 upadłą żądzę.
 Zamykam oczy,
 dłonie dotulam do twarzy,
 by wypełnić lukę

Fotografia ze zbiorów Autora.



w godzinach
 nie wypełnionych Tobą
 do reszty.
 Niosę na dłoniach
 Twój zapach.
 Wnoszę go
 w siebie.

Jakbyś tu była

Jakbyś tu była obecna,
 zawołała mnie po imieniu...
 Jakbyś przeszła przez pokój
 i poszła dalej,
 w kuchni coś gotowała...
 Jakbyś mówiła do swoich synów,
 udzielała im rad...
 Jakbyś tu siedziała,
 piła kawę,
 uśmiechała się,
 oglądała obrazy
 Tobie ofiarowane...
 Ale Ciebie tu nie ma.

Spóźniona mądrość

Przelatujący samolot
 ceruje niebo
 białą nitką.
 W oddali
 księżyc
 jak wykrojony ręką
 pijanego szewca.
 Tam

dzieci
co myślą
już o wakacjach,
a tu
moja mądrość -
- ta mądrość
na pograniczu rozterki.
Chciałem...
Nie zdążyłem,
nie obroniłem.
Sił już nie miałem.

Twoje oczy brązowe

Poszukuję brązowych kolorów.
Doszukuję się ich:
- w wysuszonym torfie,
- w pluszowym misiu
- w sierści konia
zmęczonego gonitwą,
- w korze drzewa akacjowego
i sarence smukłonogiej.
Poszukuję brązowych kolorów,
a przecież
Twoje oczy
są brązowe.
Twoje oczy brązowe.

Wypadłaś...

Byłaś
jak brewiarz
trzymany w dłoniach
zmęczonych modlitwą.
Ufną
czytałem z Ciebie
przyszłość.
Chciałem na
czworo rąk,
cztery nogi,
czworo oczu,
a tymczasem
wszystkiego starczyło
po dwa.
I tak
wypadłaś
z moich ramion.

Przebiegłaś przez uśmiech

Mysłałem,
że jesteś
daleko,
odległa
o dni,
noce,
kilometry.
A Ty
z serca mi wyjrzałaś,
spojrzałaś na pióro,
zajrzałaś pod powieki,
przebiegłaś przez uśmiech.

Zeznanie

W tę noc
przestraszona
z księżycową
lampą
prosto w oczy.
Zeznaję
prawdę.
Tylko prawdę.
Tak,
to prawda -
- kochałem.

Lech „Leszek” Grochulski

Urodził się w 1948 roku w Kamieńcu Wrocławskim. Jego zainteresowania to: poezja, współczesna sztuka, muzyka, turystyka. Jego dotychczasowe publikacje miały miejsce w czasopismach: „Fakty – Wydarzenia” w latach 1981 – 1986, „Żołnierz Ludu” w latach 1979 – 1980, „Nike” – miesięcznik literacki w 1987 roku, „Palium” – Częstochowski Biuletyn Hospicyjny (2009), „częstochowski magazyn literacki GALERIA” (2011).

Posiada wyróżnienie w III Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim w Wieluniu (2011). W 2012 roku został opublikowany jego tomik wierszy pt. „Powiedzieć kobiecie...”.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

KAZIMIERZA „STOLORZA” KOWALCZYKA
ZAKŁAD PRZETWARZANIA I UTYLIZACJI SŁÓW
I MYŚLI „STARA WIERSZOWNIA”

Seria próbna – część druga

Panu Janowi Łączewskiemu

I.

Tak to bywa Panie Janie,
Gdy ktoś siły swe przecenia,
I zrozumieć nie jest w stanie,
Że muzyka świat odmienia,
Że łagodzi obyczaje,
A i zabić jest gotowa,
Czasem ością w gardle staje,
Albo boli od niej głowa.
Dawid, znany nam harfista,
Gdy wkroczyli Filistyni,
Rzekł – to ziemia ma ojczysta
Choć to kawałek pustyni.
Co ojczyste bronić trzeba
Choćby przyszło oddać życie,
Lepszy własny okrucz chleba,
Niż żyć w cudzym dobrobycie.
Tedy wziął harfę spizową,
Nie wziął miecza ani procy,
Najwyżej zapłacę głową,
Tak jak niektórzy prorocy,
Zapłacili gdy ich mowa
Nieprzyjaciół rozdrażniła,
Ale nuty to nie słowa
I ukryta jest w nich siła.
Gdy Dawida Goliat zoczył
To się uśmieł, do łez prawie,
Nikt mu dotąd „nie podskoczył”.
W końcu spojrział nań ciekawie,
Któż to taki z harfą idzie?
Zamiast z dzidą, zamiast z mieczem,
I rzekł groźnie – zagraj Żydzie,
To śmierć twoja się odwlecze.
I popłynęły „numery”
Znane wszystkim Filistynom
I walczyki i sztajery,

I poleczki skoczne płyną.
Gra godzinę – a im mało,
I wołają – zagraj więcej,
I grał co im się zachciało,
Aż z wysiłku mdlały ręce
I pot zrosił króla czoło.
Myśli – nie podołam więcej,
Trzeba zagrać mniej wesoło.
To ich znuży i odurzy,
Tak, że zasną jak pijani,
Jak kwiaty po groźnej burzy
W romansów nutach otchłani.
Tak to jest i jest bezsporne.
Przy romansach każdy ziewa,
Zagram durniom „oczy ciorne”,
Które znała nawet Ewa
I nuciła Adamowi,
Gdy spać nie chciał i „marudził”.
Zagram żołdaków tłumowi,
Wszak podobni są do ludzi,
Którzy słuchać mnie gotowi.
I ci zaprawieni w boju,
Utrudzeni wojownicy,
Zasnęli przy „kak was bojuś”,
Słuchać było w okolicy,
Zdrowe, żołnierskie chrapanie.
Podszedł Dawid do Goliata,
I rzekł grzecznie – pozwól panie
Zabrać miecz twój by popłatać,
Tych czerepów wstrętne mrowie,
Wszystkim – od sierżanta w górę,
Nie pomoże pogotowie,
Temu komu ja dam w skórę.
Nerwy mam niczym postronki,
A na litość niech nie liczą,
Obciąż Goliatowi członki

No i głowę – zasadniczo.
 A kolejnym tylko głowy,
 Pooddzielał od tułowia,
 Już trzechsetny jest gotowy.
 Morze krwi wśród trupów mrowia.
 Temu, co to niby drzemie,
 Pękała na części głowa,
 Dawid bił go harfą w ciemię,
 A harfa była spiżowa.
 Skończył Dawid krwawe dzieło,
 Kiedy brzask mu dzionek wróżył,
 Myśląc – Filistynów „ścięto”,
 Uciekł, zniknął gdzieś wśród wzgórz.
 Gdy słońce wyszło zza morza,
 A pustynia pojaśniała,
 Wrzasnął kapral – zgroza, zgroza!
 W nogi... i zostawcie ciała!
 I ja uległem muzyce,
 Na serio, nie bałamutnie,
 Na głęboki sen nie liczę,
 A nuż w nocy ktoś mi utnie
 Na ten przykład...nie, nie powiem.
 Możliwości są – niestety,
 Tyle ile myśli w głowie
 A wiedzą o tym kobiety,
 Niosąc nam seksu zarazę.
 Ale o tym – innym razem.

22 – 23 czerwca 2012 r.

II.

Park w kolorach, park jesienny,
 Przyciąga poetów – wieszczy,
 Toż rytuał jest niezmienny,
 Kiedy liść pod butem trzeszczy.
 Jak łamanie się opłatkiem,
 Taki dźwięk wydają liście,
 A że liści pod dostatkiem,
 To wieszcz kroczy zamasyście.
 W dole trzeszczy a nad głową
 Drzew korony ogniem płoną,
 Barwą żółtą i brązową,
 Uwagę poety chłonąc.
 Nagle bęc i wyrznął człowiek
 O alejki twardy cement,
 Bo pod liściem leżał sobie,
 Zapomniany psi ekskrement.
 Toż to ujmą na honorze,

By upadać aż tak szpetnie,
 Tak wieszcz upadać nie może,
 Jak ma upaść to szlachetnie.
 To sprawiedliwość jedyna,
 Gdy na twarz padają równo,
 I poeta i dziewczyna,
 Bo przypadkiem rządzi...kpina.

24 czerwca 2012 r.

III.

Jest taka cisza gdy westchnienie,
 Gromem powietrze rwie na strzępy,
 I w pełnym słońcu giną cienie,
 I ból jest znośny, chociaż tępy.

Jest taka mowa co chce ranić,
 A nie potrafi ginąć w śmiechu,
 Groźne spojrzenia mając za nic,
 A niechże one grzęzną w grzechu.

Są takie chwile kiedy wierzę,
 W grzechów zupełne odpuszczenie,
 Choć grzechów pełne mam sumienie.

Waszą obecność czuje zwierzę.
 Kiedy omija wilcze doły,
 Jak tu nie wierzyć w was anioły.

25 czerwca 2012 r.

IV.

Góry tchną skalnym majestatem,
 Schowały echo gdzieś po turniach,
 Jakby dumały nad tym światem,
 Milczę, bo nie chcę wyjść na durnia.

Szelest papierka od cukierka,
 Tak jak w teatrze – nastrój psuje,
 A tu świat zapach zastygł w świerkach,
 I gdzieś w piwnicach tańczą zbóje.

Chłodne perliście źródło małe
 Co od stuleci głaszcze skałę,
 Chce trzymać potok w skalnych progach.

I stąd tak blisko jest do Boga,
 Że ręka sięga po różaniec,
 Gdzie znajdę modlitw lepszy szaniec.

25 czerwca 2012 r.

V.

Do kosza złudzeń chcę włożyć nadzieję,
 Niezbyt gorącą aby go nie spalić,
 By osiąść wiedzę – gdzie się też podzieję,
 W czasoprzestrzeni, w jej jutrzejszej dali.

Do kosza złudzeń chcę włożyć marzenia,
 Lecz niezbyt ciężkie by go nie połamać,
 Które przed skwarem uciekną do cienia,
 Brak których rodzi duszy gorzki dramat.

I niosę ten kosz cierpliwie przez życie,
 A drugą ręką wspieram się na łasce,
 Niczym na śniegu niezbyt pewnej łasce.

Co raz mniej wody w mej rzeki korycie,
 Choć bywa miesiąc i syty i tłusty,
 To kosz jest lekki bo zostaje pusty.

27 czerwca 2012 r.

VI.

W „Czerwonym Młynie” zboża się nie miele,
 To wymarzone miejsce do zgorzenia,
 Wciąż takie same i tu się docenia,
 Duszą nawrócenie – bardziej niż w Kościele.

Pisany szminką i piosenką starą,
 Ten świat jest inny, jest światem ułudy,
 Gdzie żywa błaga dla zabicia nudy
 Studolarówką zapala cygaro.

W „Czerwonym Młynie” miałą moje grzechy,
 Te z pożądania i te z zaniechania,
 Bo życia w grzechu nikt tu nie zabrania.

Każdy tu szuka rozpustnej uciechy,
 Wszak jest to Paryż a nie Częstochowa,
 Mój Panie, racz mi ten sonet darować.

27 czerwca 2012 r.

VII.

Poranek dziś się zbudził zły i bez humoru,
 I z oczu zachmurzonych rzucił krótkie błyski,
 Wiatr, z początku szepczący, nabierał wigoru,
 I drzewom głośno huczał, że koniec ich bliski.

Przygiął drzewa do ziemi, pędził ciemne chmury,
 Do łez je doprowadził, dużych jak fasola,
 Z łez gęstniejących uszył woal szarobury,
 I szczerze nim otulił pół miasta i pola.

Poranek się nie godził z taką samowolą,
 Gromkim traskiem swój sprzeciw oznajmił wiatrowi,
 Rozgniewani za bary wziąć siebie gotowi.

Aż w końcu pogodzeni, każdy ze swą rolą,
 W tym teatrze natury, który nie zna końca,
 Rozbudzili mnie całkiem promykami słońca.

28 czerwca 2012 r.

VIII.

Słońce minęło zenit jak zegar dwunastą,
 I nabiera gorączki, tak że ledwo dyszy,
 Zalewa nią powietrze a nim całe miasto,
 Prześwietlone na przestrzał i tonące w ciszy.

I faluje powietrze nad czarnym asfaltem,
 I zmienia, to co widzę, w posrebrzane morze,
 Które jakby szumiało niesłyszalnym altem,
 Jakby nad nim ktoś rozpruł z ukropem przestworze.

A na żadnym podwórku nie uświadczysz kota,
 Chociaż jest on wśród zwierząt wybitnym piecuchem,
 Na garnku śpi leń strzygąc co najwyżej uchem.

Omdlałe georginie zwisają na płotach,
 Wycierając pot z czoła poszukując cienia,
 Który gdzieś się zapodział w zimowych marzeniach.

28 czerwca 2012 r.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

Wiesław „Kardynał” Wyszyński

KALININ

(wiersz pīpdolnīęty)

Kusięta są Jego ostatnią Ojczyzną
może pierwszą nie wiem
jakie to ma znaczenie w obliczu
Boga i gęby Andrzeja który rano
wychodząc na gumno aby oddać moc
widzi *Park jurajski* będąc dinozaurem
wszystkich literatów mocno pīpdolnīętych
i jest własnym Stwórcą oraz Katarzyny

A jest co oglądać z Jego perspektywy
widać Bóg przychylny jest Jemu nad wyraz
z wyrazem zazębia się zatrybia
frazę że tak powiem trywialnie
i frazeologicznie Jurandem jest z Kusiąt

Lecz jak frazesów uniknąć mówiąc o
demiurgu który porusza mnie do kości
rzucone o Rubikon lub o rzekę Ob
albo na Wisłę powiedzmy w Zawichoście

Innymi słowy by unikać rymu
którego nie znoszę święty Boże mój
tymu Jędrzejowi z Jędrzejowa tymu
już mi cierpliwości nie staje i pip

Niech się dowiedzą ludzie co mi tam
a niech mi zwisa co nieco i powiewa
jak o Andrzeju wali z Ghany tam-tam
a miało nie być rymu więc go nie ma

I co tu gadać żeby nie przegadać
tematu tabu nie czyniąc z Kalinina
jać nie poradzę kur(pip) trudna rada
i kur(pip) kur(pip) znowu rymu ni ma

Natenczas Wojski chwycił róg bawoli
na taśmie przypięty od L. Podbipięty
i teraz rym będzie – niech się od(pip)doli
jak ja się od(pip)dalam mocno (pip)dolnīęty

Adam Mickiewicz & Wiesław Wyszyński
(spółka z nieograniczoną nieodpowiedzialnością)

STEPY KALININOWE (TWERSKIE)

Wpłynąłeś na suchego oceanu przestwór,
W jurną Kusiąt zieloność i jak łódka brodzisz;
Wśród fali łąk jurajskich, w czas polskiej powodzi.
Powodzi się Jędrzejom oraz ich Królestwu.

Tam ci zmrok nie zapada, wszędy świeci zorza –
To gwiazda Katarzyny mrok roztrąca gumna.
Jak Luna świeci luną od Bieszczad do morza
Na stolcu Kalinina. Krasna, dumna, umna.

Przystańmy, czas się napić! Już żurawi klangor
Obwieszcza nam tę porę poetom dokoła.
Nawet motyl po trawie idzie w białe tango

I szczytów twoich piersi dotyka gołych zgoła.
Czy słyszysz? W takiej ciszy świerszczyk jest
balangą –
Pornołem sitwy z Litwy. – Walmy, nikt nie woła!

Postscriptum: *Niejedna rzekła Telimeny mrówka:
Nie masz jak jej dupa i Kalininów-
ka.*

*Walmy więc. Ergo bibamus!
Co znaczy to samo,
Ale goethowsko czy mickiewiczowsko
Smakuje inaczej. Allegro vivace!*



Foto: A. Keller

Kalinina lektura do poduszki... – hmm?



Foto: A. Keller

Zaiste, ciekawa w treści!

ANDRZEJ KALININ

KONIE*

Obraz trzeci

Zima, proszę pana, taki ma zwyczaj, że niejednakowo na świat przychodzi. Raz leniwa ona, nieśpieszno jej, innym znowu razem, wcześniej obudzona, jak burza gwałtowni spada i po świecie buszuje. Nikt jej jeszcze nie spodziewał si, a ona już jest. Tamtego roku, tak oto wcześniej na świat przyjść zapragnęła. Pierwsza moja zima na syberyjskiej ziemi. A pan wiesz, co to jest zima? Głupio ja zapytał si, co? Toż pan w Polsce żyjesz, gdzie zima co rok, jak jej Pan Bóg nakazui, przychodzi. Bywa, że mróz złapi i nawet dziesięć stopni na termometrze pokaże. A bywa też, że śnieg ziemię całą na biało przyprószy. Bywa tak! Tylko że to wcale nie jest zima. Nigdy żeś pan pewni prawdziwej zimy nie widział i nie wiesz pan, co ona z człowiekiem zrobić potrafi. Ja też, do tamtego roku nie wiedział wcale, co tak naprawdę słowo to oznacza. Teraz już wiem.

Zima, panie, jest dopiero wtedy, gdy ptaszka nagli z dziupli albo gniazda spłoszona pięciu metrów nie uleci, tylko ścięta mrozem na śnieg upadnie. Albo gdy pan spluniesz, gardło chcący oczyścić, to na ziemię spadnie grudka zamrznętego lodu. Bywało, że w nocy na równe nogi zrywali my si, taki huk, taka kanonada była, jakby gdzieś blisko armaty walili. Musi, że wojna wybuchła, myśleli my wtedy. A to, panie, mróz ścisnąwszy na lód soki, co w drzewach byli, stuletnie pni rozsadał. Małoż to widziało si ludzi, co uszu, co nosa, co palców nie mieli, mrozem siarczystym odpadniętych. Nie czui się wtedy nic. Najpierw zimno, potem cieplej robi si, a dotkniesz niechcący ucha, nosa, palcy, a odpadną oni, jakby szpilkami przypięte byli. Rany tylko po tym długo goić si nie chcą gangrenę często powodując. Mróz, panie, straszna rzecz. A do tego śniegi przeogromne, czubków drzew sięgające. Wszędzie białe i sine, gdzie okiem ogarniesz. I takie właśnie zimę miał ja już w parę miesięcy po tym, jak mnie do tego łagra przywieźli. W takie zimowe pore najłatwiej było jakieś dodatkowe ciuchy na marznący grzbiet zorganizować, bo sowieckie obozy żadnej odzieży nie dawali. Ot,

w czym cię na zsyłkę zabrali, w tym musiałeś chodzić. Takie tam zwyczaj panowali. W zimie więc jakieś dodatkowe łachy zdobyć było najłatwiej. Trzeba było tylko w tym celu dobrze rozglądać si dookoła i innym więźniom wyprzedzić si nie dać. Ot, było, że zwali kogoś zima i na śnieg położy. Codziennie padali ci chorzy, głodni, wycieńczeni, co swoi normy w roboci wykonać nie potrafili i kruszać nie dostali. Wtedy takiego podciągało si w stronę swojego drzewa, które akurat ścinało si, i niby udzielając mu pierwszej umiarkowanej pomocy, sprawdzało si, czy tamten człowiek żyje jeszcze, czy też mróz życi z niego doszczętni wypędził. Później, gdy robota kończyła si już i do baraków iść przyszła pora, w blasku dopalających si ognisk, widziało się, i tu, i tam, i tam jeszcze, gołe ciała niewolników ze wszystkich ciuchów rozebrane. Ot życi, panie. Ot życi. Ci, co obozu i mrozów nie wytrzymali, swoimi ciuchami innym pomagali przeżyć

W ten dzień, gdy zdarzyła si ta historia, którą dzisiaj zamiarui panu opowiedzieć, mróz jakby zelżał. Ci, co po oddechu odróżniali go lepiej niż sam Celsjusz, gadali, że nie było go więcej jak czterdzieści. Ciepło siewodnia, mówili. Więcej jak czterdzieści mrozów nie ma. Powietrze było czyste, przejrzyste, a w całym lesi słycać było tylko uderzenia siekier o zamrznęte pnie drzew i postękiwania tych, co je ścinali. Ot, zwykła robota, jak na powalce lasu bywa. Mrok, ten pierwszy, jeszcze cienki i blade czał si już w krzakach i ostępach i pomału na las nachodził. On to właśnie sprawił, że coraz wyraźniej widać było małe ogniska przy każdym drzewie palące si dla ogrzania rąk i oświetlenia rąbanego pnia. Cały las, jak okiem ogarniesz, w takich ogniskach nachodził si. Ci, co silniejsi i swoi kubiczne normy wyrąbanego drewna wykonali, gasili już swoi ognie śniegiem zasypując i graty, znaczy topory i siekiery, do toreb chowając. Fajrant nadchodził.

Ja w tamta pora ciupał jeszcze swoi drzewo, bo norma, panie, rzecz święta, znaczy sowiecka. Normy nie wykonasz, jeść nie dostaniesz. A bez

jedzenia jutro znowu normy nie wykonasz i kuszat nie budiesz, aż osłabniesz tak, że któregoś tam dnia padniesz przy swoim drzewie i już ci będzie obojętne, kto i dlaczego za życia jeszcze ciuchy z ciebi ściaga.

Tak i ja, w tamta pora, pomyślawszy sobie o tym wszystkim, drzewo swoi z całych sił okładać zaczął, byle tylko normy dociągnąć i na żarcie zasłużyć. Ręce mnie grabieli. Siekiera w nich ślizgała si, bo pień drzewa twardy, na kość przez mróz skamieniały. Machał ja więc toporem z zawziętością wielką, aż ciepło mnie si zrobiło i od tego ciepła ode mnie promieniującego, wszy, co pod ciuchami spali, pobudzili si nagle i jeść zapragnąwszy, pod pachami, w kroku i po piersiach gryźć zaczęli.

Małe, panie, te wszy, a jak one jeść człowieka potrafią, ho, ho. Ko-go oni nie gryźli, ten wiedzieć nie może. Przerwał więc ja robotę, rękę za pazuchę wsadził i dawaj ciało pazurami rajbować. A nie była to łatwa sprawa, drapanie takie, bo co raz palce o ropień jaki albo o wrzód wezbrany zawadzali ból ogromny powodując. Do tych ropieni wszy jak do wodopoju szli. Więc drapał ja si ostrożnie, tu słabiej, tam silniej, uwagę całą skupiający, i wtedy własni usłyszał to wołanie. Ktoś, coś z dali wołał. Zrazu nie zmiarkował ja, co ono oznaczało, bo z głębi lasu dobiegał, ale powtarzali je ci, co byli bliżej i jeszcze bliżej, aż zrozumiał ja w końcu, co ludzi wołali.

- Naczalstwo jedzi. Wnimanie!

Naczalstwo jedzi, to tak jakbyś pan usłyszał, że sam ancychryst do lasu schodzi. Pan si pewni dziwisz, że nas tak przestraszyło wtedy naczalstwo jadące. Pan już w innych czasach żyjesz i naczalstwa bać si nie musisz. A mnie ono do dziś, nocami budzi. Tamten łagierny strach, ostał we mni jak pamiątka z tamtych lat.

Więc gdy po lesi ta wiadomość o nadjeżdżającym naczalstwie rozeszła si, ci, co już siekiery swoi pochowali, rychło na powrót powyciągali je i dawaj nimi drzewa, co też na śmierć skazane już byli, okładać. Zaczął i ja swój pień rąbać, ale przezorni to czynił, z twarzą zwróconą w stronę wąskiej dróżki, co między drzewami wiła si, gdzieś w dal leśną prowadząc. Stamtąd powinni nadjechać.

Zrazu nic nie było widać. Ot, radziecki lud roboczy swoją robotą zajęty, ot, głos toporów o drzewa stukający i nic więcej. I wtedy właśnie w te jednostajne, tępe odgłosy siekier wlecieli nagle jasne, wesole głosy dzwonek przy saniach będących. Byli to dźwięki coraz wyraźniejsze, coraz głośniejsze i coraz bliższe. Teraz siekiery zaczęli pracować szybciej, a rozbiegane ze strachu oczy robactwa ludzkiego spoglądali to w te, to w insze stronę, z której to sanki wjadą.

Tak i wjechali one. Widział ja już je dobrze, bom wnet szron z oczu rękawem zgarniał, żeby lepiej zobaczyć naczalstwo jadące. Właśni oni z lewej strony w przesiekę wjechawszy między drzewami mnie zamigotali. Na mgnienie zobaczył ja para chudziuteńkich koni i tych, co w saniach siedzieli. Było ich trzech. W futrach, długich kozuchach, w puszystych na głowach papachach, do których duże, czerwone gwiazdy poprzypinane byli. Jechali z góry szkapy głośnym pokrzykiwaniem popędzając. Zmęczone koni parą buchali i pyskami trzęśli. Właśnie w tym momencie, z górki w ostry zakręt wjeżdżając, sanie nagle przechylili si i na jednej płozie stanęli. Ci w sankach na bok polecieli, a zaraz potem sanie na bok upadli. Przerwał ja ciupanie drzewa, stanął i patrzył. Koni, szarpnięte upadającymi saniami, nagle zachwiali si, jednego z nich dyszel na ziemię przewrócił, a drugiego ten pierwszy siłą swoją na śnieg obalił. Leżeli teraz tamuj wszystkie: koni, sanie i naczalstwo. Na ten moment las cały zamarł i ciszą si wypełnił. Ludzi wokół stojący w milczeniu patrzyli na tych, co z sanek wypadli, a oni chwilę jeszcze na śniegu leżeli sobi, sztucznym śmiechem bawiący si, jakby na kuligu byli. Koni przestraszone szarpali si, kopytami śnieg orając, jakby z ziemi powstać chcieli, aż wreszci zmęczone i zrezygnowane zamarli wnet nie ruszając się wcale. Tylko para z nich buchala, takie zmęczone byli.

Trwało to wszystko niedługo wcale, ale widział ja to dokładni, na skraju lasu stojący. Widział tych trzech, jak z sanek gramolili si, papach z czerwoną gwiazdą wokół siebie szukający. Ten główny komandir pierwszy na nogi stanął i rękawicą śnieg z włochatego futra otrzepywać zaczął. Obok niego stanął ten drugi i zaraz temu głów-

nemu futro ze śniegu pomagał oczyścić. Klepali si teraz na środku polany stojąc, aż doszedł do nich ten trzeci, coś sobi tamuj powiedzieli i potem rozejrzeli si dookoła, to na koni leżące, to na sani, to na niewolników spoglądając.

A ludzi stali w bezruchu, jak wrośnięte, niby te drzewa tamuj oszronione Małe ogniska wokół palone cienie rzucali i podświetlali krzaki, że zdawało si nawet, że nagle w lesi drzew przybyło i ludzi.

Wnet jeden z naczelników odwrócił si od komandira swojego i przyłożywszy do ust dłonie w skórzane rękawice odziane, krzyknął w las głośno i donośnie, jak na polowaniu czyni si.

- Rebiata, hej, rebiata! Pajdi wsie! Pajdi!

Cisza, co była wokół, krzyk ten podniosła i od drzew odbiwszy kilka razy powtórzyła... Rebiata, hej rebiata – pajdi, pajdi, pajdi...

I ruszyło, panie, robactwo ludzkie na ratunek swojemu naczalstwu. Kto był w lesi, jak stał, rzucał siekierę i ruszał. Prawie wszyscy, bo wszyscy chcieli być gorliwe i na nagrodę u komandira zasłużyć. Zaraz do sanek dopadli, dziesiątki rąk je uchwyciło. Hej, hop, krzyknęli i wnet, kolektywnym działaniem sani z powrotem na płozy postavili.

- No i w parjadku - zawołał ktoś wesoło.

Inni potwierdzili, że tak toczna, w parjadku, ale nie było to, panie, wszystko w parjadku. Nie było. Bo koni. Koni z ziemi nie wstawali. Ciągłe leżeli tamuj na śniegu, bez ruchu, jakby przegrane już i pogodzone ze swoim końskim losem byli. Uprząż mieli pokręconą, kopyta w nią wplątane i tylko para ciągle z nich buchała, a czterdziestostopniowy śnieg, co pod nimi był, topniał teraz w ciemnych, brudnych plamach wody. Kilku niewolników zaczęło na nie krzyczeć i kopać je szmacianymi butami, ale oni wstać nie chcieli, albo nie mogli już, kto ich tam wie. Leżeli dalej, łby tylko czasem z wysiłkiem dzwignające. Zdawało si, że nikt ich w tamta pora z ziemi podnieść nie zdoła.

- Pastojcie! - zawołał wtedy jeden z tych, co w sankach siedzieli - pastojcie, ja sam.

I rozstąpili si niewolnicy, a on uniósł z ziemi leżący tam bat masywny, radziecki, z rzemieciem grubym, na którym supły byli powiązane,

żeby mocniej bolało i dawaj te koni okładać. Panie, jak on je bił. Po karkach, po głowach, po oczach. Musi, że wprawiony do tej roboty był, bo walił i walił jak opętany. A koni? Koni szarpali si, targali, ale z ziemi wstać nie mogli w uprząż zaplątane.

Musi, że to koński nieposłuszeństwo, rozsierzdziło go bardzo, bo wnet w rozkroku szerokim stanął i od nowa za katowanie tych koni si zabrał. Czapka-papacha przy tym z głowy jemu spadła i czerwoną gwiazdą w białym śniegu zaświeciła. Ale on nie zważał na to wcale a wcale, batem swoim zajęty.

A koni biciem przestraszone w pierwszej chwili z ziemi powstać chcieli, ale widać nie mogli, bo krew im z poprzecinanej skóry oczy zalewała tak, że oni nie wiedzieli już, czy leżą na śniegu jeszcze, czy wstali może i za co na nie te ciężki razy spadają. Szarpnęli si jeszcze parę razy, a potem jakby już byli na śmierć zakatowane bez życia leżeli, na bicie nieczułe, w krwawych pręgach całe.

Nie wiem, panie, do dziś, co si ze mną w tamta pora stało. Ta widział ja już bitych i katowanych ludzi w Związku Sowieckim będąc. Widział i to nieraz. I wtedy stał tylko i patrzył bezradny, bez uczuć żadnych, strachem tylko śmiertelnym porażony. Nagle jak ja te koni pobite zobaczył, coś mnie za gardło chwyciło, szum jakiś w mózgu powstał i myśli wszystkie z głowy mnie odeszli het. Wnet skoczył ja do przodu siekierę w rękę trzymający, nie wiedzieć kiedy dopadł tego bijącego koni i z całej siły, jaka jeszcze była we mnie, popchnął go tak, że tamten wielki, wyzarty chłop w pierwsze krzaki, co przy drodze byli, upadł jak długi.

- Czego bijesz gadzinę? – usłyszał ja nagle swój głos. Czego bijesz? Ona nie winowata. Ludzi bij!

Boże mój jedyny. Jak ja się wtedy tego swojego głosu przestraszył. Jak z miejsca otrzeźwił. W ciszy, co teraz w lesie zrobiła si, słyhać było nawet leącą siekierę, co z rąk mi wypadłszy w śnieg wpadła. Stał ja teraz zdrętwiały ze strachu, po ludziach, co byli wokół, rozejrzał si bezradnie i nic już nie wiedział, tylko słyzał te ciszę, te straszna ciszę, co wszędzie była. No to si stało – pomyślał nagle. Teraz to on mnie zabije.

Chryste Panie. Toż on mnie zabije. Zastrzeli tym wielkim naganem, co go ma za pasem do kozucha przytroczony. Z siekierą na prawowitą sowiecką władzę. Za to ukatrupi na pewno. A on podnosił si właśnie, niezdarne z ziemi wstający. Spojrzał ja znowu na te pokrwawione koni i nie wiem, panie, czemu? Może tak przed śmiercią bywa. Czy mi czymś czarnym zasłzi i pustka wokół mnie zrobiła si zupełna.

Nie pytaj si pan, dlaczego ja w tamta pora do tych koni leżących dopadł i w nich ratunku szukał. Nie pytaj pan, bo sam nie wiem. Wiem tylko, że całym ciałem, całym sobą do tego skatowanego końskiego łba przytulił si i nie wiedział już wcale, co było dalej. Co ja do tych koni gadał, co przy nich robił. Może modlił si do nich w tej chwili ostatniej. Nie wiem.

Ale strzał nie padł. Bo usłyszałbym go wcześniej, nim bym go w sobi poczuł.

Nie powiem, jak długo to trwało, to co ja panu teraz relacjonui, ale stała si w tamta pora rzecz dziwna. Koń, co prawi martwy już leżał, nagle zakrwawione oko na mnie obrócił, drgnął i przez chrapy coś rzęzić zaczął. Więc przygarłał ja si do niego jeszcze mocniej i mówić mu zaczął ciepło i serdecznie, jak do dziecka, co płaczem si zanosi i krzywdy swoi znieść nie może. W ciszy, co w lesie była, musi, że słycać było mój głos do koni przemawiający, bo wszystkie ludzie wokół stojące zasłuchali si, dawno takiej serdeczności nie słycać.

Więc mówił ja, mówił...- Panie, skąd ja mogę pamiętać, co ja w tamta pora mówił do tych koni leżących. Mówił i już. Ale faktem jest, że ono zaczął si uspokajać, a ciarki, co po nich przelatowali, ustawać zaczęły. I teraz wydał mi si ten koń, jak ktoś bliski, serdeczny. Może dlatego, że tak samo jak ja po radziecku sponiewierany był? Wtedy zrozumiał ja nagle, że on też czui tak samo jak ja, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Ja si mogę panu przysięgnąć, że ten koń musi z Polski pochodził, bo wszystko, co ja do niego gadał, rozumiał dobrze. Może w tamta pora, mowy polskiej słuchając, łąki nad Niemnem jemu przypomnieli si i pan jego prawowity, co też na Syberię wywieziony został? Może tak było, skąd pan wiesz, że nie?

Tak więc, ten koń, uspokajał si pomału i jakby życie na nowo wstępować w niego zaczęło. Wziął ja go więc za uzdę i łeb mu głaszcząc, prosić zaczął.

- Ta, wstań kochanieńki, wstań, z ziemi si podnieś. Wstań, bo inaczej zakatrupię nas obu. Proszę cię, uratuj nas i wstań. Ocalenie tylko w tobi nachodzi si. Przecież żyć nam trzeba. Przetrzymać trzeba. Do Polski wrócić trzeba. Wstań, proszę cię. Wszak w mowi naszej, ojczyściej, proszę cię, wstań. Mówił ja do niego, głos zaciszając, żeby naczałstwo i kapusie nie słycałi, ale on, panie, on słycał wszystko.

I stał si wtedy wypadek do cudu podobny. Wierz pan, albo nie, pańska sprawa, ale ten koń w pewnej chwili zaparł si przednimi kopytami i próbował wstać. Nie dał rady jeszcze. Upadł z powrotem na brudny śnieg, ale ja już wiedziałem. Życie w niego wróciło si. Znowu zaczął mu podtrzymywać opadający łeb i otuchy dodawał. - Nuże koniku - mówił - zbieraj si. Jeszcze raz spróbuj. Nie damy si bolszewikom.

I on spróbował i stanął na cztery nogi, a siły polskiej tyle si jeszcze w nim odnalazło, że tego drugiego konia także do powstania z ziemi przymusił. Patrzaj pan, aż uwierzyć trudno.

Nikt mi na świeci nie uwierzy, jak ja si w tamta pora uradował bardzo. Obydwa koni jak kochanki najlepsze w pyski ucałował i z tej wielkiej radości dwa kroki do tyłu zrobiwszy wielkim krzyżem prawosławnym je pobłogosławił.

Ta daj pan spokój. Skąd ja mogę dzisiaj pamiętać, jakim krzyżem ja wtedy błogosławił? Błogosławił i już. Każdy krzyż dobry. Faktem jest, że stał ja w tamta pora i patrzył, patrzył na te koni jak na cud jaki, nagle objawiony i w tym momenci ktoś klaskać zaczął, a inni za nim też klaskać zaczęły i krzyczeć hura, hura i tym sposobem ciszę, co cały czas w lesi była, gdzieś het daleko przegnali.

Te stojące koni i te okłaski od śmierci niechybnej w tamten czas mnie uratowali. A ja, panie, ciągle stał, o całym świeci sowieckim zapomniawszy i nawet nie poczuł, kiedy od tyłu doszedł do mnie ten naczałnik, co koni katował. Wziął mnie delikatnie za ramiona i w swoją stronę pomału obróciwszy, nagle całą siłą pięścią zaciśniętą

wygarnął mnie w twarz. Poleciał ja w powietrze jak ptaszka jaka i w krzaki pod drzewami upadł. Stamtąd dopiero zobaczyłem, jak szedł w moją stronę z batem do bicia w górę uniesionym. Raz mnie zdzielił przez twarz i czoło, drugi raz przez ręce głowę zasłaniające. Nie słyszałem nawet co krzyczał, słyszałem tylko rytmiczne świsty bata, co w tamta pora na mnie spadali.

Zakatrupi - przeleciało przez głowę - najpierw skatui, a potem zakatrupi. I nic ja już więcej nie czuł, pod batem sowieckim leżący. A on bił. Walił mocno tak, że obojętność całkowita na mnie spadła świadomości pozbawiająca. I nie wiem nawet jak długo to trwało, ale ten głos to ja jeszcze usłyszał.

- Chwatit, Stiopa.

Świst bata ustał nagle. Naprzeciw mnie, obok naczelnika z batem, stał ten główny komandir.

- Chwatit, Stiopa. - wyciągniętą ręką uspokoił kamrata. - Chwatit.

Chwilę patrzył na mnie, na śniegu leżącego, a potem powiedział:

- Nu, pajdi suda.

Zerwał ja si wtedy na równe nogi. Na baczność stanął i ręce przy szwach u portek wyprostowawszy wrzasnął:

- Służę sowieckiemu Sajuzu!

- Nu da, charaszo - przytaknął komandir. - A familia wasza kak?

- Antoni Nikolajewicz Tuchoski.

- Charaszo. Zapiszi, Kostia.

Wskazał głową na tego trzeciego komandira. Ten wyciągnął z torby kwadratowy kajet, poślinił koniec ołówka i moi nazwisko smarować zaczął. Szło mu to nieskoro jakoś, że nawet sam komandir zniecierpliwiał si i poganiać zaczął. -Nu, bystra, bystra.

Już w saniach siedzący spojrział na mnie jeszcze raz, palcem zagroził i powiedział: - Zawtra pogawarim, a potem schował ich las i zakręt, co tamuj był. Jeszcze chwilę stali my w miejscu, aż odgłosy dzwonek w lesi pogubili si i dopiero wtedy każdy ruszył do swojego drzewa, żeby robotę dokończyć. Znowu las ożył uderzeniami siekier. Ale nie była to już praca. Co w drzewo uderzę, to przypo-mnienie przychodzi: Zawtra pogawarim. Strach znowu mnie wziął. Boże mój.

Co teraz stać si może? Zawtra pogawarim. Za wroga ludu pracującego uznać mogą. Z siekierą do prawowitej, sowieckiej władzy. Boże, co teraz stanie si?

Tak, panie. Nie do śmiechu ja panu istorię te opowiadam. Całą noc śnili si mnie różne katorgi, aż siły mnie opuścili i już drugi dzień bez jedzenia ja ostał si normy nie wykonujący. Koniec mój zbliżał si szybko, kroku przyspieszwszy. Tak było przez okropne dwa dni i dwie straszne noce, aż wreszci rano do powałki lasu już mnie nie zabrano. Skończyła si moja udręka, na razie. Za to szedł ja pod strażą, pod karabinem z lufą we mnie wycelowaną, do komandira, co w naszym łagrze najważniejszy był. Dzień na niebi stał jasny z mrozem syberyjskim, co Celsjusza dla niego za mało, a my szli: ja przodem, za mną strażnik i myśli już żadnej w głowie nie było. Tak człowiek sflaczał, do imentu znaczy si. Cisza szła razem z nami i tylko śnieg pod butami skrzypiał i ludzkim głosem gadał: - Na śmierć, na śmierć. Na pewną śmierć.

Najpierw to ja si tych głosów od śniegu idących strasznie przestraszył. Ale potem, czym ich było więcej, dziwnie uspokajał si. No i niech – myślał. No i naplewat. Dość tego życia podłego. Raz niech si skończy ta udręka, ta katorga cała. Niech si skończy. Niech skończy, skończy – dogadywał śnieg butami przyciskany i tak oto do kwatery komandira my doszli. Strażnik mój, kolbą karabinu zapukawszy, drzwi otworzył i do wnętrza mnie wepchnął. Nagle w twarz uderzyło mnie ciepło. Boże mój. Gdzie na świeci jest jeszcze takie ciepło? Aż zatkało mnie tamuj, kaszel powodując, a zaraz potem nos i ciało całe owionął zapach żarcia.

Chryste Panie, co taki zapach z głodnym człowiekiem zrobić potrafi. Słuchaj pan. Śliny mi pełno zaraz w gardle si narobiło. Żołądek przez szyję chciał si wydostać, a płatki w oczach to mi latać zaczęli takie duże i takie białe jak śnieg tam na dworze. W tamta pora za jedzenie, za ochłap jaki, wydałbym ojca, matkę, kogo tam pan chcesz jeszcze. Głód, panie, to niewyobrażalnie straszna rzecz.

Na moment oparł ja si na framudze drzwi, bez sił prawie, i może by nawet upadł, gdyby

nie głos komandira:

- Familia wasza?

Jak to człowiek był wytresowany sowieckiej władzy służąc. Przed chwilą przytomność ja tracił, a teraz na głos ten, strachem na bacność wyprostowany, wrzasnął jednym tchem.

- Służę Sowieckiemu Sajuzu, powsięgda.

Komandir popatrzył na mnie i powiedział:

- Ja tożę! A familia wasza kak?

- Antoni Nikołajewicz...

- Skąd na koniach się znasz?

- W Polsce za fornała u panów służył.

- Da, panimaju.

Stanął teraz przede mną i dmuchnął mi w twarz dymem z machorki w „Izwiestia” zakręconą.

- Płochu z taboj Tuchoski, płochu. Ty władzę sowiecką pobili. Oj płochu, płochu. Ty do naczalnika z siekierą, po bandycku, znaczy si. Znaczy ty swołocz, sukinsyn, burżuj jobany, ja was każu. Ja wam...

Zaczął teraz krzyczeć i linijką, co ją ze stołu uniósł, wymachiwał blisko mojej twarzy, ale nie bił jeszcze. Klął ciągle, pięścią wygrażał i pluł obok mnie ze złością. A ja, panie, stał jak wryty i nie wiedział jeszcze w tamta pora żywy czy z martwym wyrokiem z kwatery tej wyjdę.

Komandir zaś wykrzyczawszy si, chwil parę po izbie chodził, jakby wyroki w głowi ważył, i to jego milczeni wcale nie było lepsze niż tamten, poprzedni krzyk.

- Posłuchaj, Tuchoski - powiedział nagle zatrzymując si przede mną. Władza radziecka łaskawa jest. Przebaczyć umie. Winę pozwala odkupić. Znaczy proletariacka ona, znaczy sprawiedliwa i praworządna. Poniał? Ty na koniach si znasz, a koni, widzisz, Krajowi Rad potrzebne są. Oto my wszyscy nową pięciolatkę stroim. Ot i wsio. Jak dobrze służyć będziesz, winę odkupisz. A jak nie... Nu jej Bohu, sam ubiju. Smatri - dodał i przyłożył mi do nosa wielką czerwoną pięść.

- Służę Sowieckiemu Sajuzu - wykrzyknął ja w odpowiedzi. Komandir głową kiwnął i buchnął mi dymem z papierosa w twarz. No to charaszo. A teraz słuchaj. Karę ci daruję. Ale konie mają być zadbane, zdrowe i pewne jak...podniósł rękę

i pokazał nią wielki portret Józefa Wissarionowicza, co wisiał na ściani. – Jak Krasnaja Armia.

Do baraku wracał ja uszczęśliwiony. To ci koni dobrym za dobre mnie odpłacili - myślał sobi idący. Teraz może przeżyję. Nie będzi już tej cholerniej normy, co żyły wypruwa. Nie będzie zimna i deszczu. Codziennie będzi miska kaszy z funkcyjnego kotła. Teraz pewni przeżyję. Boże mój, teraz pewni przeżyję. Nie zwracał ja teraz uwagi na śnieg pod butami skrzypiący, niech tam sobi gada, co chce, teraz pewni przeżyję.

Droga do końskiej stajni była daleka, bo aż na drugi koniec łagra iść nam przyszło. I wtedy idąc tak, złapał ja si na tym, że tylko tym koniom za ocaleni dziękował. Co ty Antoś – zgał siebie w tamta pora. Bój ty si Boga, co ty, do koni si modlisz, jak poganin jaki? Durnowaty ty czy jak? Toż ci koni to takie same nieszczęśniki jak ty. Jak te ludzi tamuj w łagrze na zatracenie przeznaczone. Bogu Wielkiemu za ocaleni dziękuj. Jęgo o dalsze łaskę proś.

Tak ja, panie, wtedy si zrugął i dopiero później modlić si zaczął naprawdę, dziękczynienia składając Panu Bogu mojemu, najsampierw, że nawet do sowieckiego łagra zajrzał, ratunek mi niosąc i do Matki ludzi kresowych, co w Ostrej Bramie znajdui si, że si nade mną ulitowała. Może zapamiętała mnie, gdy chłopcem jeszcze będąc, na odpust, na kaziuki z ojcem do Wilna przyjechawszy, przed Jej cudownym obrazem kłęczałem. Może zapamiętała. Skąd pan wiesz, że tak nie było? Skąd pan wiesz? Bo ja, panie, czym jest starszy, tym bardziej pewny tego jestem.

Koński obory z pali drewnianych pobudowane byli, ale niedbale jakoś, z dziurami prześwitującymi, przez które mróz i wiatr w tę i tamte stronę przelatywali. Koni stali na uklepanej glinie, bez podściółki żadnej, zababrane i zasrane, za przeproszeniem pana, byli, jakby biegunki mieli. Żłoby byli puste. Za to koni mieli pełno strupów i ropieni różnych. Kłęska i nieszczęście jedno - powiedzieć można. Ale musi, byli to te same koni, co tamuj w lesi. Poznał ja je od razu, zwłaszcza że innych w całym łagrze nie było. Stał tak chwilę w otwartych wrotach stajni, sam w pierwszym momenci nie wiedzący, gdzie wpię ręce włożyć, żeby ten bardak do porządku

jakiegoś doprowadzić. I wiesz pan od czego ja zaczął swoją robotę? Najsamprzód to ja si z tymi końmi przywitał. Od pyska je zaszedł w oczy im popatrzył, po karkach głaskał, po polsku mówił i cieszył si tak, jakbym znowu druha serdecznego po latach żywego zobaczył.

- Zadbam ja o was, nie bójcie si, zadbam. Pożyjemy jeszcze. Zobaczycie. I do Polski jeszcze razem wrócim.

Tak ja, panie, tym koniom obiecywał w tamta pora i wierzył w to święci, że tak właśnie stanie si niezadługo wcale. Bo wiara, panie, zawsze umiera ostatnia.

Strażnik odszedł już gdzieś, a ja usiadł sobi koło końskich żłobów i wtedy usłyszał, kogoś do stajni wchodzącego. Kaszłał on tak donośnie i tak głęboko jakby mu si płuca urywali. Wstał ja wtedy i wyszedł jemu naprzeciw. I nagle zatrzymał si. Przede mną w drzwiach stała jakaś ciemna zjawa. Nie człowiek to był. Dobrze ja to powiedział – zjawa. Tyle, że mała ona była i cienka, chociaż w najprzeróżniejsze ciuchy pookręcana. Stał ja teraz naprzeciw niej i najpierw ślinę przełknął, bo oddech, co do życia potrzebny jest, gdzieś w gardle mnie si zatrzymał. Widział ja, panie, w Rosji już sporo

i zadziwić mnie łatwo nie przychodziło. Ale teraz przestraszył ja si na serio. Musi, że tak si stało, bo gęba mi si otworzyła, a oczy na wierzch wyszli. Ta zjawa w łachmany pookręcana kołyszając si z nogi na nogę, szła w moją stronę. W czeluściach szmat, co całe głowy okrywali, było coś... To znaczy, źle ja powiedział. Słuchaj pan. W tej twarzy nie było wcale nosa. Tylko rana jakaś sina, ropiejąca i głęboka. Wyżej tej rany byli oczy. Duże i okrągłe i z tą raną w jeden obraz si łączyli. Nigdy ja przedtem twarzy takiej nie widział, więc stał teraz i patrzył jak oniemiały. A te oczy szli w moją stronę i szli... Boże mój wielki. Do dzisiaj, widzisz pan, nie mogę opowiadać o tym spokojnie. Te oczy dlatego byli takie wielkie, bo powiek one nie mieli. Odpadli powieki, odpadł nos mrozem syberyjskim uszkodzone. I jakby tego wszystkiego nieszczęścia całego za mało było, wargi też jakieś dziurawe byli, za którymi sterczeli dwa białe zęby. Innych nie było.

Wszystko to obejrzał ja szybko, jednym spoj-

zeniem, to panu tak długo opowiadać muszę, żebyś pan to dobrze zobaczył. I nie kiwaj pan głową, że pan to widzisz. Nie kiwaj pan. Tego si nie da opowiedzieć ani wyobrazić sobi nie można. To trzeba było widzieć.

Więc jak panu zaznaczyłem, te oczy wielkie i niebieskie szli w moim kierunku i szli, aż zatrzymali si o jeden krok przede mną i do góry na mnie popatrzyli.

- Wy nowy do koni?

Chciał ja odpowiedzieć i nie mógł. Śliny mnie nagle zabrakło, a powieki na ten moment łzami nalecieli. Ten głos do mnie przemawiający po polsku mówił i do dziecka należał.

- Chryste Panie - wykrztusił ja wreszci. - Dziecko moje, skąd ty tu? Skąd ty si wziął?

- Ze Lwowa.

- Z Polski?

- Tak, ze Lwowa.

- A familia twoja, znaczy rodzina, gdzie?

- Nie ma już, wywieziona. A ja nazywam się Stasiu Walczak.

- Boże wielki. Stasiu, co oni z ciebi zrobili. Za co tak? Stasiu! Boże nasz. Boże nasz. Coś wtedy we mnie urwało si, panie. Jakaś nerwa chyba, bo jak ja zaczął płakać w tamta pora. Sam nie wiem, skąd si we mnie tyle płaczu wzięło. Rozbeczał si ja, rozsłochał. Za te podle życie, za te katorge, za te zmarnowane polskie dzieci, za te... Ta, panie, jak ja mogę pamiętać, za co ja jeszcze płakał w tamta pora. Płakał, i tyle. A pan słuchaj, kiedy opowiadać mam ochotę.

Wtedy, tamuj, w tej stajni stali przede mną czternastoletnie, wielkie, zdziwione oczy dziecka i wpatrywali si we mnie, starego chłopca płaczem wielkim ogarniętego. Nagle on zaczął mnie głaskać po ręce i coś do mnie mówił. A słowa jego, zrazu pojedyncze, ciche i słabe w zdania całe układać si zaczęli wielkim spokojem na mnie spływając. Zaczął więc ja brudnym rękawem mokre policzki wycierać, ale łkania, co w gardle mi gulgotało, uspokoić nie dawało si.

Tak to, panie, dziecko, mnie, silnego chłopca, w tamta pora w sowieckim łagrze mową polską pocieszało. Ot, życie sowieckie, ot życie.. Nie zwracał ja dotąd uwagi na innych, nie przejmował si zakatrupionymi, zamrożonymi,

zagłodzonymi, przez komary pożartymi. Napatrzył si, przywykł, znieczulał, uznał, że tak być musi. Ot, myśl tylko jedna w każdym z nas tu kołatała si. Przetrzeć, przetrzymać. Jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden tydzień. Jeszcze czas jakiś na cud tylko oczekując. A teraz patrząc na to dziecko przede mną stojące nagle zobaczył ja całą nędzę, całą podłość tego życia tutaj. I wiesz pan, co ja wtedy uczynił? Upadł na kolana i Stasia do piersi przytulił. Cóż chciał zrobić i za Boga nie wiedział co. I wtedy apiać rozplakał ja si znowu, rozbeczwał z całej tej bezsily, z tej bezradności, z nieszczęścia tego. A Stasiowi te oczy jak spodeczki duże nagle rosą nalecieli i broda trząść jemu zaczęła si. Cholera, panie. Nie pochlipuj pan teraz. Cicho pan bądź. Chwile pan uszanuj. Teraz płakali my obaj ze Stasiem – przytulone do siebie, jak dwie kukły z łachmanów zrobione. I stali my tak długo chyba, bo nawet koni głowy odwróciwszy w nasze stronę patrzeć zaczęli. Byli my teraz wszyscy w tej stajni stojący jak jedna polska rodzina w syberyjskich łagrach zagubiona.

Tę historię ze Stasiem pamiętam najlepiej z całej sowieckiej niewoli. Może dlatego, że do dziś, do teraz, nie mogę sobi darować, że nie dopilnowałem Stasia należycie. Zginął, panie, cicho, nie wiedzieć kiedy, z całym tym swoim zepszeconym ciałem w ciuchy okręconym i musi, panie, że do nieba prosto trafił. Bo chociaż bez winy był i życie miał czyste, to już tu, na ziemi, okrutne piekło na sowieckim zesłaniu odbył. Jak umarł? A to już insza historia, którą panu innym razem opowiem.

Na dalekiej Syberii pozostało po nim mrozem uszkodzone ciało, a we mnie widok tych przeogromnych oczu, których nawet po śmierci powiekami zakryć nie mógł.

A koni? A koni, panie. Koni jeszcze gorzej wyglądali, niż ja wtedy na leśnej drodze widział. Jeszcze gorzej. Bo wiesz pan, co oni jedli, ci koni? Latem to świec Boże, las ich wyżywił. Ale lata tam mało więc zimą dostawali oni do jedzenia igły z sosen, ze świerków, z jałowca. Krugom, codziennie to samo, nic więcej. I wyobraż pan sobi, żyli jednak. Ja też nie wiem, w jaki sposób, ale żyli.

Poszedł ja więc do naczalstwa furazu dla nich

szukać. Chodził po funkcyjnych do komandira nawet trafił i nic. Wyśmiali mnie tylko.

- Ty na koniach si znasz? - pytali si. - Igły to sama witamina, ot, co.

- Ale ci koni nie przywykli do tego - tłumaczył ja - łaki nad Niemnem dotąd jedli. Zdechnąć im przyjdzi teraz, jak obroku nie dostaną.

- Oj, durnowaty ty, durnowaty - śmiali si. - Ludzi przywykli, to i koni przyzwyczajają si.

I widać, panie, takoj było, że igły z sosen siły dają, bo koni ciągle żyli. I bądź pan tu mądry. Wyprosił ja jednak pół worka ziarna i worek słomy albo trawy nad rzeką suszonej. Przytargał to wszystko do stajni i w kącie postawił. Koni trochę ogarnał. Rany im poodczyszczał, a pod wieczór po odrobinie tego ziarna ze słomą zmieszanego do żłobów nasypał. Staś kręcił si po stajni. A ja mchem, com go naniósł, szpary w ścianach utykać zacząłem. Ciszta była wokół. Polano smolne w rogu zatknięte wewnątrz oświetlało. A w jego blasku i cieniu, co na ściani był, zobaczył ja nachylnego nad workiem Stasia.

- A co ty tam, Stasiu, robisz, a? - zainteresował si ja w tamta pora

- Chodź tu - powiedział. - Zobacz, to dobre. Najesć si można. Podszedł ja do Stasia Walczaka nad rozsuniętym workiem klęczącego i popatrzył na ziarno tam będące. Nie było ono do ziarna podobne. Czarne jakieś jak kąkol i stęchlizną zajeżdżające.

- Spróbuj - powiedział. - To dobre. Jadłem już nieraz. Żołądek napelnia i sytość daje.

Staś wyciągnął do mni dłoń, na której leżeli czarne ziarna, plewami poprzetetykane. No i zjadł ja, panie, to ziarno na ręce Stasia Walczaka podane. Najpierw parę ziarenek, potem całą garść i garść następną. Najpierw z wolna, potem szybciej, a potem garściami, zachłannie przełykając. Dopiero po paru minutach poczuł w sobi to dziwne uczucie. Wtedy nie mógł jeszcze za Boga przypomnieć sobi, jak to uczuci nazywa si. A to pełny żołądek tak działał. Siły od razu od tego przybyło, bo kiedy my konwie wzięli, żeby je wodą w rzece napelnić to i one nie wydawali si takie ciężkie. Najpierw to my tę wodę sami zaczęli pić po jedzeniu obroku spragnieni, a potem i koniom w koryta włali.

Te stali, pyski tylko w wodzie zamoczywszy, i ani jeść, ani pić nie chcieli. Cóż niedobrego z nimi dziać si musiało. Chrapy mieli rozpalone, oczy w mgle szarej i oddechy krótkie, przerywane. Musi, że chore byli.

U mnie za to i u Stasia wesołość panowała. Żołądki pełne my mieli, szpary w ścianach pozatykane. Fajno jest. Z tej rozpusty aż bekać nam si zachciało, takie gazy z żołądków nam buszowali, że aż usta trudno zamknąć było. Ale spać my poszli zadowolnione, syte, modlitwy wieczorne należycie odprawiliśmy.

Dopiero w nocy boleści mnie złapali. Cholera, panie, brzuch to mnie rozerwać chciało, a sraczka to mnie złapała najwyższej jakości – powiedzieć można. Co chwila portki ściągąć musiał, a potem to i zdążyć trudno było, tak leciało z człowieka. A Stasiowi, popatrz pan, nic. Stasiowi nic nie było. Przywykł widać.

Przez trzy dni w sracze i gorączce ja leżał do życia prawie niezdolny. I gdyby nie Stasiu, pewni krwawej dyzenterii bym dostał i na tamten świat przeniósł si, albo co gorszego. To Stasiu osobiści wszystko za mnie robił. I końmi si opiekował, i wodę nosił, i mnie chorego doglądał. Taki dzielny on był ten Stasiu Walczak.

W trzecim albo czwartym dniu zelżało trochę. Wody gorącej ja popił, miskę kaszy, co ją Stasiu przyniósł, zjadł i dopiero wtedy jako tako na nogach stanął. Tyle, że słabowity był, sił całkowicie pozbawiony. I powiedzieć trzeba jeszcze, że w samą porę ja ozdrowiał, bo gdzieś pod wieczór funkcyjny, koni pod stajnię odprowadziwszy, zapowiedział, żeby na rano gotowe oni byli, bo komandir do Rejkomu potrzebę ma jechać.

A koni w tamta pora trupy już byli prawi. Ledwi na nogach trzymające si. Wprowadził ja je do stajni, oczyścił trochę, wody do picia nalał, igieł sosnowych do żłobów nasypał i do jedzenia zachęcał. Ale oni jeść już nie chcieli. Pyski tylko w wodzie zamoczywszy stali bez ruchu żadnego, jakby zdrętwiałe byli. Stał ja obok nich, bezradny całkiem, kiedy nagle jeden z nich na przednie łapy upadł łbem o koryto uderzając. Podszedł ja do niego w oczy zajrzał i próbował go podnieść z leżących. Ale koń ciężki, a we mnie sił żadnych chorobą wykruszonych. Toteż pomyślał ja sobi

tak: Niech poleży, odpocznie, oddechu nabierze. Usiadł ja teraz przy nim i głaskać go po głowi i pysku zaczął i wtedy, panie, przestraszył si na serio. Ten koń miał takie suche i gorące chrapy, że szczapa by si od nich zapaliła. Skoczył ja wnet do drugiego konia i dotykał mu pyska i nozdrzy z wielką dokładnością je badając. I był już pewny w ta pora, że koni mieli nosaciznę. Boże drogi. Znaczy i na nie ostateczny kres nadszedł w ta pora. No to nacieszył si ja robotą przy koniach. Nacieszył si. Jak oni zdechną. Boże drogi. Jak oni zdechną, tak i mnie za karę na powałkę lasu wrócą. A tam mój koniec przyjść musi, bo nie przetrzymam ani zimna, ani głodu ani ciężkiej roboty. Czuł ja wtedy prawie instynktem, że takoj stanie si, jak amen w pacierzu. Miał ja pożyć, i widać nie pożyję. Cały ratunek w tych koniach nachodził si, a oni także na śmierć skazane już byli.

Śmiertelna to choroba, panie, nosacizna taka, zarzę wielką ze sobą niosąca. Znał ja si na tym, znał dobrze, bom przeci przy wojsku w taborach służył. Dlatego wiedział już, że ani dla nich, ani dla mnie ratunku żadnego nie było. W parę chwil potem ten drugi koń też na przednie łapy upadł i zastygł tak, chrapami tylko ciężko oddychając. Teraz obaj klęczeli na kolanach jak w modlitwie na śmierć swoją oczekujący.

Nie wiem, jak to panu opowiedzieć, co si wtedy ze mną działo. Gorączki ja chyba jakiejś dostał, bo ręce i nogi trząść mi si zaczęły, a do głowy wrzątek uderzył. Sam dobrze nie pamiętam, co ja wtedy robił, co gadał, przeklinał pewni. Wiem, że wybiegł na dwór ratunku i pomocy szukający. Ale plac pusty był, więc stanął i rozejrzał si dookoła, a krugom śnieg tylko biały był i cisza, i mróz, co dech zatykał. A ja ciągle stał, w rozpacz beznadziejnej, sam jeden pod tym ogromnym niebem, pełnym gwiazd sowieckich i znikąd pomocy ani pocieszenia spodziewać si nie mógł.

Noc ciągnęła si długo i przeraźliwa była ona jak strach, jak rozpacz. Co chwila macał ja końskie pyski i wodę do picia im podawał. A oni żyli ciągle albo konali tak długo w wielkiej gorączce będące.

Ze świtaniem, co bardzo późno przyszło, ruch si zaraz w łagrze uczynił. Ludzi, jeszcze dobrze

nie wyspanych, funkcyjni z baraków do roboty wypędzali po całym placu ich przeganiając. Wszędzie kręciło si ich robaczywe mrowie, to w te, to w tamte stronę zdążające, to po wodę do rzeki, to za żarciem jakim buszujące. Wtedy to do stajni wszedł służbowy z rozkazem zaprzęgnięcia koni do sanek.

- Oni nigdzie nie pojadą. Chore są, konają już - powiedział ja

na klęczące koni wskazując.

- Co nie pojadą? - służbowy rozsierdził si. - Co nie pojadą? Muszą jechać! Komandir do Rejkomu potrzebę ma. Muszą jechać i kwita. Na co czekasz, swołocz ty jedna. Koni zaprzęgnaj, bystra.

Wtedy ja, panie, znowu si przestraszył, jak to w łagrze. Podeszedł do tych koni i zaczął je prosić, żeby jeszcze raz – ten ostatni – przemogli si, żeby wstali, komandira do Rejkomu zawieźć. Ale oni już słuchać mnie nie chcieli, obojętne na polskie mowę, na prośby nieczułe.

I wszedł wtedy do stajni jeden z naczalników, i dookoła rozejrzał si.

Musi, że usłyszał prośby moje do koni kierowane, bo zapytał służbowego:

- Czto on gawarit?

- Koni nie chcą wstać do roboty - zameldował służbowy.

- Ten od koni mówi, że są chore.

- Nie chcą do roboty? Buntują si? Wczoraj jeździli, a dzisiaj rozchorowali si? Nu uwidim.

Szedł teraz przez stajnię i rozglądał si, to na ludzi, to na koni klęczące. Zaszedł jednego koni od tyłu i kopnął go swoim buciorem w klęczącą nogę. Koń nawet nie drgnął, jakby kopnięcia nie poczuł. Teraz spojrział teraz na mnie i powiedział

-Ty specjalnie je struł, żeby jechać nie mogli. Toż to sabotaż.

Nim zdążyłem na baczność stanąć, nagle doskoczył do mnie i za ciuchy uchwyciwszy, uniósł mnie na palce i w przeciwną ścianę cisnął. W momenci coś mi we łbie zadzwoniło i cisza si zrobiła zupełna. Do dzisiaj nie wiem, panie, jak długo mnie ta nicość trzymała pod ścianą stajni leżącego. Z wolna jednak jakieś głosy do uszu dolatywać zaczęli. Dalekie i niewyraźne one byli, jakby z innego świata wysyłane. Jak przez

mgłę albo przez sen, bardziej ja czuł niż widział, że tamci dwaj koni bili i katowali do powstania z ziemi je zmuszając.

I wtedy ja otrzeźwiał. Na kolana si dźwignął, łeb rękami obmacał i o ścianę si opierając na dwór, na dzień tam będący wyszedł. Koni leżeli niedaleko od stajni, jeden bliżej, drugi dalej, a baty nad nimi świstali. Wokół stało mrowie niewolników, a wszyscy byli czarni jak wrony. Do dzisiaj nie wiem, jak to si wtedy stało, że nagle jeden z tych koni siły ostatnie zebrawszy podniósł si z ziemi i na drżących nogach, dwa kroki, jakby dla próby, do przodu uczynił. Zaszemrało mrowie ludzkie. Zaszemrało z uznaniem, bo teraz sam pan widzisz, że władza radziecka, jak chce, nawet umierającego na nogi postawić potrafi.

Do konia, co wstał, funkcyjni zaraz dopadli brzemię na niego chcący założyć. Ale on szarpnął si w buncie jakimś ostatnim i wierz mi pan nagle w galop niezdarny ruszył. Musi, że był to ostatni jego galop do nieba chyba prowadzący, bo biegł on krzywo jakoś, z nogami płatającymi si, z łbem do samej ziemi spuszczoneym. Trwało to wszystko kilka metrów może. A potem koń upadł gwałtowni jak kulą przeszyty albo jakby nogi połamał. I to był już koniec końskiej udręki.

Robactwo ludzkie wokół stojące poruszyło si wtedy i szeptać między sobą zaczęło. Strażnik, co przy koniu stał, butem swoim łeb do góry jemu uniósł, popatrzył i zawołał na cały głos:

- Uże wsio.

Potem nogę cofnął i łeb koński bezładni na śnieg upadł. Wtedy szum wielki i krzyk wokół si zrobił i rósł on wołaniem, jak na alarm albo na nieszczęście jakie.

- Koń pagib. Ludzi! Ludzi, koń pagib. Ludzi.

Po chwili wszędzi wołani to słycać było. I zleciały si łachmany ludzkie ze wszystkich stron łagra, i zapelnili cały plac przed stajnią będący. Nie wiem, panie, skąd mi nagle siły przyszli. Wycieńczony ja był głodem i chorobą, ale poderwał si jeszcze i bieć do swoich koni zaczął. A ludzi odebrali to jak sygnał, jak rozkaz w tamta pora rzucony, bo zaraz za mną ruszyło chmarą niewolnictwo ludzkie w stronę koni leżących. Nagle tyłu ich zbiegło si, że zagubił si

ja wśród nich, zapodział si gdzieś w tym tłumie wielkim. Ci, co mnie wyprzedzili zasłonili mi teraz wszystko tak, że widział ja tylko pokraczne, niezdarnie biegnące szmaciane kukły w różnej łachmany pookręcane. Tak jak ja biegł, tak i stanął nagle, bo zobaczył tych, co pierwsi do koni dopadli. Było ich tylu, że ciemno si od nich na białym śniegu zrobiło. Nie wiem, panie, czy koni wtedy martwe już byli, czy konali dopiero, nie wiem tego. Tak czy siak, koniec na nie w ta pora przyjść musiał, bo już nie widać ich było, tak gęsto i tłoczno nad nimi zrobiło si. Zewsząd coraz więcej ludzi przybywało krzykiem i nawoływaniem zwabionych i ciżba na placu zrobiła si tak wielka, jakby cały łagier na końską uczę zleciał si w tamta pora.

Wnet w ruch poszli siekiery, topory i noże rozmaite ciała końskie ćwiartujące. Każdy chciał być bliżej mięsa. Każdy kawałek ścierwa wyciąć dla siebie pragnął. Co chwilę z kłębowiska, co nad padliną było, wydostawał si człowiek jakiś i kawałek koniny ze sobą dźwigał. Inni gromadą całą gonili za nim, „ścierwo wycięte chcąc mu odebrać. Krzyki, wrzaski, nawoływania i przekleństwa niesli si po placu krugom, aż po las i rzekę w oddali.

Pewni pan pamiętasz, jak to jest z ptakami, gdy jeden z nich kęsek zdobywszy ucieka z nim het, a inne ptaki gonią za nim, zdobycz chcąc mu spod dzioba zabrać. Tak to, panie, i teraz wyglądało, zwłaszcza że ludzi ci na czarno ubrani właśnie do wron i kruków podobni byli. Już w walce o żarcie poszli w ruch pięści i noże. Już krzyki pobitych i lamenty zawiedzionych nad placem si unosili. Straszny obraz widok ten przedstawiał, że opowiedzieć go trudno i jeszcze trudniej wyobrazić sobi to wszystko, co tam si wtedy odbywało. A czym ten widok pod powiekami wywołany straszniejszy będzie, tym bardziej do prawdy on upodobni si.

A ja, panie, stał wtedy i wszystko to oglądał. I nie dlatego, żebym lepszy był od tych ludzi głodem rozwścieczonych. Pewni i ja poleciałbym tamuj, z innymi końskie ciała ćwiartować, gdybym słabiuteńki taki nie był, chorobą wycieńczony. Dlatego stał tylko i patrzył si i widział patrzący jak w pewnym momenci

spod kłębowiska ludzi niewolnik jeden wydo stał si i na nogi stanął. Wyprostowany teraz był i w obydwu rękach odcięty łeb koński trzymał. Ale nawet nie zdążył si rozejrzeć należycie, ani kroku jednego do przodu uczynić, jak wnet do niego dopadli. Tyle, panie, że on bystry był i zmiarkował migiem, na czym rzecz cała polega. Odcięty łeb koński obydwoma rękami do piersi przytulił i uciekać przed nimi zaczął. I byłby im, panie, zwiął, uciekłby na pewno, bo akurat gonit w moją stronę, gdzie ja właśnie stał, przy stajni swoi. Ukrył bym go tamuj, wrota przed pogonią zamknął, może podzielił by si wtedy ze mną głowizną zdobyczną? Boże Wielki, jak ja wtedy chciał, żeby jemu udało si. Już nawet skrzydło bramy w ręce ujął do zamknięcia je szykując. A on niedaleko już był, ot, metrów z pięćdziesiąt do stajni może brakowało jemu, jak nagle ciuchy, co mu głowę otulali, osunęli si nagle oczy biegnącemu zasłaniając. Widział ja, jak on próbował oczy sobi odłonić głową do tyłu wstrząsając. Nie pomogło. Ciuchy jeszcze bardziej na czoło si obsuwali. Więc on biegł teraz wolno i niezdarnie, jak ślepiec nic nie widzący, aż zatrzymać si musiał. Stanął na chwilę tylko oczy odłonić i ten mały moment wystarczył. Już dopadli go i na ziemię rzucili. Przez chwili zagotowało si tamuj, zakłębiło nad łbem końskim na śniegu leżącym. Zaraz też krzyki i przekleństwa wzmożli si, bo ktoś inny z łbem końskim uciekać zaczął.

Ten, co łachy na głowi poprawiał, wstał teraz z ziemi i ręką, co ją w farbie końskiej ubabraną miał, po twarzy przejechał całą ją na czerwono malując. Wyglądał teraz jak upiór jakiś, siekierę w opuszczonej ręce trzymający. I spojrzął on, i zobaczył, kto jego zdobycz na ten czas niesie, a potem ruszył tam pędem przekleństwa różne po drodze miotając.

Widział ja panie, jak on ich gonił. Biegł pokracznie jakoś, nogi szeroko stawiając. Ale dogonił ich. Chwilę dłuższą biegł za tym, co łeb koński dźwigał. Krzyczał coś na niego, w tyłek szmacianą nogą go kopnął i kułakiem w plecy walił. Ale tamten nie zwracał na to uwagi żadnej, tylko nieprzytomnie uciekał, biegu przyspieszając.

Więc ten z gębą na czerwono wymalowaną

zdeenerwować si musiał bardzo i złość w niego wstąpić musiała, bo nagle siekierę do góry uniósł i trzymał ją tak podniesioną przez następnych kroków parę, aż w końcu uderzył i ostrzem siekiery głowę tamtemu na dwie równe połowy rozplatał. Buchnęła krew z głowy rozwalonej. Jedna jej połowa na bok odpadła i na ramieniu zatrzymała si. Trwało to sekundę tylko, ale wydawało si, że tamten biegnie jeszcze, nim jak kłoda na ziemię zwałił si ciężko. Nikt nie zatrzymał si, nikt nie stanął. Łeb koński natychmiast insze ręce pochwycili i tylko przez moment krzyk si większy wśród ludzi uczynił. Na ziemi ostał si trup człowieka i duża plama śniegu, co kolor z białego na czerwony zmieniała.

Pewni pan myślisz teraz, opowieści mojej słuchając, że był ja wtedy wstrząśnięty i w przerażeniu cały. A ja nie patrzył już w to miejsce, gdzie trup leżał. Patrzył ja, panie, tamuj, gdzie łeb koński niesiony był. Stąd, od stajni nie widać już było, kto zdobycz dźwiga i gdzie jest ten, co przed chwilą kolegę zamordował. Wszyscy si wymieszali. Bo wszyscy czarni i podobni do siebie byli. A las, dokąd biegli, niedaleko już był. Ot, metrów może sto do niego brakowało, gdy z grupy tej biegnącej w tyle został człowiek jeden. Może tchu w piersiach albo nadziei w sercu zabrakło mu w tamta pora, że nie chciał już dalej za żarciem gonić. Kto to wie, panie? Dość, że zatrzymał si i patrzył stojąc, jak tamci lasu dopadli. Po chwili nie widać już ich było, drzewami zasłoniętych. A on stał ciągle, bez ruchu żadnego, w ten las wpatrujący si. I nagle tak jak stał, na ziemię, na kolana upadł. Wtedy rozpoznał ja go, bo siekierę w rękę trzymał, całą po rękojeść we krwi ubabraną. Trwał tak chwilę tylko, a potem siekierę hen od siebie odrzucił i płacz głośny ramionami wstrząsając mu zaczął. Klęczał teraz sam jeden na placu rozległym i rozpacz w nim musiała być wielka, bo dłoni nagle w kułaki zacisnęła i zaczął nimi grzmocić w śnieg, co pod kolanami jego leżał. Walił tak zaciekle zacisniętymi pięściami na przemian uderzając, jakby cały swój gniew i bezsilność całą tym waleniem wyładować zamierował. Płacz jego do rozpacz podobny niósł si z wiatrem po placu i w las, do tamtych, co mu łeb koński

zabrali, dolecieć takóŜ musiał. Płakał jeszcze tamuj, żalił si głosem już przycichającym, aż w końcu zamilkł z głową do ziemi przytuloną. Wydawał si teraz drobny i mały, sam jeden pośród bieli śniegu skulony. Tylko dalej tamuj, w drugim końcu placu, kilku spóźnionych niewolników czerwony śnieg do misek swoich ładowało. Tyle im z końskiej uczty zostało si.

Wtedy nie wiedzieć czemu zimno mnie nagle zrobiło si, i czy to choroba wróciła, czy też widok ten takoj zmroził mnie, dość, że cofnął ja si do stajni swojej i bezradnie o ścianę oparł. Nagle wokół powiało pustką i beznadzieją całkowitą, ot rozpacz jedyni ostała si. Patrzył ja teraz wzrokiem otepiętym na pole za stajnią i widział przez otwarte na oścież wrota, jak tamuj w dali, robactwo ludzkie szło gęsiego między drzewami, na powalkę lasu, do swei roboty szli. I pomyślał też w tamta pora, że tamuj właśni za pazuchami, w portkach i tobołkach tamtych ludzi pochowane są moi koni. Będą je szarpać zębami, albo gotować będą w kociołkach, co każdy więzień do pasa przytroczony nosi. Jeść będą – pomyślał ja wtedy, a pomyślawszy o tym, już o czym innym myśleć nie potrafił.

Boże drogi. Znowu głód, co przysnął na chwili, myślą tą obudzony, pieklić si zaczął. Teraz to ja przestał nawet żałować swoich koni. Przestał martwić si nimi. Ot, jedna tylko myśl w całym rozumi była: Oni będą jeść. A ja? Gorąco mi si nagle zrobiło, więc śnieg pod nogami leżący garścią zacerpnał i do gęby włożył, żeby jakoś ślinę toczącą si zatrzymać. A potem, jak nieprzytomny w stronę lasu, w stronę ludzi ruszył. Tam było jedzenie. Szedł ja o zaspy śniegu potykający si, to w nie wpadając, to gramoląc si z nich, byle tylko szybciej do lasu, do jedzenia dostać si. Mróz był jeszcze silny, bo świeży, poranny, a niebo chmurami porozrywanymi przyozdobione, a ja, panie, szedł i szedł, aż przysiąść dla odpoczynku zapragnął. Las cichy stał wokół, a tam het, nad drzewami białe, rzadkie dymy unosili si. Znaczy si, niewolnicy tamuj koninę w kociołkach gotują.

Chryste Panie. Toż ci koni na nosaciznę chore byli, przypomniasto mnie si nagle. Ci, co mięso z nich zjedzą, umrzeć muszą na pewno.

Tak jak ja siedział, tak i podniósł si wnet myślą tą przerażony.

Pytasz pan, co ja wtedy zrobił? Nic, panie, nie zrobił. Stał dalej w miejscu jak durnowaty jaki, w kółko śnieg pod butami ugniatający. To na las patrzył, gdzie robotnicy rabotali, to znowu na barak naczalstwa, skąd biały dym z komina buchał. I wcale nie wiedział gdzie mnie iść trzeba i co robić w tamta pora. Co nogi w stronę lasu ruszą, to myśl je zatrzymui i naczalstwo najpierw zawiadomici każe. Więc stał ja i rozglądał si na wszystkie strony i wtedy jeszcze raz na las popatrzył i na dym nad nim unoszący si. Znaczyło to, że zesłańcy nad ogniskami swoimi zarażoną koninę w kociołkach gotować zaczęli. Teraz to ja już wiedział, co czynić mnie trzeba. Rażno na ratunek niewolnictwu ruszył. Biegł teraz żwawo, drzewa w pędzi wyprzedzający, igły mroźnego powietrza w płuca mi wlatywali, dech zapierając, ale ja nie zważał na to, tylko do lasu gonii ostrzeżenia z daleka wykrzykujący.

- Ludzi, nie jedzcie tego mięsa. Ludzi, toć to zaraza. Ludzi...

A ludzi byli jeszcze daleko. Echo tylko wołanie moje podchwyciło i do lasu między drzewa zaniosło. Stanął ja wreszci na polance, oddech jak ryba ustami otwartymi łapiący. A tamuj tylko ciupanie siekier słyszało si i cisza poza tym była. Łagiernicy robotą zającą uwagi wcale na mnie nie zwracali i nie ciekawiło ich, dlaczego ja gonii tak i jaka nowina w głosie moim nachodzi si. Jednym spojrzeniem ogarnął ja cały teren dookoła. Przy każdym wycinanym drzewie ogień mały palił si, a nad nim kociotek więzienny wisiał ze ścierwem końskim w środku. Wtedy zaczął ja na nich wołać:

- Ludzi, pajdi suda. Ludzi, wnimanie.

Dopiero po chwili niektóre siekiery zaprzestali rąbania. Najpierw patrzyli tylko na mnie z daleka, a potem pomalutku w moją stronę podchodzić zaczęli. Nie podeszli blisko. Stali na skraju lasu, blisko drzew, to o ich pni oparci, to w kuckach zastygli. Więc ja mówić do nich zaczął na środku zgromadzenia stojący:

- Ludzi – mówił. - Ci koni na nosaciznę chorowali. Ludzi...

Język mi si płatał, ze zdenerwowania chyba,

bo oni jakby nie rozumieli, o co mnie rozchodzi si, o co mnie idzie w tamta pora, bo stali ciągli nieporuszeni i obojętne bardzo. Więc jak ja im miał to powiedzieć? Powiedz pan jak? Jak rozkazać, żeby zarażoną koninę z kociołków wyrzucili het? Tak i zaczął mówić do nich jeszcze raz, od początku.

- Ludzi, zrozumci. Ci koni na nosaciznę chore byli, a to zaraza śmiertelna. Przy koniach ja robił i znam si na tym. Ludzi, w tych kociołkach zaraza gotui si, do jedzenia niezdatna. Ja wiem, że głodne wy, że ratunek wasz w jedzeniu ostał si tylko. Ale wyrzuci to mięso precz.

Mówił ja tak do nich, krzychał gardło zdzierając, a oni nawet nie patrzyli na mnie. Ciągłe stali nieporuszeni, jak zastygli i oczy swoi puste i nijakie gdzieś tamuj w dal, ponad moją głowę, kierowali. Tak wtedy ja panie, zdenerwował si na nich i sobaczyć ich zaczął, że są głupie, że nie wiedzą, co to znaczy nosacizna, że jak chcą, to niech umierają, niech umierają na zdrowi. Ja umywam ręce ot, tak.

No i, panie, pomogło. Poruszyli si, spojrzeli na siebie, coś nawet do siebie zagadali i wiesz pan, co oni wtedy zrobili? Nagle śmiać si zaczęli. Nie wiem nawet, który zaczął. Wiem, że po chwili śmiali si już wszyscy – cały las. Panie, jak oni si rechotali. Jak chichotali si łbami w szmaty okręconymi potrząsając i rękami z uciechy wymachując. Jakbym im kawał jaki albo dowcip najśmieszniejszy opowiedział. I niósł si, panie, ten ich śmiech przez mróz, przez las w uszach dudniący. A ja stał otumaniony, ogłupiały, w samym środku chichotu tego jak durny jaki, z gębą skrzywioną jak do płaczu albo śmiechu wspólnego.

- Ludzi, ludzi, nie śmiejci si - wołał jeszcze wrzask ich próbując przekrzyczeć.

Ale oni już mnie słuchać nie chcieli. Słuchali tylko swojego śmiechu, co wszędzi w ta pora panoszył si.

Wtedy zamilkł ja zrezygnowany i przyglądał si tylko ich twarzom chichotem wykrzywionymi, bo wiedział już to, czego oni jeszcze nie wiedzieli.

Że to był ich ostatni śmiech w życiu. Więc niech si nacieszą, niech si radują. Tyle im przecież na koniec pozostało.

W dniu następnym do karceru mnie zabrano

za zmarnowanie dobra sowieckiego, znaczy tych koni. Tu miał przyjść mój koniec, za pomocą głodu, zimna, mrozu. Wiedział ja o tym, i prosił Boga tylko, modlitwy składający o konanie lekkie, najlepiej na śnie przychodzące. Ale Pan Bóg widać insze zamiary miał co do mojej osoby i inaczej postanowił.

Może po to żebym panu tę historię opowiedzieć mógł? Kto wie... Może właśnie dlatego od śmierci uratował. Dość na tym, że po paru dniach w kajdany mnie zakuto i w szeregu z innymi łągiernikami na placu postawiono. Noc w najlepsze jeszcze była, widna, jasna, białym śniegiem oświetlona. W pobliskim lesi szron z gałęzi obsuwał si, odwilż zapowiadając. Noc jak noc, na Syberii zwyczajna. Dowódca konwoju wnet krzyknął:

- Szagom marsz - i poszli my, panie, trzydzieści wiorst w mrozie i śniegu do najbliższej stacji żelaznej darogi. Gładko mnie to powiedziało si, co? Trzydzieści wiorst do stacji A wiesz pan, co to znaczyła droga taka? Akurat wtedy mróz popuścił i śnieg całymi tumanami z nieba walić zaczął. Wiatr, co ze śniegiem tym harcował różne kołomyje i przeróżne zamieci wyczyniał, że zdawało si, iż sypi on z każdej strony, z nieba w dół i z dołu do góry. W tej zamieci białej i gęstej na dwa kroki nic widać nie było, tak jakby zasłona biała na oczy spuszczone została. Więźniowi skuci parami, do jednej liny przywiązani byli. Więc szarpali si wzajemni w różne zasy wpadający i przewracali si na ziemię, bo jeden tamuj liną pociągał drugiego. Wszystko dookoła było białe, niebo, ziemia i przestrzeń cała, po której zataczając si, szli pomału śniegiem oblepieni niewolnicy. Poprzez wiatr szumiący tylko krzyki strażników słyszeć było:

- Szagom, bystra, bystra.

Nie pomogli nawoływania. Pochód prawie w miejscu stał wiatrem i śniegiem powstrzymywany. Więc zlitowali si wreszci strażnicy i więźniów rozkuli. Teraz każdy z nas na własną rękę z białą śmiercią walczył. Pewni, że wtedy uciec można było. Tylko gdzie? W objęcia tej szalejącej śnieżycy?

Więc wlekli my si dobrowolnie, nie pilnowani, do stacji żelaznej darogi zdążając. Tym,

którym sił brakło, nikt pomóc nie chciał, tak i padali oni prosto w zasy śnieżne często głosami przerażonymi o pomoc wołający. Inni czepiali si lachmanów tych, co iść jeszcze mogli, ale oni także odtrącali ich, sami sił niewiele mając. Co raz któryś z więźniów idących na ziemię padał, i czołgać si za innymi próbował, co właśnie oddalali si za białą zasłonę śniegu. Szedł ja panie także w tym śnieżnym pochodzie śmierci, a idący słyszał krzyki tamtych ludzi na śniegu konających i rozpacz ich słyszał, wiatrem i zawieją rozmazywane

Połowa z nas jakoś dowlokła si do celu. Inni padli na ziemię i zostali tamuj na śniegu, bez grobu, bez nazwiska, bez wieści żadnej. Tam został też Stasiu Walczak. Zawieruszył si gdzieś w śnieżycy i został tamuj na zawsze.

Dopiero w parę miesięcy później, siedząc w więzieniu krasnojarskim, dowiedział ja si przypadkowo, jak zakończyła si cała ta historia z końmi. Tam w Krasnojarsku odsiadywał ja sprawiedliwą karę przez Sąd Ludowy ogłoszoną, wynoszącą pięć lat ciężkiego więzienia i dodatkowo jeszcze, żeby winę odkupić, siedem lat obozu pracy. Razem dwanaści lat, jak z rachunku wychodziło. Co pan mówisz, że dużo? Panie.

Innych za mniejsze przewinienia o głowę skracali. Mnie udało si w tamta pora. Moje zbrodnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu dokumentni wyłuszczył mi oficer śledczy, sprawę moją prowadzący. Po pierwsze primo. Obywatelstwa sowieckiego przyjął ja nie chciał, chociaż urodził si na terenie przez Armię Czerwoną wyzwolonym. Znaczą rękę braterską odrzucił. Po drugi primo. Władzę radziecką siłą obalić zamierował za pomocą siekiery w obozie pracy, przy powalce lasu. Byli tam, panie, jeszcze zarzuty w Związku Radzieckim najcięższe. Że sabotażu ja si dopuścił, znaczy wspólne dobro, czyli dwa koni zmarnował, że musi kontrewolucje uprawiam dlatego cały, proletariacki świat, potępia mnie w ta pora i sprawiedliwą karę wyznacza.

Siedział więc ja w krasnojarskiej celi wyrok odsiadujący, aż któregoś dnia nowego więźnia przyprowadzili. Nie zwracał ja na to uwagi żadnej, bo co chwila kogoś przyprowadzali, wyprawdzali, to na śledztwo, to na zsyłkę, to

w konwój, to na rozwałkę. Jak to zawsze przeznaczone jest w więzieniu siedzącym. Tylko że ten nowy znajomy jakiś wydawał si. Gdzieś ja go już widzieć musiał. Tylko gdzie? Ot i dylemata, panie, zrodziła si w tamta pora. W tyłu miejscach człowiek w Związku Sowieckim przebywał, tyli cel oglądał i tyli konwojów odbył, że jak tu przypomnieć sobi nowego więźnia? Tyle, że ta jego twarz spokoju mi nie dawała. Chodził więc ja, przez klika dni pamięć wysilał i nic sobi przypomnieć nie potrafił.

Aż zdarzyło si któregoś dnia, że ten nowy usiadł sobi na pryczy naprzeciw mnie. Chłopt wielki, musi, że dygnitarz, bo wypasiony, zabany, Tyle, że w ta pora spuchnięty jakiś i siny na gębie. Znaczą śledztwo odbywający. Patrzył ja tak na niego, patrzył i pomału przypomniął sobi. Aż mi to ulgę przyniosło. Naczalnik to był, panie, z tego łagra od koni. Przysiad ja wtedy do niego bliżej i to on właśni, opowiedział mi koniec tamtej końskiej istorii. Ze szczegółami zrelacjonował mi, jak władza radziecka z nosacizną w tamtym obozie walczyła. Mówił tylko o zarazi. O ludziach tamuj będących nie wspomniął ani słowem, bo sprawa była wagi państwowej, jak zaznaczył na samym początku.

W ten dzień, opowiadał mi, gdy wasz konwój karny z obozu wyszedł, już si ta zaraza zaczęła. W nocy ona wybuchła jak ogień niespodziewany jaki. Nagle ludzie zaczęli umierać cicho i gęsto jak muchy w każdym prawie baraku. Żyli, żyli, aż nagli słabli i żyć przestawali. Już nad ranem masę trupów przed barakami leżało. Ci, co myśleli, że przeżyją, rychło ciuchy z nich pościągali nagich zostawiając. Więc wtedy przestraszone naczalstwo Rejkom zawiadomiło, bo do roboty w tamta pora nie miał kto iść A ludzi wciąż umierali i umierali, jakby władzy radzieckiej na złość robić chcieli. A tu wyobraźci sobi, mówił naczalnik, plany wykonać trzeba. A tu drzewo rzeką spławiać trzeba. A tu komunizm budować trzeba. A tu w całym łagrze zaraza wielka. Najpierw skonali ci, co mięso końskie jedli, a potem wszy na innych zarazki przenieśli tak, że w południe cały obóz zarazony już był. Każdy teraz bał si o siebie, naczalstwo także, tak i dzwoniłi telefony do Rejkomu o ratunek proszące. Dzień

jeszcze nie skończył si jak zjechała wnet komisja specjalna. Sami wysocy urzędnicy tamuj w niej byli. Najpierw z naszym naczalstwem, ze mną także – mówił komandir – ruszyli do łagru. Szli pomału z rękami do tyłu założonymi i rozglądali si po obozie tragedię ludzi radzieckich oglądając. I martwili si bardzo, powiedzieć trzeba, i współczuwali w nieszczęściu umierającym i powiedzieli na koniec, że władza radziecka tak ich nie zostawi bez pomocy, chociaż oni to wrogowi ludu karę sprawiedliwą odbywający. W takiej sytuacji marksistowska moralność najważniejsza być musi. Więc nie bójci si – mówili – uratujemy was.

Tak to właśni powiedzieli oni ludziom w naszym łagrze, a potem odjechali pomoc organizować. I takiej naprawdę stało si w tamta pora. Jeszcze tej samej nocy przyjechało paru medyków i kilku oficerów politycznych, wszystko sprawdzili dokładni i zaraz egzekutywę partyjną zwołali. Długo nie trwało, a uchwały specjalne zostali podjęte w sprawie likwidacji groźniej zarazy, tamuj panoszącej si. Wnet odpowiedni rozkazy wydane zostali, depesze po drutach polecili i już po godzinie przyjechali do łagru specjalne ekipy, do walki z żywiołami przygotowane. W ich skład wchodzili trzy ciężarówki uzbrojonych enkawudzystów i dwie cysterny pełne benzyny. Z ich pomocą Władza Radziecka walkę z zarazą miała wygrać. I takiej, panie stało si w tamta pora. Cały obóz wnet otoczony został, szczelnie, niczym płotem gęstym, żołdat przy żołaci, a wszystko po to, żeby nawet jedna zarazka na zewnątrz wydostać si nie mogła. Potem całą epidemię, co do jednego w barakach łagiernych pozamykali, zasuwali ryglując. Wszystkich tamuj sprawiedliwi zamknęli. I tych co żywi jeszcze byli, i tych, co konali dopiero. Żadnej zarazce, nie udało si w tamta pora, uciec, ani schować przed nimi. Dopiero jak wiadomo już było że epidemia w całości zamknięta została i rozszerzać si nie może, wtedy oddział specjalny rychło przystąpił do jej likwidacji. Cały teren wokół łagru, budynki tamuj i baraki więzienne, drogi do nich prowadzące, krzaki i zarośla wszystkie, wnet szlauchami z benzyną od cystern oblane zostało. Smród benzynowy wiatr po okolicy rozniósł natychmiast, a zaraz potem ogień wielki wybuchł,

gorącym piekielnym w niebo uderzający.

Sprawni im to szło bardzo - chwalił mój naczałnik.- Znaczą si organizacja pracy dobra była, a cała akcja należyci przemyślana. Widzieć ich trzeba było, jak ofiarnie oni z tą zarazą walczyli. Z narażeniem własnego życia powiedzieć można. Niejeden poparzył si nawet, w porę nie zdążywszy od ognia odskoczyć. Bo żar buchał wielki, łuną czerwoną na kilometr albo wyżej świecił. Cały łągiar, i lasy wokół niego, i krzaki i trawy, czarnym dymem zasnute byli. To w obozie tamuj ogień zarazę wypalał, Dochodzili stamtąd na wietrze niesione trzaski palącego si drzewa, jakieś wybuchy i wrzaski nieludzkie.

- Pewni, że krzyczeli, ci zarazki.- mówił komandir. - Miotali si w barakach, przez palące si okna i wrota na plac wyskakiwali. Wrzeszczeli, wariowali, spazmów i obłędu doznając. Jak żywe pochodni po placu tarzali si grzbiety płonące chcący ugasić. W oczach mieli obłęd, kiedy tak biegali we wszystkie strony ratunku dla siebie szukając.

Ale żadna z nich nigdzie uciec nie mogła, bo karabiny maszynowe grali, a granaty wybuchali śmierć powodując. I uczyniło si piekło w tamta pora, jakiego antychryst by nie wymyślił. Większe nawet od tego, które w Biblii opisane zostało.

Tak to, panie, sowieckie marksisty starego Boga w urządzaniu piekła prześcignęli.

I trwała ta walka z epidemią oną i zarazą straszną przez cały dzień i pół nocy następnej. Aż ogień wreszci ustawać zaczął. Wiatr smród ze spalonej zarazy rozniósł po lasach, po przesiekach, po bagnach, aż przygniótł go do ziemi i tamuj on skonał. Śladu ani świadka jednego po nosaciznie nie zostało si. Nad pogorzeliiskiem trawa w jakiś czas potem urosła i cisza si stała, taka sama, jak zawsze tamuj na Syberii panui.

Tak to, panie szanowny, stało si w tamta pora, że nie ma już tamtego karnego łagra, com w nim siedział. To ci koni sprawili, że na wielkiej radzieckiej ziemi jeden katorżniczy obóz przestał istnieć. Na jego miejsce powstali inne, wcale nie gorsze.

A ludzi, co tamuj siedzieli? Jaki ludzie? Tam byli tylko zarazki. Nie pamiętasz pan?

Ludzi z tego obozu przeniesione zostali do

innego świata, gdzie nie ma łagrów, ani głodu, ani pracy katorżniczej, gdzie nie ma komunistów, bo Pan Bóg ich tamuj nie tolerui i gdzie odpoczywają w pokoju wiecznym.

I już na koniec tej smutnej istorii, prośba u mnie nachodzi si taka. Jak pan już napiszesz, to napisz pan jeszcze jedno zdanie. Że modłę si codzienni, i modlić si będę do końca dni moich, za tych wszystkich, co tamuj na Syberii zostali jeszcze

Andrzej Kalinin

* *Debiutanckie opowiadanie Andrzeja Kalinina zamieszczone w książce „i Bóg o nas zapomniał”, która przyniosła Andrzejowi Kalininowi nagrodę Czesława Miłosza.*

*Andrzej Kalinin „...i Bóg o nas zapomniał”,
Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa
2013.*



Andrzej Kalinin zimą – fotografia ze zbiorów Pisarza.

Andrzej Waśko

„KONIE” – O DEBIUCIE ANDRZEJA KALININA

Chyba nikogo, kto przeczytał dzieło Andrzeja Kalinina „...i Bóg o nas zapomniał”, nie trzeba przekonywać o jedynej w swoim rodzaju wartości tej książki. Jej siła i prawda artystyczna mówią same za siebie. Tak samo poruszają zwykłych czytelników, jak literackich koneserów. Przemawiają równie mocno do tych, którzy pamiętają czasy i sprawy w niej opisane, jak i do tych, którzy dowiadują się o nich z podręczników historii. Gdyby nie ten ponadprzeciętny wymiar artystycznego osiągnięcia, książka nigdy nie dotarłaby do tak szerokiego kręgu odbiorców, jakich już zdobyła i jakich wciąż zdobywa. Niecodzienna bowiem i warta wzmianki jest też historia jej powstania i drogi do czytelników.

Wszystko zaczęło się mniej więcej w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy do redakcji wydawanego w podziemiu kwartalnika „Arka” w Krakowie dotarł zwykły szkolny zeszyt, w którym znajdowało się zapisane odręcznie opowiadanie pt. *Konie* (obraz trzeci w prezentowanej tu całości). Autora nie znano, utwór został więc opublikowany w „Arce” [w 1984 roku – przyp. red.] anonimowo i do początku lat dziewięćdziesiątych panowało wśród jego nielicznych wówczas czytelników przypuszczenie, że wyszedł on spod pióra jakiegoś wybitnego i znanego pisarza, który z wiadomych sobie powodów w latach stanu wojennego postanowił uciec się do częstej w historii literatury mistyfikacji „znalezionego rękopisu”. Z czasem przekonanie to osłabło, a pierwsze oficjalne wydanie „Koni” ukazało się w dzienniku „Czas Krakowski” z apelem do anonimowego autora o ujawnienie się. I oto, po kilku miesiącach, autor rzeczywiście zgłosił się do redakcji „Czasu”. Nie był nim jednak żaden z klasyków współczesnej prozy, tylko skromny, starszy pan, mieszkaniec małej wioski Olsztyn koło Częstochowy [właśc. Kusięta – przyp. red.], którego zapisana w szkolnym zeszycie opowieść miała dopiero wprowadzić w świat wielkiej literatury.

Andrzej Kalinin, bo o nim tu mowa, urodził się w roku 1933. W okresie PRL nie publikował, pracując przez całe życie jako ekonomista w róż-

nych przedsiębiorstwach na terenie Częstochowy. „...i Bóg o nas zapomniał” była pierwszą jego książką, najpierw drukowaną w odcinkach w „Czasie”, później czytana na falach Radia Wolna Europa i w I Programie Polskiego Radia. Jeszcze przed tym, jak w roku 1994 autor otrzymał za nią Nagrodę Literacką Czesława Miłosza i pojawiły się pierwsze, entuzjastyczne opinie krytyków, książka zaczęła błyskawicznie znikać z półek księgarskich. Obecnie, w cztery lata po pierwodruku, ukazuje się już trzecie jej wydanie, a utwór został wpisany na listę lektur szkolnych.

Antoni Tuchoski, narrator i główny bohater tej książki istniał naprawdę, a jego osobiste wspomnienia, uzupełnione nieznacznie motywami z innych ustnych relacji, autor uczynił podstawą fabuły czterech „obrazów”. Pierwszy z nich „Charosza twarz” w prawdziwie epickim skrócie, z perspektywy zwykłego żołnierza, przedstawia temat agresji sowieckiej na Polskę i wojny, jaka toczyła się na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej po 17 września 1939 roku. Obraz drugi, „Piosenka o Katiuszy”, w którym dramatyczne napięcie łączy się z delikatnym liryzmem, ukazuje perypetie bohatera w niewoli i pod sowiecką okupacją, zakończone aresztowaniem przez NKWD. We wspomnianych już „Koniach”, historii z syberyjskiego łagru, tragiczna wizja ludzkiego losu — obecna w całym utworze — osiąga swoje apogeum, wznosząc się w kulminacyjnym punkcie ponad okrucieństwo opowiedzianych zdarzeń. Wreszcie obraz czwarty – „Polski pop”, zesłanie w górych Altaj, amnestia i nieudana próba dostania się do armii gen. Andersa, choć nie kończą losów Tuchoskiego w ZSRR, kończą jego narrację, gdyż ilustrują i dopełniają fabularne tło refleksji moralnej, której podporządkowana jest zarówno ta ostatnia część, jak i całość dzieła.

Mimo że wydarzenia i postaci tu przedstawione nie są wyłącznym wytworem wyobraźni autora to prawda jednostkowych faktów, mająca zasadnicze znaczenie w relacjach dokumentarnych, gra główną rolę w książce Kalinina. Liczy się w niej przede wszystkim specyficzna prawda sztuki literackiej

sprawiająca, że jednostkowe losy bohaterów i ten wycinek historii, który czytelnik ogląda niejako ich oczami – z ich punktu widzenia – narzucają się mu jako reprezentatywny wizerunek typowych ludzkich losów w danej sytuacji historycznej. Niewątpliwie w tej powieści mogą odnaleźć swoje doświadczenia nie tylko Sybiracy, ale i wszyscy ludzie w tragiczny sposób doświadczeni przez wojnę i komunizm. Autor celowo nie dookreśla precyzyjnie czasu i miejsca poszczególnych epizodów, jakby chcąc przez to dać do zrozumienia, że mogły się one zdarzyć w wielu momentach i miejscach świata, który opisuje. Takie postępowanie jest zresztą zgodne z wewnątrztekstową sytuacją narracyjną, w której pojawia się „monolog wypowiedziany” narratora-bohatera. Autor po mistrzowsku wykorzystuje tu – i modernizuje – wzorzec epickiej gawędy, tak typowy dla polskiej tradycji literackiej i tak od wieków zakorzeniony w naszej kulturze. Ale książka Kalinina, jako utwór literacki najwyższej rangi, przemawia do czytelnika nie tylko przez to, że daje świadectwo pewnej historycznej sytuacji, ale i przez to, że ten czysto historyczny wymiar przekracza, kierując się w stronę wartości ogólnoludzkich.

Ten aspekt narracji Tuchoskiego od początku oddziałuje na czytelnika, ale nie od razu dociera do jego świadomości. Pierwsze reakcje po lekturze dotyczą zazwyczaj przerażających sytuacji przedstawianych przez narratora, umiejętnie stopniującego ich okrucieństwo i mającego w zanadru niejedną niespodziankę dla słuchacza, zawsze ujawniającą jakąś specyficzną formę infernalnego zła komunizmu. Niektóre fragmenty są pod tym względem tak wstrząsające, że musi przy nich zadrzeć nawet odbiorca uodporniony na obrazy przemocy serwowane mu przez współczesną kulturę masową. U Kalinina zło nie jest samodzielnym tematem przedstawienia, a jego jednoznaczne i nie pozostawiające miejsca na jakikolwiek relatywizm potępienie nie stanowi celu samego w sobie. Wnikliwy czytelnik z pewnością zauważy, że miarą zła u Kalinina nie jest ono samo: nie są tą miarą ani naturalistyczne opisy, ani – tym bardziej – jakieś sztuczne, frenetyczne efekty, których w utworze nie ma. Miarą zła są tutaj jego przeciwieństwa: dobro i prawda. Prawda,

którą niszczy komunistyczna ideologia; dobro, które ginie w trybach sowieckiej maszyny terroru. Ponieważ Kalinin potrafi przedstawić nie tylko zło. Potrafi on w świecie, w doświadczeniu swego bohatera, człowieka najzwyczajniejszego ze zwykłych, dostrzec i kilkoma pociągnięciami pióra zaznaczyć siłę wiary i prostych cnót: więzi rodzinnej, przyjaźni, odzywającej się stale miłości do Polski czy subtelnego, nieśmiałego uczucia do Marii.

Antoni Tuchoski ma naturę prostą i prostym, ludowym dialektem przemawia – ale nie jest naiwny. To, co widział po drodze, daje mu doświadczenie oraz instynktowne, związane z tym doświadczeniem, rozeznanie w historycznym i metafizycznym planie rzeczywistości. Jednocześnie tragiczne przejścia nie zabijają w nim zdolności uczuć. Ma on – jak sam się wyraża – „włociańską duszę”, której głównym instynktem jest wrażliwość na cierpienie, przede wszystkim ludzi, ale i zwierząt – koni, z którymi wiąza go, na wojnie i w niewoli, wykonywane zajęcia.

Wartości ludzkie skazane na konfrontację z rzeczywistością zagłady i pogardy, wystawione na ekstremalną próbę są ważniejsze niż sam opis piekła stworzonego przez „wodzów światowego proletariatu”. Z ukazania i obrony tych wartości, a nie z samego opisu piekła, wypływa bowiem oskarżenie przeciwko złu. Dzięki nim to oskarżenie będzie trwało nawet wówczas, gdy odejdą ostatni świadkowie komunizmu. Jeśli pamięć totalitarnego koszmaru, terroru, eksterminacji i zsyłki dla młodszych pokoleń będzie się stawać coraz bardziej odległa, to historia o tym, jak syberyjski więzień Antek Tuchoski ratował wycieńczone i skatowane konie obozowe, zawsze uzmysławiać będzie rzeczywisty wymiar walki dobra ze złem i zawsze pozostanie nieodpartym świadectwem siły człowieczeństwa – nawet na dnie upadku.

*dr hab. Andrzej Waśko***

* *Utwór ten przedrukowano potem w paryskim wydawnictwie AKTIS (1987), w wyborze najważniejszych publikacji polskiej prasy podziemnej.*

** *Dr hab. Andrzej Waśko jest literaturoznawcą na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W 2007 roku pełnił również funkcję wiceministra w Ministerstwie Edukacji Narodowej.*

Bogdan Knop

BALLADA O CZASIE I MIEJSCU

Pamięci mego dziadka Franciszka*Foto: net.*

Koń mego dziadka był kobyłą. Zaś dziadek był milczkiem, choć czasem opowiadał to i owo.

Gdy się urodziłem, dziadek liczył sobie lat pięćdziesiąt i siedem. Od zawsze obraz jego postaci trwa w mej pamięci niezmienny – drobnej budowy ciała, rzadkie, siwe włosy czesane do tyłu, regularne rysy twarzy.

Mój dziadek Franciszek, rocznik 1900.

Był kawalerzystą, ba, kto wie, czy nie ułanem – malowanym dzieckiem. W roku 1920 miał lat 20 i toczył kawalerskie boje z bolszewikami. A wcześniej poznał głód w kresowej stancy, bo w odrodzonej Rzeczypospolitej bieda aż piszczała - wojsko głodowało na przednówku, tak jak cały kraj.

Wiele się dziadek nie nawojował, bo od szrapnela odniósł kontuzję, która mu na całe życie pozostała – drobny odłamek wbity gdzieś pod łopatkę i nigdy nie usunięty, odzywał się w czasie niepogody uporczywym bólem, który dziadek znosił bez skargi. To była wojna w pamięci dziadka, to była prawdziwa wojna – atak, odwrót, bitwy, szaleńcze szarże, nie to, co później w 39-tym – odwrót, odwrót, odwrót, ani jednej bitwy, nużące marsze bez nadziei, bombardowania, cofanie się i tak przez setki kilometrów.

Potem gdzieś spod nowej ruskiej granicy

marszruta do domu, we dwóch, trzech może pięciu – lasami, bezdrożami, o głodzie i chłodzie, ze ściśniętym sercem.

Już za Wisłą złapali ich Niemcy – w lesie, w żołnierskich łachmanach, uznani zostali za bandytów. Młody podoficer Wehrmachtu nie miał wątpliwości – rozstrzelać bez sądu. Sta- nęli spłoszeni nad jakimś jarem, w nieznaney okolicy, ze łzami w oczach – wszystko na nic, całe niespełna czterdziestoletnie życie, dopiero co zaczęte – siedmioletnia córka (moja mama), trzyletni syn i druga córka – roczne niemowlę. Koniec, nawet nie można prosić, błagać, tłumaczyć, bo to przecież Niemcy – niemoty nieznanące języka.

Dziadek nie znał niemieckiego, a jednak te usłyszane niespodziewanie słowa potrafił powtórzyć wiernie i z prawidłową intonacją - „Nicht schiessen, nicht schiessen!” - wrzeszczał młody oficer, gdzieś z góry, zbliżając się do grupki jeńców pojmanyh przez pododdział Wehrmachtu. Podszedł do podoficera i, jak to określił dziadek, szwargocąc, skłął młodego żołnierza, z wrzaskiem kazał mu się zabierać z resztą pododdziału. Następnie zapytał łamaną polszczyzną – co oni za jedni, wysłuchał cierpliwie - „My, panie, zwykle żołnierze, het zza Buga idziemy do domu, nie wojna nam w głowie, panie oficerze, my się już nawojowali i do domu nam trzeba”.

„A warum wy w mundury, wy farfluchte, wy zdejmować ta orzelek i te paginy, co wy zrobiła, co życie nie miła” - wrzeszczał młody oficer, pewnie Ślązak albo Niemiec ze Śląska - „Zabierać schweinish dupa und nach Hause i ani słowo”. Każdy dostał po kopniaku w tyłek, gdy oficer odprowadził ich dość daleko, by mieć pewność, że nie wpadną ponownie w zasięg niemieckich oddziałów.

Historię tę usłyszałem po raz pierwszy w 1980 roku na stybie po pogrzebie mojej babci. Dziadek był tak bardzo rozbity, że stał się roz-

mowny, przy tym wypił parę kieliszków wódki.

Nie byłem pupilkiem dziadka Urbańskiego, bardzo mnie lubił, lecz faworytem był Marek – mój starszy i jedyny brat.

A jednak historia z końmi wiąże mnie mocno z dziadkiem Franciszkiem.

To musiała być niedziela, letnie popołudnie. Ile mogłem mieć lat? Może pięć, a może siedem. Na nadwarcianych łąkach gospodarze wypasali konie – sami mężczyźni, odświętnie ubrani: czapki albo kapelusze, ciemne marynarki, białe koszule, ale noszone z chłopska – bez krawata, wysokie buty i źdźbło trawy wetknięte w usta. Oparci na łokciu w półleżącej pozycji nabierali dystansu do świata.

Grali w karty, popijali wódkę i robili zakłady:

– Felek, a wsiundziesz na tego karego Wickowego? – pytał starszy mężczyzna młodego chłopaka, przechwalającego się swą odwagą.

– Pewnie, że wsiunde, i na oklep wsiunde – podbijał skalę trudności młody, wcale o to nie proszony.

Gospodarze śmiali się półgębkiem albo i całą gębą. Chłopak wypił sobie trochę i najwyraźniej poszło mu na odwagę, a starszym w to graj:

– Felek, a założymy się, że nie wsiundziesz? – zawołał któryś.

– A o co? – spytał Felek.

– O ćwiartkę.

– O pół litra – podbił znowu chwacko młody.

– O pół litra. Przebijcie, Szymonie.

I przebili.

Konie pasły się swobodnie, tylko przednie nogi pętały im, niczym okowy nałożone na fantazję, słomiane powrosła. Bezchmurne niebo, niedziela, raczej czerwiec lub koniec maja, Nigdy nie widziałem tyłu koni naraz.

Gdy przyszło co do czego, Felek oczywiście stchórzył, Wickowy kary, o czym wiedzieli wszyscy, był narowisty i sam Wicek dosiadał go z obawą. Zresztą te chłopskie konie służyły do pracy w polu, orki, kieratu, bronowania, a do jazdy tylko okazjonalnie. Młody Felek był widać znanym chwalipiętą, bo nikt nie egzekwował przegranego zakładu, choć przycinkom, drwinom i naśmiewaniu się nie było końca.

Zapach łąki, leniwa powolność popołudnia i ja sam z dziadkiem, i z jego milczeniem.

Takie popołudnie nie zdarzyło się już nigdy potem; owszem, bywało, że dziadek zabierał mnie na wyprawę do młyna i znowu milczał w drodze, a ja i tak nie miałem ochoty na gadanie. Wdychałem tę ciszę z rodzajem satysfakcji połączonej z zakłopotaniem.

Widok konia, w mym dzieciństwie i młodości, był powszechny. Konie ciągnęły wozy drabiniaste ze snopami zboża, a zimą sanie. Do Częstochowy ciągnęły pielgrzymki zwane u nas kompaniami, a na ich końcu konie ciągnęły przystrojone wozy z półokrągłymi nadbudowami. Każdy gospodarz miał konia w stajni, konie były przedmiotem tęsknot, pożądania i codziennej troski. Najważniejszym zajęciem codziennym, w którym niejednokrotnie brałem udział, było rżnięcie słomy na sieczkę w maszynie zwanej sieczkarnią. Sieczka zmieszana z owsem stanowiła codzienne pożywienie konia, sypana do żłobu, a przy dalszych wyprawach do worka podwiązywanego do końskiego pyska. Marzeniem dziadka było, by jego kobyła ożrebiła się, co uczyni go bogatym. Niestety, usilne starania, metody sztuczne i naturalne, zawiodły.

Końskie choroby, widmo złodziei koni spędzało sen z powiek gospodarzy i było przedmiotem niekończących się rozmów, tak jak dziś sport, polityka albo samochody. Krowy, świnie, drób – to było królestwo kobiet, ich obowiązek i skaranie boskie. Lecz koń był tylko dziadka, podobnie jak kot idący za nim przez podwórze z podniesionym ogonem.

Częścią końskiej historii musi być wóz ciągniony przez konia. Wóz dziadka miał drewniane koła z żelaznymi obręczami i skrzypiał niemiłosiernie w trakcie jazdy. Raz był to wóz drabiniasty – gdy zwoziło się snopy zboża czy siano, a raz z pełnymi ściankami – gdy trzeba było wozic ziemniaki. Zimą koń ciągnął sanie z dzwonekami, z siedziskami wyłożonymi owczymi skórąmi i z nieodmiennym stukotem kopyt okutych w podkowy. Świat się jednak już

zmieniał i tylko kilka razy, jako dziecko, posmakowałem uroku zimowej przejażdżki na saniach. Potem musiało mi wystarczyć czepianie się zderzaków autobusów albo i rzadkich na drodze aut osobowych, co groziło nie tyle może wypadkiem, ile srogim gniewem kierowcy i ucieczką wśród śmiechów rozwyrzzonej gromadki oraz krzyków i uniesionych pięści szoferów.

W powszechnym użyciu były już wozy na kołach gumowych, ale dziadek twierdził, że są one „wywrotne” i nie dawał pokonać się nadchodzącym nowinkom. Mieszkał w chacie krytej słomą, znał się na szyciu słomianych dachów. Długo młóciło się u dziadka żyto cepami na klepisku, nim nadeszła era napędzanych prądem, za pomocą parcianego pasa, młockarni na kołach. Palił połówkę papierosa w szklanej fífce, ale sam nie chodził na zakupy. Po papierosy musiał wybrać się ktoś z rodziny, kto akurat był pod ręką – ja, mój brat, babcia albo mama. „Sporty” w dziesiątkach albo rzadziej w dużej paczce – wykruszone, zmięte i tylko takie. Pieniądze na papierosy miał dziadek zawsze i na nic innego ich nie wydawał, reszta zakupów była sprawą babci – jej problemem i obowiązkiem. Dziś powiedzielibyśmy, że dziadek był konserwatystą – nie znosił zmian, cenił powtarzalność i pewność. Twierdził, że żniwiarka kosi zboże za wysoko, nie to co kosa – tuż przy ziemi, że pole nawozi się ręcznie i zboże sieje się ręcznie i żeby mu nie zawracać głowy sputnikami, kosmosem i ruską techniką, bo on widział jak wyglądali ruscy żołdaci w 45’ – w kufajkach, z karabinem na sznurku i wiecznie pijani.

Pola mieli dziadkowie tyle, co kot napłakał – kilka hektarów w pięciu kawałkach. Trudno zresztą powiedzieć ile, bo wszystko liczyło się w morgach – tu dwie morgi, tam morga – moja szkolna edukacja nie przewidywała takich jednostek miary. Już łatwiej było z metrem kartofli lub węgla, bo szybko zorientowałem się, że to inaczej nazywany – kwintal. I te wszystkie strony świata: ku przyczkom, ku łąkom, za plantem, na parcelach i wreszcie na morgach. Ubywało

tego z biegiem czasu: za plantem ziemię zabrała fabryka, na parcelach budowana właśnie droga szybkiego ruchu, a na morgach oddali dziadkowie ziemię za rentę. Ku przyczkom stanął nowy dom, budowany przez ciotkę Hanię, a ku łąkom kościół i osiedle mieszkaniowe. Tam, gdzie stała stara chata kryta słomą, jest dziś polna droga prowadząca do kościoła.

Nie ma chaty ani obory, ani stodoły. Ani krzewów agrestu z zielonymi cierpkimi owocami, które rzadko kiedy dostępowały cudu żółtawej słodkości, zjadane zanim dojrzały. Nie ma wiśni i pól porośniętych chabrem, którego kwiaty zbierało się do butelki na napój wypijany zimą. Nie ma pól łubinu, w którym nie wolno zasnąć, bo można się już nie obudzić, ani rżyska stanowiącego sprawdzian odwagi dla bosych stóp. Nikt nie kryje się w mendlach ani w kopach i nikt już nie pozna zapachu nawilgłej od deszczu słomy, ani smaku dojrzałych ziaren żyta, jęczmienia czy owsa.

Któż domyśli się, co oznaczało słowo reczek (albo reczek) i jak wyglądał ów stwór przypominający kota, który pluł jadem mogącym wypalić oczy, a którego nikt, na szczęście, nigdy nie widział, choć wszyscy wiedzieli, że na pewno istnieje.

I nawet zablądzić dziś trudno. A przecież ileż razy dziadka „nosiło”? Na pewno raz, gdy wybrał się na koniu do rodziny babci, do Mirowa. Był już wieczór i chociaż drogę znał na pamięć, to jednak wciąż trafiał do tego samego punktu, gdzieś nad Wartą. Zawracał na właściwą, jak mu się zdawało, drogę i znowu błędził, aż wreszcie czy to wściekły, czy przerażony, postanowił zaniechać podróży i wracać w środku nocy do domu.

I choć nie ma już koni, a wszelkie drogi rozświetlają lampy o strumieniu setek lumenów, ja wciąż wybieram się do świata, którego dawno nie ma. I nosi mnie jak nosiło dziadka w drodze do Mirowa i wciąż trafiam do tego samego punktu – przerażony i wściekły.

A dom mój jest za lasem.

2011/12
Bogdan Knop

Piotr Głowacki

STOWARZYSZENIE

Potężny wybuch był słyszany w promieniu kilkuset metrów. Budynek, w którym mieściła się redakcja tabloidu Totkom, legł doszczętnie w gruzach. Media obrazowe wciąż na nowo i nieustannie pokazywały zgliszcza, zastanawiające, że wszystkie akurat te same ujęcia. Wszystkie komentarze łudząco podobne do siebie z dużą dawką jakiegoś niby ekstatycznego, emocjonalnego poruszenia, jakby żalobnie rzewna muzyka i zdjęcia zrobione z jednego punktu widzenia, i tak samo kadrowane. Z identycznymi szczątkami materiału budowlanego. Można było do znudzenia oglądać jakieś nieznaczące resztki tego, co zostało po okazałym, dziesięciopiętrowym gmachu. Dziwne, bo ludzie, którzy byli w nim w czasie wybuchu, jakby wyparowali, nie było widać żadnych ciał czy chociażby ich fragmentów. Akurat tylko redakcja wręcz wrażliwej i wyzywającej wszechwładnej gazety znajdowała się w najbardziej okazałym biurowcu w mieście Komgrad. Było ich razem dość sporo, kilka najważniejszych. Także drobica posledniego znaczenia, te związane były ze wspomnieniami po dawnodemokracji.

Raczej powszechnie było wiadomo, że wszyscy dziennikarze tej reżimowej, bo mającej udziały i akcje w rządzie, gazety – podobnie jak i Powkatu – należeli do Stowarzyszenia. Nosili w klapach marynarek i garsoniek, choć nie wszyscy, znaki logotypu na tyle przestyliżowane, że przypominające widły.

Dziennikarze najczęściej pisali o niewydolności służby zdrowia w obszarze dotyczącym dostępności do zmiany płci, o obowiązujących zasadach wychowawczych w związkach partnerskich i często też o opresji i wykluczeniu spotykających kręgi progresywne i postępowe określane Lewpalem. Czy też wedle gustu Pallewem. Ale głównym tematem było propagowanie właściwego światopoglądu i zapobieganie temu, co kiedyś traktowano niestety jako normalność. W sukurs Jedynej, jak określano także Totkom, szedł najczęściej i regularnie

Powkat. Jego artykuły z większą rezerwą podchodziły do szybkości koniecznych przemian, akcentując potrzebę umiejętnego rozłożenia reformy w czasie. Kładł też szczególnie nacisk na eliminowanie resztek tego, co zostało po wcześniejszym chybionym świecie. Wagę poruszanej, a uprzednio przyjmowanej jako wytyczne przez Zjazd Mężówi, tematyki odczuwano całkowicie i powszechnie. Tym bardziej, że w żaden sposób różnymi sposobami nie dało się jeszcze całkowicie zeskanować myśli i tak już wyselekcjonowanej populacji. Ulepszonej chemicznie i genetycznie.

Otóż zdarzały się nawet niestety przypadki melancholii. Jednak nikt nie był już w stanie określić tego jako tęsknoty za starym, dobrym światem czy też tak zwanymi starymi, dobrymi czasami.

Na obowiązkowych i regularnych spotkaniach w Stowarzyszeniu zajmowano się rekreacją i stymulującymi, wyrafinowanymi doznaniem symulowanymi przez Cybertota. Do rutyny należało zapoznanie się z aktualnym okólnikiem, które to polegało na nauczaniu się na pamięć jego treści, i tak dla ułatwienia zadania umiejętnie sformułowanych w programach podprogowych.

Do Stowarzyszenia należała cała świta miejska czyli Dozór Mentalny i Kontrolerzy Deztożsamości. Tylko niektórzy z nich mogli wchodzić do pomieszczeń z szyfrowanym kodem dostępu. Nikomu taki tryb selektywnego procedowania wejść nie przeszkadzał, a nawet panowała jednomyślna zgoda co do nieuniknioności takiej sytuacji, bowiem każda komórka pracy w Komgradzie miała jednego delegata zwanego czeladym, który gwarantował całkowitą inaczej jawną zwyczajność takiego rytuału.

Miesiąc przed zamachem na Totkom rozeszła się wieść o zaginięciu jego czelada. Oczywiście poszukiwania trwały, a media transmitowały metodą live ich przebieg. Sytuacja pasowała do zaprzęzłego powiedzenia: nikt nic nie wiedział,

nikt nic nie słyszał. A jeżeli jednak wiedział, czy słyszał, to czipy robiły wszystko, by tę wiedzę wyprzeć, po prostu wymazać. Czasami dochodziło jednak do czegoś, co można by określić mianem zakłóceń Cybertota, czyli Systemowej Absolutnej Doskonałości Cyfryzacji Totalnej i można było przypadkiem na ekranie monitora lub wprost w goglach zobaczyć jakąś niespodziewaną, urywaną i zamazaną sekwencję, kadr lub obraz z nigdy nie transmitowanych czy publikowanych materiałów. Dotyczyło to jak wieść niesie zawsze Stowarzyszenia. Raz dozorcóm w tabloidzie zdarzyło się zobaczyć te miejsca inaczej dostępne Stowarzyszenia, więc jego trybu inaczej jawnego. Widać było jak czeladzi grają w – jak to się dawnymi czasami mówiło – ruską ruletkę. Nikt jednak nie mógł czuć chęci, chociażby dzięki składnikom w pokarmach, refleksji i analizie tego, co zobaczył. A już na pewno najdalszy był od odczuwania jakiegokolwiek potrzeby podzielenia się tym, co wyglądało jak obraz marzenia sennego i miało dla oglądającego naturę odbieraną wyłącznie jako oniryczne *deja vu*. Tak były bowiem ustawione systemowe parametry bodźców sterowane i dostarczane przez Cybertota... Inna rzecz, że tylko one były jedynie doświadczane.

Co za rzecz – pomyślał jeden z dozorców, kiedy podczas przerwy w barze pastylkowym nagle w goglach po kilku migawkowych sygnałach całkiem wyraźnie mógł zobaczyć, jak podczas ruletki w stowarzyszeniu czelad Totkomu wkłada sobie w usta laseropistolet. Jego zdziwienie przeszło w szok, gdy zaczął słyszeć tak niewyjaśnione, a pociągające niczym odkrywany i jednocześnie jakby jakoś znany ład, słowa: Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy; Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzleć światem W rajską dziedzinę ułudy: Kędy zapał tworzy cud, Nowości potrzęsa kwiatem I obleka w nadziei złote malowidła. Niechaj, kogo wiek zamrocy, Chyląc ku ziemi poradłone czoło, Takie widzi świata koło, Jakie tępy mi zakreśla oczy...

Piotr Głowacki



Karol Barton, Imperator, 120x50, olej na dykcie.

PISANIE TO CIĘŻKA PRACA...

Z Andrzejem Kalininem rozmawia Aleksandra Keller

Aleksandra Keller: Panie Andrzeju, co dzieje się z człowiekiem, kiedy ze „zwykłego zjadacza chleba” staje się poczytnym pisarzem, odwiedzają Go Najwięksi (Miłosz), przyjmują i proponują współpracę Tytani (Giedroyc)? Jak Pan sobie z tym wszystkim poradził, radzi?

Andrzej Kalinin: No, zawsze byłem tym niezmiernie zaszczycony i poruszony, bo tych niezwykłych znajomości przydarzyło się w moim długim życiu dość sporo. Literaturą i teatrem interesowałem się od zawsze. Pochodzę przecież z domu, gdzie książki czytało się na głos a spektakli teatru radiowego słuchało z rodziną i sąsiadami. Tak się też szczęśliwie złożyło, że mój kumpel z gimnazjum był siostrzeńcem sławnego pisarza i lotnika, Janusza Meissnera. Wiedział, że książki jego wujka – „Żądło Genowefy” albo „Pilota gwiazdzonego znaku” – znałem prawie na pamięć. W nagrodę więc niejako zabrał mnie w któreś wakacje do wujka Meissnera, który mieszkał w Zakopanem. Tam poznałem również innego, wielkiego polskiego pisarza, Józefa Kapeniaka i nawet otrzymałem od Niego z dedykacją znakomitą książkę pt. „Ród Gąsieniców”, którą tak się zachwyciłem, że aż nauczyłem się z niej gwary góralskiej. Dzisiaj żaden góral nie pozna, „żek jest ceper”.

Chodziłem też często na różnego rodzaju kiermasze książki i na spotkania z pisarzami, prosząc o autografy. Mam ich więc sporo.

Ale takie już osobiste spotkania z wielkimi, literackimi autorytetami nastąpiło, gdy „Czas Krakowski” zaczął drukować moje opowiadanie pt. „Konie” i szukał autora, ponieważ podpisane było pseudonimem: Antoni Tuchoski. Pojechałem wtedy do Krakowa, a tam przyjęli mnie nadzwyczaj serdecznie dzisiejsi wielcy literaci i naukowcy. Prof. Ryszard Terlecki, dziś pisarz i parlamentarzysta, a wtedy naczelny „Czasu”, prof. Andrzej Nowak – historyk, publicysta i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz redaktor naczelny pisma „ARCANA”,

prof. Andrzej Waśko, pisarz, publicysta, już w niepodległej Polsce wiceminister w Ministerstwie Edukacji Narodowej, który wspomina mnie w tym numerze „Galerii”, i bardzo mi przyjazna Zuzanna Dawidowicz, dyrektor wydawnictwa, w którym złożyłem swoją pierwszą książkę „...i Bóg o nas zapomniał”.

To właśnie wszystkim Im, wspaniałym ludziom zawdzięczam wszystko i to, kim teraz jestem.

W tym czasie, kiedy „Czas Krakowski” zaczął w odcinkach drukować moją książkę, przyjechał do Krakowa Włodzimierz Odojewski, jeden z szefów „Radia Wolna Europa” W hotelu, jak mówił, przeczytał kilka fragmentów mojej książki i zaraz potem poszedł do wydawnictwa, i poprosił o całą książkę. W tydzień później czytana już była w rozgłośni, której szefował.

Włodzimierza Odojewskiego osobiście poznałem trochę później, bo na II Kongresie Pisarzy Polskich w Warszawie, na którym byłem delegatem z krakowskiego oddziału SPP. Potem otrzymałem nagrodę literacką Czesława Miłosza, a jej uroczyste wręczenie odbywało się w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Wchodziłem po schodach, w tym pięknym budynku na piętro, gdzie miała się odbyć uroczystość i oczom nie chciałem wierzyć. Tyle tam było literackich znakomitości. Większość z nich znałem z widzenia, z fotografii, z telewizji. Same sławy: Jacek Bocheński, ówczesny Prezes PEN Clubu, Ludmiła Marjańska – Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. A dalej Tadeusz Różewicz, Julia Hartwig, Józef Hen, Tadeusz Konwicki, Iwona Smolka. Fragmenty nagrodzonej książki czytał Gustaw Lutkiewicz. Wielu z tych wspaniałych ludzi już odeszło, ale z wieloma wciąż utrzymuję serdeczny kontakt.

Ze znajomościami jest bowiem tak, że niektóre przypadają sobie do gustu, inne mniej. Czasem rzecz sprowadza się tylko do uścisku dłoni i na tym koniec. W niektórych przypad-



Andrzej Kalinin latem 2012 w Kusiełtach.

kach zamienia się w fascynację, taką bliższą, wzajemną więź. Kilka takich mi się trafiło. Na przykład z wielkim, polskim pisarzem, Janem Józefem Szczepańskim – honorowym Prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. To On właśnie protegował mnie do SPP. Drugim był profesor Włodzimierz Maciąg, pisarz, historyk literatury, jeden z głównych redaktorów krakowskiego „Życia Literackiego”. Jeśli więc dwóch takich wielkich napisało, że Kalinin zasługuje na przyjęcie w szeregi pisarzy, więc mnie przyjęto.

Kiedy książkę „...i Bóg o nas zapomniał” zaliczono do lektur szkolnych, zaproszono mnie na spotkanie autorskie do Biblioteki Wojewódzkiej w Kielcach, gdzie okazało się, że będzie na nim dwóch pisarzy: Wojciech Żukrowski i Andrzej Kalinin. Od tamtego czasu byliśmy z sobą zaprzyjaźnieni, a zaczęło się od Jędrzejowa. Okazało się bowiem, że Żukrowski od lat był zaprzyjaźniony z rodziną Przypkowskich i znał sporo świetnych anegdotek o nestorze i prominencie tego rodu, sławnym Tadeuszu Przypkowskim, którego nazywano „ostatnim

szlachciurą PRL-u” [sporo z tych anegdot znalazło się w książce o Jędrzejowie – A. Kalinin, Z. Ciałowicz, J. Gierczak, J. Hatys, J. Zając, „Opowieści o świcie i zmierzchu. Rzecz o dawnym Jędrzejowie” – przyp. A.K.].

Tych przyjaźni z ludźmi pióra i sztuki było sporo. Szczególnie w okresie, kiedy prowadziłem „Salon Wielkich Częstochowskich” w Ratuszu. Wiele częstochowian pamięta te spotkania.

Z tamtych znakomitych ludzi, z których wielu miałem honor gościć u siebie w Kusiełtach, wielu odeszło od nas niestety. Jak nieodżałowanej pamięci Marek Perepeczko czy Janusz Zakrzeński, który czytał moją książkę w wydaniu dla niewidomych. A także Czesław Miłosz, Adam Hanuszkiewicz, Jurek Duda Gracz, Janusz Gniatkowski, Wojciech Żukrowski, Andrzej Łapicki, jeśli wymienić tych, których niesie pamięć.

Do dziś mam serdeczne związki z Emilką Krakowską, Katarzyną Suską – solistką Opery Narodowej w Warszawie, Andrzejem Niedobą, pisarzem, dramaturgiem, a kiedyś prezenterem telewizyjnym.

Ale.K.: A przyjaźnie zagraniczne?

A.K.: Po pobycie w Paryżu u Giedroycia i po opublikowaniu przez paryską „Kulturę” mojego opowiadania „Wigilia białych niedźwiedzi”, otrzymałem zupełnie nieoczekiwanie zaproszenie na kolejny miesięczny pobyt z Londynu podpisane przez Józefa Garlińskiego – Prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. To była wielka postać. Tym, kim Giedroyc był dla emigracji paryskiej, tym Garliński był dla emigracji londyńskiej. Nawet mój stryj mieszkający wówczas w Londynie, którego poznałem dopiero podczas mojego tam pobytu, był zdumiony, że zaprosił mnie do siebie sam Garliński.

Któregoś dnia ten właśnie pan Garliński zaprosił mnie z żoną na prywatną kolację do swojego domu. Po jej zakończeniu, gdy szliśmy do metra, zdarzyło się coś, co wykorzystałem później w swojej książce pt. „W cieniu złych drzew”.

A wyglądało to tak: do naszego jędrzejowskiego liceum chodziła pewna dziewczyna, która w

1952 roku wyjechała na dość propagandowy Światowy Złot Młodzieży do Warszawy. Gdy wróciła do domu, po kilku miesiącach urodziła dziecko – jak się okazało – Murzynka. Skandal zrobił się z tego na cały powiat. Ksiądz nie chciał dziecka ochrzcić, bo po antychryście, ludzie wytykali ją palcami, a stara babka, patrząc na wnuka, mówiła – „Jak się już urodził, to się go i wychowie. Ino kto się z nim późni dogada?”. Dziewczyna nawiązała jednak kontakt z ojcem swego dziecka, a ten zachował się bardzo elegancko, bo ściągnął ich oboje do siebie do Anglii.

No więc w tym metrze, gdy zeszlśmy na dół, okazało się, że peron, z którego mieliśmy odjechać, został zamknięty z powodu jakiegoś wypadku. Tych peronów było kilka, więc stanęliśmy z żoną zakłopotani, nie wiedząc zupełnie, z którego mamy odjechać. Na szczęście miałem z sobą plan metra, więc podszedłem z nim do stojącego obok pracownika metra, Murzyna w takim służbowym, żółtym kubraczku i zupełnie odruchowo powiedziałem polsku: „Jesteśmy tu, a chcielibyśmy jechać tu”. Na co ten Murzyn odpowiada mi najczystsą polszczyzną – „Trzeci peron po schodach do góry”. Zdziwiony zapytałem – „Panie, skąd pan umie po polsku?” – a ona na to – „Mamusia była z Polski”.

To właśnie to spotkanie posłużyło mi do opisanie sceny w książce. Murzyn z metra stał się synem tej dziewczyny z Jędrzejowa.

Ale.K.: W artykule prof. Andrzeja Waśki jest przytoczona pewna historia, właściwie w tym momencie to już legenda, która mówi, iż przez długi czas nie było wiadomo, kto jest autorem opowiadania „Konie”. Więc jak to jest z tą legendą?

A.K.: No, prawdy jest w niej sporo. Opowiadanie powstało, gdy w Polsce trwał stan wojenny. Zmarł wtedy mój sąsiad, Antoni Tuchoski. Trudno powiedzieć, że był moim przyjacielem, ale człowiekiem, którego poważałem i byłem pod jego wrażeniem. Miał już za sobą syberyjskie łagry, o których usłyszałem wiele ciekawych opowieści. Któregoś razu pomyślałem sobie, że powinienem spisać te jego historie, żeby po ludziach takich jak on pozostał jakiś ślad. Jedną

z tych jego opowieści zapisałem, bardziej chyba dla historyków, jako opowieść z pierwszej ręki, niż dla literatury. Opowiadanie dałem do przeczytania pani Swatonowej, kustoszce z biblioteki, która chciała je wydrukować w podziemnej, solidarnościowej gazecie o nazwie „CDN”.

Niestety „Konie” dla tej gazety okazały się za długie. Wysłano je więc do krakowskiego miesięcznika kulturalnego „Arka” ukazującego się wtedy poza zasięgiem peerelowskiej cenzury.

Opowiadanie wydrukowano pod autorskim pseudonimem „Antoni Tuchoski”, bo tak było bezpieczniej. Tuchoski już wtedy nie żył, więc ubecja nie mogła mu nic zrobić.

Dostałem dwa numery tej Arki na pamiątkę, ale gdzieś komuś pożyczyłem do czytania i już do mnie nie wróciły. W międzyczasie nastąpiły aresztowania wśród członków redakcji „Arki”, co spowodowało, że przez dłuższy czas nie miałem z Krakowem żadnego kontaktu. Aż powstała niepodległa Polska i wtedy pani Pelikantowa przyniosła mi do pracy numer „Czasu Krakowskiego”, gdzie wydrukowano moje „Konie” a obok komunikat o poszukiwaniu autora, ponieważ w redakcji „Czasu Krakowskiego” byli przekonani, że tekst wyszedł spod ręki jakiegoś znanego, polskiego pisarza, który dla bezpieczeństwa podpisał je pseudonimem, stąd te poszukiwania.

I tu muszę przyznać, po raz pierwszy zadziałał palec Boży, bo przecież „Czas Krakowski” nie wychodził w Częstochowie. A jednak ktoś w całym tym łańcuszku konspiracyjnym przypomniał sobie, że autor był z Częstochowy i go odnalazł.

Ale.K.: Dlaczego zaczął Pan pisać? Jak to się zaczęło? Z czego wyszedł ten pierwszy, twórczy impuls, by sięgnąć po pióro?

A.K.: Zawsze to lubiłem. Bakcyłem czytania zarażony jestem do dawna do dziś. Zresztą, pani dobrze wie, co to jest za choroba. Mam to do dziś. Gdy na przykład wyjeżdżałem na urlop, to zabierałem ze sobą książki, których w ciągu roku nie zdarzyłem przeczytać. Inni jeżdżą na nartach, pływają żaglówkami, a ja – wiadomo – w cieniu pod gruszą.

Drugą moją wielką pasją jest teatr. Najbardziej jednak byłem i jestem zakochany w Czechowie. Kiedyś w Teatrze Polskim we Wrocławiu wystawiono „Trzy siostry”. Przeczytałem o tym w gazecie i tak byłem tą recenzją rozczarowany, że napisałem swoją. I wysłałem do redakcji z nadzieją, że może ją na zasadzie dyskusji wydrukują.

Ale minął tydzień i miesiąc, i ani słowa. A ja tak chciałem się pochwalić kolegom (*uśmiech*), że pisuję do gazety. Aż w końcu przyszła wiadomość, że pan redaktor Braun prosi mnie o rozmowę. Kiedy tam poszedłem, zaproponował mi współpracę i od tego czasu zacząłem pisać recenzje. W Częstochowie też. Dziś nawet można je znaleźć w Internecie na stronie e-teatr.

Ale.K.: Czym jest dla Pana pisanie z perspektywy życia, doświadczeń, spotkań - możliwością kreowania świata, relaksem, przepisanem życiowych doświadczeń, a może udręką słów?

A.K.: Nie jest udręką, ale to ciężka praca, nie przychodzi łatwo. Ci, którzy twierdzą, że mają lekkie pióro, zwykle nie piszą mądrych rzeczy. Trzeba o tym mówić szczególnie młodym ludziom, którzy zabierają się za pisanie. Nie wystarczy ustawić słowa w słupek, żeby była z tego poezja. Bez należytej wiedzy, bez czytania, a także znajomości ortografii, nie da się pisać sensownie. Bo to nie jest tak, że się siada i się pisze. A niestety tak wielu czyni. Gdy czytam teksty nadesłane do poczty literackiej [www.wczestochowie.pl* – przyp. A. Kalinin], to nieraz serce boli.

Ale.K.: Czy to nie jest tak, że najbardziej ze swojego pisania zadowoleni są grafomanii?

A.K.: Z grafomanami trzeba, proszę pani, ostrożnie, bo przecież wielu czytelników zaczynało od czytania grafomanów, od Mniszkówniej w moim pokoleniu na przykład. I dopiero potem sięgało się po literaturę ambitniejszą. Wraz z czytaniem człowiek rośnie. Będąc chłopcem, zachwyciałem się książkami Dołęgi–Mostowicza czy Antoniego Marczyńskiego, trochę erotyzującego pisarza. I kiedy po latach sięgnąłem po



Spotkanie w „Gaude Mater” w 1995 roku.

te książki powtórnie, to okazało się, że nie dało się ich czytać. Raziły naiwnością, afektacją, pretensjonalnością dialogów.

Na spotkaniach z młodzieżą, szczególnie w tych szkołach, gdzie dobrzy nauczyciele-polonisci prowadzą jakieś kółko literackie czy teatralne, mówię im, że z samego faktu zainteresowania sztuką są już lepsi od innych, bo coś się w nich pięknego i szlachetnego dzieje.

Pisanie to jest ciężka praca, polegająca na przemyśleniach, układaniu zdań, żeby słysząc w nich było muzykę, bo słowo jest przecież dźwiękiem, czego wielu szczególnie młodych twórców nie bierze pod uwagę.

Ale.K.: Panie Andrzeju, czy zdarzają się Panu takie momenty podczas pisania, że historia ucieka autorowi i to ona przejmuje kontrolę, to ona zaczyna prowadzić pisarza?

A.K.: Oczywiście, zwłaszcza przy książkach historycznych, w których zachować trzeba pewien status dziejów. Ale można za to dowolnie sytuować swoich bohaterów. Powoływać ich do życia, uśmiercać, uszczęśliwiać, ganić lub chwalić. Ludzie piszący książki dobrze wiedzą,

kiedy ich bohater nagle zaczyna postępować inaczej niż zamierzał autor. Łatwo wtedy „zakałapuścić” na amen.

Ale.K.: **Doświadczylałam już tego uczucia, gdy powstaje opowieść – można wtedy nie spać, nie jeść, opowieść się rozwija. A potem nie pamięta się nic, skąd wzięła się ta myśl. Nie wiem, jak to nazwać. Czy to jest właśnie wena, czy to jest jakiś stan umysłu, ducha, gdzie autor oddziela się zupełnie od siebie i staje w środku opisywanego świata zdarzeń?**

A.K.: Tak. Bywa przecież, że kładąc się spać z jakąś nierozwiązaną myślą, dopiero w czasie snu przychodzi rozwiązanie. Ja na wszelki wypadek trzymam przy łóżku dyktafon i nagrywam taką myśl w kilku słowach. Dzięki temu rano już wiem, od czego zacząć pisanie.

Ale.K.: **Doświadczylałam już frenezji. Ale też doświadczylałam zmagania się ze słowem...**

A.K.: To prawda – to jest ciężka praca. Dlatego wszystkie pomoce technologiczne, które ułatwiają proces zapisu, nanoszenia zmian w tekście szalenie pomagają w dojściu do zadowolającej wersji tekstu. Pamiętam, że kiedyś przynosiłem żonie teksty zapisane ręcznie, sądząc, że są już skończone. Ona wystukiwała to na maszynie, a ja brałem potem pióro i przedstawiałem słowa, bo coś mi tam nie brzmiało, bo to i tamto było złe, a powinno być inaczej. Kreśliłem, poprawiałem, żona przepisywała drugi, trzeci raz. Przy czwartym zaś traciła cierpliwość i mówiła, że więcej przepisywać nie będzie. Komputer zlikwidował wszystkie te udręki. Teraz mogę przedstawiać, poprawiać, zmieniać, ile chcę, ile dusza i ucho czule na dźwięki pozwala.

Ale.K.: **Tak, punkt ciężkości przeniesiony jest na sam mechanizm zapisywania. Ginie gdzieś artyzm języka, myśli – bo ważniejsza staje się technika zapisu...**

Czy kiedykolwiek odczuwał Pan zwątpienie wobec słowa, języka, tę słynną twórczą niemoc, która sprawia, że pisanie staje się ciężarem nie do przewyciężenia? A jeśli tak – w jaki sposób próbował Pan to przewyciężyć?

A.K.: Tak, przewyciężałem siedzeniem. Miałem takie okresy w życiu, że co tydzień musiałem złożyć w którejś z redakcji zamówiony felieton. I nie było tu żadnego „zmiłuj się”. Brak weny czy pomysłu nie wchodził w rachubę. Przychodził piątek i felieton musiał się ukazać. A jest to piekielnie trudna forma literacka, bo zawiera w sobie beletrystykę, filozofię i jednocześnie jest czytałem, które musi być żywe i błyskotliwe. I przepraszam, jeśli zabrmi to zarozumiale, ale gdy się już ma jakąś tam markę pisarza, to nie można zejść poniżej pewnego poziomu. Tekst można nie spełnić tematu, ale literacko powinien być dobry. Więc z tą niemocą twórczą jest tak, że trzeba ją po prostu wysiedzieć.

Ale.K.: **Jest Pan jednym z ojców-pomysłodawców i założycieli Li-TWY, propagatorem ruchu artystycznego (słynny Salon w Ratuszu Miejskim) w mieście i regionie. Jak w związku z tym postrzega Pan młode pokolenie twórców działających w mieście, inicjatywy tj. Centrum Promocji Młodych, awangardowe grupy teatralne (np. Teatr Najana), kabaret (np. KrólS) i wreszcie ruch literacki zorganizowany wokół samej Li-TWY czy Gaude Mater?**

A.K.: Nie wiem. Wydaje mi się, że jeśli młodzi ludzie garną się do sztuki, chcą w niej uczestniczyć, to już jest dobrze. We wszystkim jednak potrzebni są mądrzy wodzireje, czyli ludzie, którzy mają charyzmę i umiejętność skupiania wokół siebie innych ludzi. Kimś takim jest na przykład Władysław Edward Piekarski. Założyciel i przez wiele lat prezes częstochowskiego Towarzystwa Literackiego Li-TWA. Garnie się tu do niego sporo młodych, początkujących literatów, bo ich to w jakiś sposób nobilituje. Pozwala też uczestniczyć w różnego rodzaju spotkaniach poetyckich, wieczorkach autorskich czy warsztatach pisarskich.

Podoba mi się też pan Marcin Król, który w teatrze Stacherczaka robi kabaret. Świetna postać. Potrafił zgromadzić wokół siebie sporo młodej, zdolnej i z poczuciem humoru młodzieży. Szkoda tylko, że „przerabia” z nimi kabaret

tej nowszej, łatwiejszej wersji, typu harcerskiego, opartego głównie na skeczach. Przy jego i tej młodzieży talentach winien to być kabaret bardziej ambitny, taki raczej literacki, bo tam są przecież dobrego kabaretu korzenie.

Ważne jednak, że jest i jest potrzebny.

Ale.K.: Ze względu na klimat współczesnej kultury wydaje się, że młodzi mają trudniej, bo jednak kultura mocno zubożała, została poddana procesowi tzw. makdonaldyzacji. Młodzi twórcy, którzy posiadają aspiracje nawiązujące do dawnej tradycji, wyższej kategorii sztuki, są w mniejszości...

A.K.: Tak, ale też modne stało się hasło „Uwierzyć w siebie”. Mnie się wydaje, że to trochę za mało. Jeszcze przecież trzeba coś wiedzieć, nauczyć się czegoś. Samo „uwierzyć” nie wystarczy.

Nie dalej, jak wczoraj otrzymałem list mailem od niejakiego pana Alfreda (nazwisko nie jest istotne) z prośbą o pomoc. Bo wysłał swoją książkę do pięciu wydawnictw i żadne z nich nie chciało mu jej wydać. A jego zdaniem to znakomita książka. Więc prosi mnie o poparcie w sensie zarekomendowanie tej książki u wydawcy, „że wtedy na pewno mu wydadzą”.

Odpisałem mu, że bardzo żałuję, ale nie jestem w stanie mu pomóc, ponieważ moich książek także nie chcą wydawać. W księgarniach są głównie książki celebrytów i innych telewizyjnych gwiazdorów, bo komercja jest teraz najważniejsza.

I jeszcze o jednym, kuriozalnym moim zdaniem, zjawisku chciałbym tu powiedzieć. Tak się dzieje, że niektórzy młodzi ludzie zabierają się do pisania, nie czytając wcześniej niczego. Niepojęte! Jak można zabierać się za pisanie, nie mając pojęcia o wierszu, rymach czy rytmizacji. Niby wiersz staje się wtedy jedynie ciągiem słów ustawionych w słupki, zazwyczaj bez składu i sensu. Powie ktoś, że przesadzam. Możliwe, ale ja mam porównania do literatury dobrej, więc wiem, jak powinno być pięknie.

Ależ się rozgadałem... (uśmiech).

Ale. K.: Ale to prawda. Rolę sztuki rozpatruje się dwojako – artysta jako kapłan, sztuka

jako religia w ujęciu modernistycznym, elitarnym, ale jest też zejście pod strzechy, o czym pisał Mickiewicz, bliżej człowieka, pewna użyteczność.

A.K.: Może nawet nie pod strzechy, ale żeby to była sztuka prawdziwa. Bo ta pod strzechy też powinna prezentować pewien poziom, taki bez popisu, przekraczania umiaru.

Ale.K.: W zeszły piątek (1 lutego 2013) miałam przyjemność wysłuchać recitalu Piotra Machalicy – „Moje chmury płyną nisko” z piosenkami Wojciecha Młynarskiego, Jana Wołka, Andrzeja Strzeleckiego i Georges Brassensa w częstochowskim Teatrze. Koncert prowadziła w niepowtarzalnym stylu Magda Umer. Razem stworzyli cudowną atmosferę ciepła i życzliwości. Nie czuło się dystansu ani pomiędzy nimi – artystami na scenie, ani pomiędzy nimi – widzami. Scena przestała być barierą oddzielającą dwa światy. To jest siła teatru zbudowana na zrozumieniu, wyjściu do widza.

A.K.: No właśnie, sztuka jest wtedy, gdy wzrusza. Na przykład dzięki telewizji satelitarnej



Andrzej Kalinin w rozmowie z Anną Migalską.

Foto: Janusz Mielczanek

obejrzałem niedawno program telewizji rosyjskiej, a tam piękny koncert noworoczny. Jakżeż tam było wszystko pięknie zharmonizowane, wyśpiewane, że aż w sercu wzbierało wzruszenie.

A takie koncerty u nas – angielski belkot i jeden wielki łomot. Myślę, że nawet ci, co to śpiewają, nie rozumieją słów. Ot, sztuka dla sztuki...

Ale.K.: 18 marca – przyznam się do czegoś – w Filharmonii Częstochowskiej wystąpi Royal Russian Ballet z „Jeziorem Łabędzim” Piotra Czajkowskiego. Mam już bilet. To ich kolejny występ w Częstochowie. Nigdy nie byłam na balecie, ale przyznam, że kiedy tylko przeczytałam, że to jest właśnie ta – rosyjska – szkoła baletu i do tego „Jeziro Łabędzie”, nie mogłam się oprzeć.

A.K.: Przed laty byłem na balecie. To był „Czerwony Mak” Reinholda Ernsta Glière’a, w Teatrze Bolszoi w Moskwie. Balet opowiadał o pomocy Związku Radzieckiego dla walczącego Wietnamu. Przez całe przedstawienie tancerze nosili paczki na statek, potem ten statek płynął, i potem znów wyładowywali te paczki. Okropność (*uśmiech*).

Ale.K.: Zbliżamy się do końca naszej rozmowy, Panie Andrzeju... Jak ocenia Pan istnienie „Galerii” i funkcjonowanie pisma w mieście?

A.K.: Myślę, że to jest ewenement w skali kraju – w powiatowym mieście jak Częstochowa jest dobre pismo literackie. Wiele miast nie ma czegoś podobnego. I trzeba tu oddać sławę i szacunek Władysławowi Edwardowi dwojga imion Piekarskiemu, że umie zdobyć na to środki i potrafił to pismo utrzymać. No i że potrafił je przekazać w młode, dobre ręce, czyli pani, Pani Olu.

To dobrze o Piekarskim świadczy, że się nie upierał, że to jego dziecko, że tylko on. Chwała mu za to.

Częstochowska „Galeria” nie jest elitarna i dobrze. Bo pierwszy wiersz może być kiepski, ale następne mogą być dobre. Tu mogą się wypisać

młodzi pisarze i poeci, zadebiutować tomikami wierszy, dyskutować o sztuce i warsztacie pisarskim. Gdyby porównać „Galerię” do przedtem ukazujących się „Alei 3”, to „Galeria” jednak (pomijając kilka formalnych, komputerowych błędów, które się dotąd trafiały i mam nadzieję, że teraz tego nie będzie), wygrywała w tym wszystkim, w otwarciu na młodych. Dawała i daje szansę na wyjście do szerszego grona odbiorców. „Aleje 3” zlikwidowano, w zamian jest „Jasne, że Częstochowa”, ale ten periodyk także nie ma szerszego, literackiego odniesienia. Szkoda, że miasto nie pomaga „Galerii”, żeby mogła prezentować się poza miastem, aby wyrosła poza częstochowski region. Zwłaszcza, że publikują tu znakomite pióra, ludzie, którzy potrafią pisać i robić dobre pismo. Jestem dumny z tego, że mogę w „Galerii” od czasu do czasu coś zamieścić. I że ona także poświęca mi trochę czasu.

Ale.K.: W tym roku Pański jubileusz. Już dziś, w 25 numerze „Galerii”, rozpoczynamy świętowanie i życzymy Panu wszelkiej pomyślności, zdrowia, spokoju i oby jednak ta potrzeba pisania w Pańskim przypadku nie malała, ale wciąż upominała się o swoje. Dziękuję Panu za piękną rozmowę.

aka

**Więcej informacji o sylwetce Pisarza oraz Jego twórczości można uzyskać na stronie internetowej poświęconej Andrzejowi Kalininowi: www.andrzej-kalinin.cze.pl.*



Foto: Aleksandra Keller

Muzeum Andrzeja Kalinina w Kusietach.

Zbigniew Wołczyński (1961 - 2012)

OBRAZY, OBRAZKI I SZKICE Z „GALERII” – MOJE SUBIEKTYWNE SPOJRZENIE NA WSPOMNIENIE Z LAT 1994 – 2009¹

Lustra albo portret pisany szkicami, recenzjami, rozmowami nie jest zapisem dziejów „Galerii” ani tym bardziej biografią pomysłodawcy pisma i jednej z najważniejszych postaci zawiadujących życiem literackim Częstochowy oraz regionu częstochowskiego – Władysława Edwarda Piekarskiego.

To trzeba wyjaśnić już na wstępie – niniejsza książka stanowi próbę zapisu wspomnień, uchwycenia w słowie obrazów ze spotkań i doświadczeń, jakie stały się moim udziałem na przestrzeni piętnastu lat i są nieodłącznie związane z osobą Władysława, który wśród bliskich sobie ludzi często nazywany jest, z dozą sympatii, po prostu WEP-em.

Pisząc tę książkę, zastanawiałem się nad formą opracowania tematu. Przyznaję, że rzecz ta przysporzyła mi trudności i nasunęła sporo wątpliwości, bowiem istnieją już prace dotyczące twórczości Władysława Edwarda Piekarskiego jak i jego osoby. Wśród autorów naukowych dysertacji i wywiadów znalazły się takie osoby jak: prof. Ignacy S. Fiut, Tadeusz Gieryski, dr Wojciech Grabałowski, dr Marian Panek, dr Jacek Kajtoch i in. Oparcie się o ich zapisy znacznie wzbogaciło moje „urywki pamięci”, gdyż prezentują audytorium literackiemu oraz akademickiemu postać człowieka opisywaną z perspektywy jego działalności zarówno literackiej, społecznej jak i menedżerskiej. Tym samym na kartach książki wyłania się portret nie tylko pisarza, ale także *par excellence* kreatora życia kulturalnego.

Zdecydowałem się na formę wspomnień z jeszcze jednego powodu – ich subiektywizm.

¹ Tekst artykułu opracowany na podstawie fragmentów z książki Zbigniewa Wołczyńskiego *Lustra albo portret pisany szkicami, recenzjami, rozmowami*. Niniejsza książka w opracowaniu redakcyjnym Wydawnictwa Literackiego „Li-TWA”.

Wbrew opinii, która każe traktować indywidualizację spojrzenia jako niepełną i zaledwie częściową, sądzę, że posiada ona cechę decydującą o wyborze takiej kategorii opisowej, jaką jest uczciwość doświadczeń – tym bardziej, że można je skonfrontować, poddać porównaniom. Stąd już krok do wyjaśnienia tytułu książki.

Dlaczego „lustra”? W nich przeglądamy się co dzień. Co dzień ta sama twarz, a jednak inna. Inna dla kogo? To sedno moich rozważań – uchwycić człowieka z różnych perspektyw. Pokazać go na tle otoczenia, w miejscu pracy, w sytuacjach oficjalnych i tych nieformalnych, najbardziej ludzkich, codziennych. Pozostaje jeszcze jedna istotna kwestia do rozwinięcia – co lub kto ukrywa się pod terminem „lustra”? Od dawien dawna w świadomości społeczeństw funkcjonuje przekonanie, że dla człowieka najdoskonalszym zwierciadłem mogą być inni ludzie. We wzajemnych relacjach kształtuje się sieć powiązań, które stawiają przed jednostką ludzką konieczność wchodzenia w określone role. Na ile jej zachowania są techniczną projekcją interakcji, a na ile iluzoryczną grą, na ile szczerością twarzy, a na ile grymasem maski – w którym z luster postać Władysława Edwarda Piekarskiego odbija się najwierniej – tym opisywanym przez literatów, akademików, przyjaciół czy mentorów?

Mam nadzieję, że *Lustra albo portret pisany szkicami, recenzjami, rozmowami* odpowie nam na te i inne kwestie.

Dziennikarze i prasa, literaci i literatura (1994 – 1996)

Miałem za sobą debiut prozatorski w Tygodniku „Rzeczywistość” w 1988 roku. Opowiadanie pt. „Wściekły Dog” wygrało nagrodę tygodniową w konkursie literackim.

Już rok wcześniej stale publikowałem w Tygodniku Społeczno - Zawodowym „Łączność”. Pisałem również w „24 Godzinach Dzienniku Częstochowskim”, „Mrowisku” i „Życiu Częstochowy”.

Był rok 1994. Uczestniczyłem w uroczystości, jaka miała wówczas miejsce w Zakładzie Telekomunikacji w Częstochowie. Uruchomiono nowe automatyczne centrale telefoniczne oraz dzięki zaangażowaniu społecznemu wymieniono całą sieć telekomunikacyjną, m.in. w Śródmieściu Częstochowy. Wśród zaproszonych na te uroczystość gości był Władysław Edward Piekarski – Skarbnik Społecznego Komitetu Telefonizacji „Śródmieście” w Częstochowie, a także Prezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Częstochowie i Redaktor Naczelny czasopisma literackiego „mini- Galeria”. Czytano jego „Poemat Telefoniczny - Srebrzystopióra”. Później długo rozmawialiśmy i właśnie wtedy zaproponował mi, bym przyszedł do Oficyny „Galeria” przy ul. Wolności, w której mieściło się wydawnictwo. Wydawano w nim „mini-Galerię” oraz liczne tomiki z cyklu „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”. Miałem zajmować się przygotowaniem różnych publikacji prasowych, wywiadów, relacji. Zacząłem również pisać wiersze. Zostały one opublikowane w „mini-Galerii”.

Oprócz Władysława spotkałem tutaj wielu interesujących ludzi – Ryśka Sidorkiewicza, Wieśka Wyszynskiego, Włodka Grabowskiego, Elę Jeziorowską – Wróbel, Tadeusza Gierymskiego, Mariana Panka, Janusza Orlikowskiego, Jacka Gierasińskiego, Rafała Kasprzaka, Jacka „Mikołaja” Olszewskiego (nieżyjącego o wielu lat) i wielu innych. Dużo wówczas dyskutowaliśmy na temat literatury. Oficyna działała również poza siedzibą redakcji. W czwartki w Galerii przy ul. Mirowskiej prowadzonej przez Annę Pośpiech odbywały się tzw. Czwartki Literackie, które organizował Władysław i w których aktywnie uczestniczyliśmy. Prezentowali się twórcy z „Galerii” i ich przyjaciele. Zapraszano też gości, w szczególności członków

krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich m. in. Annę Kajtochową, Jacka Kajtocha, Andrzeja Krzysztofa Torbusa. To, co usłyszano, później „znajdowało się” na łamach „mini-Galerii”. W tym czasie w Częstochowie było już sześciu członków i kandydatów ZLP. Prócz tego byli tacy, którzy chcieli być członkami ZLP (dziś nie żyjący Stefan Ziółkowski czy Zbigniew Jakubowski).

W latach 1992 – 1993 ukazały się trzy numery „mini – Galerii”. Numer 3 ukazał się z datą październik – listopad 1994 r.

Tymczasem skończyły się finanse na funkcjonowanie w dotychczasowym kształcie wydawnictwa, czasopisma oraz spotkań literackich. Skończyły się jednak przede wszystkim źródła finansowania. Szczodrzy dotychczas sponsorzy stawali się coraz mniej chętni do wspierania kultury i sztuki. Rozpoczęły się problemy i narastające konflikty w zespole redakcyjnym. Odszedłem, by zająć się pracą zawodową w TP S.A. Uważałem wtedy „Galerię” za ważny i istotny rozdział w moim życiu, aczkolwiek już zamknięty.

Po miesiącach intensywnych prac Władysław Piekarski wznowił wydawanie „mini- Galerii”. Numer 4, choć ukazał się z datą październik 2005 roku, naprawdę jednak wydany został w 2006 roku i mimo, iż w stopce redakcyjnej pojawiały się nazwiska składu zespołu redakcyjnego, to Władysław Piekarski sam był zespołem redakcyjnym i edytorem. Moje publikacje drukowane były jeszcze w następnych numerach „mini – Galerii”, ja natomiast byłem w redakcji fizycznie nieobecny. Opublikowane zostały wiersze i wywiady napisane wcześniej. Hrabia Pociąg, którego stworzyliśmy wspólnie z Władysławem, dalej przeżywał swoje przygody, choć z czasem Edytor stał się i Hrabia, i Redaktorem jednocześnie.

Bez „Galerii” (2003 – 2006)

W roku 2003 spotkałem ponownie Władysława. Prowadził wówczas Wydawnictwo „Dom Książki” w Częstochowie, do którego

mnie zaprosił.

Szybko stałem się częstym bywalcem wydawnictwa. Wówczas wspólnie z Władysławem – i za jego namową – zebraliśmy moje dotychczasowe wiersze, opowiadania i publikacje prasowe. Powstała z nich książka „Z Trzech Krain” (wiersze, opowiadania, publicystyka), podsumowująca 40 lat mojego życia, która została wydana przez „Dom Książki” w Częstochowie w 2003 roku.

Snuiliśmy plany powrotu „Galerii” – czasopisma, atmosfery redakcyjnej i czwartków literackich. Władysław opowiadał o utworzeniu w Częstochowie Oddziału ZLP. O swych spotkaniach z Konradem Strzelewiczem, któremu wydał wówczas książkę „Wokół ósmego tomu. Proza, proza, proza...” oraz inne publikacje twórców krakowskich. Wydawał również „Krakowski Magazyn Literacki KML”, w którego redakcji przez krótki czas pełniłem funkcję sekretarza. Skończyło się jak poprzednio tj. na zapewnieniach, za którymi nie szły konkretne działania organizacyjno – prawne.

Tymczasem – również w 2003 roku – znów odezwała się moja praca zawodowa. Zmiany organizacyjne zachodzące w Telekomunikacji Polskiej spowodowały, że musiałem dokonać wyboru. Wybrałem pracę zawodową. Od sześciu lat w pracuję i mieszkam w Opolu.

Gdzieś w maju (prawdopodobnie w 2002 roku) spotkaliśmy się na Częstochowskich Dniach Książki. Tam podpisaliśmy deklaracje do Towarzystwa Literackiego „Dom Książki”. Z tego, co pamiętam, deklarację podpisałem ja, Tomek Gładysz, Wojciech Grabałowski, Marian Panek. Innych nie pamiętam. Władysław zbierał resztę, ale nie dotrwał do końca. Kolejny zawał i przerwa na co najmniej dwa – trzy lata. A bez niego to tak jak budowanie przez murarzy, którzy nie mają rąk.

A moje kontakty z Władysławem w latach 2003 – 2005?

Rzadkie telefony i e-maile, jeszcze radsze przypadkowe spotkanie na ulicy, gdy wracałem na weekendy do Częstochowy. Stan ten zmieniła data 10 października 2005 roku. Otrzymałem wówczas e-maila od Władysława, w którym

zwrócił się do mnie o przesłanie mojej kompletnej notki biobibliograficznej. Przez kilka dni przeglądałem „mini-Galerię”, wycinki z czasopism i legitymacje prasowe. Wspomnienia wróciły i ożyły!

I znów „Galeria”... (2007 – nadal)

Mijały kolejne miesiące, aż Władysław znów wysłał do mnie e-maila. Organizował spotkanie założycielskie nowego stowarzyszenia literackiego. Spotkaliśmy się 10 marca 2007 roku w winiarni „Piwnice Margaux” przy ul. Mirowskiej. Mieściła się ona w tym samym budynku, gdzie odbywały się „Czwartki Literackie”, koło Kościoła Św. Zygmunta na rogu Mirowskiej i Targowej.

Założyliśmy wspólnie Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”. Oprócz Władysława w Towarzystwie spotkałem po latach lub poznałem wielu literatów. Na którymś ze spotkań (było to w Dziale Regionalnym Miejskiej Biblioteki Publicznej) zasugerowałem, że Towarzystwu potrzebne jest pismo. Mówiłem, że przydałoby się nowa „Galeria”, na łamach której drukowano by literaturę członków Towarzystwa. Inni poparli moje zdanie, a Władysław zamienił je w zadrukowane kartki naszego czasopisma, które zaprezentowano po raz pierwszy podczas wizyty delegacji Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy. Nie byłem przy tym, bo siedziałem w Opolu. I tak trzeba zapisać: w maju 2007 roku ukazał się pierwszy numer czasopisma „Li-TWA”, a w sierpniu tego samego roku „Varia Częstochowskie”.

„Li-TWA” szybko zmieniła się w „GALERIĘ”, z jej stałymi rubrykami. Jedną z nich były listy hrabiego Pocięja.

Odbýwały się i odbywają spotkania literackie (tym razem w środy i soboty) początkowo w „Piwnicach Margaux”, a następnie „U Stacherczaka”, i w winiarni „Stary Rynek”, skąd znowu powróciliśmy pod opiekuńcze skrzydła Pana Krzysztofa Stacherczaka, tyle że już w Teatrze „S”. Nadal zamieszkując na Opolszczyźnie, sporadycznie uczestniczyłem w spotkaniach sobot-

nich, podczas których wielokrotnie rozmawialiśmy z Władysławem na temat Towarzystwa.

To jest już historia w moim subiektywnym spojrzeniu.

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego

Na wiosnę 1987 roku zarejestrowane zostanie Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego. Wybrane zostają władze Stowarzyszenia. Prezesem zostaje Władysław E. Piekarski, wiceprezesami: Danuta Pęczak – odpowiedzialna za sprawy organizacyjne, Krystyna Puch – odpowiedzialna za sprawy plastyki, Elżbieta Jeziorowska – Wróbel – odpowiedzialna za sprawy literackie, Janusz Orlikowski – odpowiedzialny za sprawy sceny (teatr). Sekretarzem – Andrzej Jankowski, a skarbnikiem Teresa Nengo. Jan Kownacki przewodniczy Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia. Spotkania zaczęły odbywać co tydzień i dalej odbywały się w Zakładowym Domu Kultury Huty im. B. Bieruta.

Istotne znaczenie dla działalności miały jednak nieformalne spotkania, które najczęściej odbywały się w restauracji, a uczestniczyli w nich: Danuta Pęczak, Krystyna Puch, Janusz Orlikowski, a sporadycznie Elżbieta Jeziorowska – Wróbel i Teresa Nengo.

Tam też nieformalnie zapada decyzja o tworeniu wydawnictwa. Jego kształt i cele określają Władysław E. Piekarski i Janusz Orlikowski.

Na 1989 rok zaplanowano I Krajowy Zjazd RSTK, w którym miała uczestniczyć delegacja częstochowskiego RSTK. Po jednym z nieformalnych spotkań w „Skałce” ustala się, że na ów Zjazd częstochowski RSTK pojedzie z trzema publikacjami w postaci arkuszy literackich. Przygotowanie ich oraz redakcję powierzono „triumwiratowi” – „Piekarski, Orlikowski, Jeziorowska-Wróbel”, których to arkusze mają być promowane. W przygotowanie od strony plastycznej włączyła się Danuta Pęczak i Krystyna Puch.

W czerwcu 1989 roku pokazały się pierwsze

publikacje sygnowane przez Częstochowską Oficynę Robotniczą RSTK Woj. Częstochowskiego. Były to „monolog niepokorny” Janusza Orlikowskiego, „okruchy” Władysława E. Piekarskiego, „Przynależność” Elżbiety Jeziorowskiej – Wróbel, z którymi pojechano na Zjazd RSTK do Tych. Publikacje te wzbudziły aplauz i uznanie wśród uczestników.

Na Zjeździe Janusz Orlikowski i Danuta Pęczak zostają wybrani członkami Rady Krajowej RSTK, a Krystyna Puch zastępcą członka Rady Krajowej RSTK. Tuż po powrocie z Zjazdu rozpoczynają się przygotowania do kolejnych publikacji.

W 1990 roku ukazują się: „Srebrzysty żal” Janusza Orlikowskiego, „Krynicky zapiski” Władysława E. Piekarskiego, „Porachunki z czasem” Teresy Zielińskiej oraz na zlecenie krośnieńskiego RSTK „Pstrokate słońce” Stanisława Koniecznego.

Rok 1990 jest także pierwszym rokiem organizacji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „O laur hutników” podsumowującego odbywające się jesienią tego roku Warsztaty Twórcze w Kulach k/Wąsoszy. Konkurs odbył się w trzech kategoriach: poezji, prozy i poematu. Wśród laureatów prym wodziła Elżbieta Jeziorowska – Wróbel i Władysław E. Piekarski (po trzy nagrody) i Janusz Orlikowski, który później opracował arkusz podsumowujący konkurs pt. „O laur hutników”, w którym znalazły się nagrodzone i wyróżnione wiersze konkursu.

Rok 1991 jest rokiem przełomowym w edytorstwie prowadzonym w Częstochowskiej Oficynie Robotniczej RSTK. Zaczyna się przechodzenie z druku na tzw. szybkim xeroksie na druk offsetowy.

Jesienią tegoż roku Stowarzyszenie było współorganizatorem odnowionego Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej oraz towarzyszących im Konfrontacji Poetyckich, podczas których pojawia się nazwisko Ryszarda Sidorkiewicza i Marii Duszki.

Z końcem roku ukazał się też pierwszy numer periodyku „Galeria”, który miał się stać forum

częstochockiego Stowarzyszenia z otwarciem na współpracę z innymi środowiskami w kraju i nie tylko RSTK-owskimi.

Także pod koniec roku 1991 ukazuje się pierwszy tom poezji wydany profesjonalnie przez COR (nowy twór wymyślony przez Władysława E. Piekarskiego, Janusza Orlikowskiego, Elżbietę Jeziorowską – Wróbel; COR to Częstochowska Oficyna Robotnicza) i do tego drukowane metodą offsetową.

Pierwszy ukazał się tomik „Niebo mojego czasu: wiersze z lat 1981-1989” Elżbiety Jeziorowskiej – Wróbel z posłowiem dr Jacka Kajtocha, pracownika naukowego i dydaktycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Tomik Jeziorowskiej i pierwszy numer „Galerii” drukowany był w Częstochowskich Zakładach Graficznych.

Jeszcze zimą 1992 roku z maszyn drukarskich tychże samych Częstochowskich Zakładów Graficznych schodzą dwa kolejne tomy poezji – „Suknia rzucona w potok krwi” Janusza Orlikowskiego z posłowiem Zbigniewa Jerzyny i „Biała przejrzystość” Władysława E. Piekarskiego z posłowiem dr Jacka Kajtocha.

Tadeusz Gierymski odnotowuje ten fakt, pisząc na łamach częstochowskich 24 Godzin, „pękł balon z poezją”.

Ukazuje się kolejny numer „Galerii”.

Odslony „Galerii”

Odslona pierwsza

Pierwsza „Galeria” była periodykiem (może nie w pełni periodykiem, bo w założeniach miało być półrocznik z przejściem na kwartalnik, aby w końcu stać się miesięcznikiem) o charakterze informacyjno-kulturotwórczym, wydawanym przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego. „Galeria” była redagowana przez zespół, któremu przewodniczył pomysłodawca i inicjator tegoż pisma – Władysław Edward Piekarski, przy współpracy z „Redaktorem odpowiedzialnym – Sekretarzem Kolegium Redakcyjnego” – Januszem Orlikowskim, którego zadaniem był dobór

tekstów literackich i utrzymanie „literackości” pisma. Stroną edytorą i redakcją techniczną zajmował się Władysław E. Piekarski. Ukazały się dwa numery pisma sygnowane „1” (64 strony formatu A5 i okładka), „2” (100 stron formatu A5 + okładka). Skład komputerowy – „Hasdruk” Częstochowa. Druk w Częstochowskich Zakładach Graficznych.

Przygotowywano też „3” numer składany przez Wydawnictwo „Mikołaj”, lecz z uwagi na brak środków i „rozwód” Piekarskiego i Orlikowskiego z RSTK skończyło się na dwóch numerach (część materiałów z numeru 3 wykorzystano w nowo utworzonym periodyku „mini-Galeria”).

Periodyk miał za zadanie promocję twórców skupionych wokół RSTK i współpracujących z tym ruchem twórców profesjonalnych. Cechał się starannym przygotowaniem materiałów tak w sferze redakcyjnej jak i sferze edytorskiej. W periodyku pokazały się nazwiska: Janusz Orlikowski, Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, Władysław E. Piekarski, Iza Kołdej, Teresa Nengo, Anna Kajtochowa, Daniela Nowak, Franciszek Sołkowski, Bogdan Pasternak, Janina Parzy, Krystyna Bocheńska-Buczal, Ryszarda Goszczycka, Maciej Antoni Suszek, Stanisław Siekaniec, Zbigniew Kołba, Krystyna Szłaga, Herman Lipner, Maria Duszka, Barbara Rosiek, Ryszard Sidorkiewicz, Jan Górczyński, Wojciech Sobecki, Mirosław Pisarkiewicz, Jan Krzysztof Szczęsny, Wacław Pomorski, Alina Szymczyk, Magdalena Tyżlik, Dorota Lisiecka, Zuzanna Czosnyka, Majka Gąsiorowska, Piotr Jasek, Rena Marciniak, Andrzej Kaliszewski, Euzebiusz Żegota, Dariusz Klimczak, Jan Sylwester Mielczarek, Andrzej Nowak, Władysław Marian Witek, Jacek Kajtoch. W plastyce prezentowano sylwetki Danuty Ewy Pęczak, Ireny Taister, Kazimierza Rafalika, Krystyny Puch, Stanisława Brajera, Pawła Wałacha. O fotografiach Jarosławie Puplu i Andrzeju Wrześniaku pisał Wojciech Kapuściak. Ponadto wykorzystano w periodyku rysunki Agnieszki Nocoń, Małgorzaty Rudowicz oraz fotograficzne reprodukcje prac prezentowanych plastyków, fotografie Jarosława

Pupla i Andrzeja Wrześniaka. W periodyku wprowadzono swoiste „rozdziały” poświęcone poezji, prozie, szkicom i wypowiedziom, fraszce, plastyce i recenzjom. Najciekawsze materiały to: w numerze „1” opowiadanie Macieja Antoniego Suszka (z Wrocławia) pt. „Babie lato”, szkic Janusza Orlikowskiego „Hominem quero”, w numerze „2” wiersze Krystyny Szłagi pt. „Pamiętaj żeś synem żebraka”, „Obawa”, „Zapiski ze szpitala” Barbary Rosiek, szkic Reny Marciniak „Rozcinam pomarańczę bólu (o poezji Haliny Poświatowskiej)” – warszawskiej poetki i redaktorki wówczas będącej zastępcą Dyrektora MAW, szkic Andrzeja Kaliszewskiego – profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. „Rzeźnia i ogrody (O poezji Tadeusz Śliwiaka)”, recenzje Andrzeja Nowaka „Szczerłość i wstydlivość” (o poezji Janusza Orlikowskiego), „Poznawanie krótkiej rozprawy o człowieku” (o poezji Hermana Lipnera) Janusza Orlikowskiego, Władysława Mariana Witka „Tęsknota do prawdziwego świata” (o wyborze wierszy „Biała przejrzystość” Władysława E. Piekarskiego), czy „Wędrowanie z wierszami” Jacka Kajtocha (Kraków). Nakład periodyku 1000 egz. (praktycznie osiągalny tylko w bibliotekach). Pismo ukazało się jesienią 1991 roku, a drugi numer w marcu 1992 roku. Periodyk odnotowany w Polskiej Bibliografii Narodowej. Niestety, mimo zapowiedzi, że piąty numer będzie w kolorze, skończyło się na dwu. Wydaje się, że szkoda.

Odłona druga

Druga odłona nastąpiła w kilka miesięcy później w postaci „mini-Galerii”, i miała być odpowiedzią na „Galerię”, która miała być kontynuowana przez RSTK Woj. Częstochowskiego. Pierwsze spotkanie kolegium redakcyjnego odbyło się w podziemiach Filharmonii jesienią 1992 roku. Początkowo ustalono, że są chęci „robienia” pisma. Wszyscy byli za, ale nikt nie miał pomysłu, jak sfinansować pismo. Sondaż w Wydziale Kultury Urzędu Miejskiego nie dawał szans na realizację pomysłu. Ale po kilku spotkaniach Władysław E. Piekarski i Jacek „Mikołaj” Olszewski uzgodnili wspólnie kształt

i projekt graficzny pierwszego numeru. Postanowiono też, że pismo będzie wydawała Oficyna „Galeria”, której właścicielem był Władysław E. Piekarski, a środki na wydawanie czasopisma miały pochodzić z reklam oraz środków wygospodarowanych w Oficynie „Galeria” ze sprzedaży obrazów malowanych przez uczestników plenerów Międzynarodowego Stowarzyszenia Twórców Kultury „AICC”, którego prezydentem był Władysław E. Piekarski, a także od sponsorów. Pierwszy numer zamknięto jeszcze w mieszkaniu Jacka „Mikołaja” Olszewskiego, na jego prywatnym komputerze, który przywiózł z Kanady (ekran komputera nie był większy niż kartka A5). Ukazał się w maju 1993 roku. Drugi i trzeci numer przygotowywano już na poddaszu przy Alei Wolności 22.

Wytworzyły się dwie frakcje wewnątrz zespołu redakcyjnego. Jedna, która chciała wydawać pismo i druga, która chciała na tym piśmie zarabiać (w podtekście dostawać honoraria, a nawet etaty). Tyle, że nie wiadomo, jak to zrobić, żeby zarabiać. Skład zespołu ustalił się przy trzecim numerze i wyglądał następująco: Władysław E. Piekarski – redaktor naczelny, Janusz Orlikowski – zastępca red. naczelnego ds. literatury, Jacek „Mikołaj” Olszewski – zastępca red. naczelnego ds. technicznych, Piotr Głowacki – zastępca red. naczelnego ds. plastycznych, Iwona Frankiewicz, Ryszard Sidorkiewicz, Wiesław Wyszyński, Tadeusz Gierymski, Marian Panek, Waldemar Skrzypczyk, Włodzimerz Grabowski, Krystyna Sz wajkowska, Zbigniew Wołczyński. Przy trzecim numerze sekretarzem redakcji zostaje Sylwia Psuj. Korekta: przy pierwszych dwu numerach Wojciech Jędrzejak, przy trzecim Sylwia Psuj, Zofia Polak, Elżbieta Tekiel. Skład wykonywało Wydawnictwo „Mikołaj”, a druk Drukarnia Usługowa „Gryf” w Częstochowie.

Niestety nie udało się pozyskać nowych sponsorów, reklamodawców. Na domiar złego jeden z najważniejszych donatorów, który wspomagał pismo, zmarł, a jego prawnym następcem nawet nie zaproponowano dalszego uczestnictwa w wydawaniu pisma (rozpoczęły

się spory i kłótnie wokół majątku po zmarłym trwające kilka lat). Dodatkowo Jacek „Mikołaj” Olszewski po zarejestrowaniu Wydawnictwa „Mikołaj” pracę nad przygotowaniem pisma umiejscowił w nim, co za tym idzie przeniósł część kosztów utrzymania własnego wydawnictwa na Oficynę GALERIA, przy czym z każdym numerem podwyższał swoje żądania i warunki współpracy (np. na jego żądanie sekretarzem redakcji została Sylwia Psuj).

Próba utrzymania przy życiu pisma były zmiany w składzie redakcji oraz zlecenie typografii i składu pisma komuś innemu niż Jacek „Mikołaj” Olszewski. Niestety ta próba nie udała się i wydawanie pisma zostało zawieszona. Ostatni numer w tej odsłonie ukazał się z datą październik-listopad 1993.

Przerwa w wydawaniu „mini-Galerii” trwała do października 1995 r. czyli bez mała dwa lata.

Odstona trzecia

Po likwidacji biura Oficyny GALERIA na ulicy Wolności 22 przez prawie dwadzieścia miesięcy „mini-Galeria” nie ukazywała się. Dopiero na początku lata 1995 z przygotowanych klisz do numeru 4 udało się wydrukować metodą kserograficzną koleiny numer „mini-Galerii”. Liczono, że w ten sposób uda się zaangażować w reaktywowanie pisma Ośrodek Promocji Kultury i Wojewódzką (jeszcze wtedy „wojewódzką”) Bibliotekę Publiczną im Władysława Biegańskiego.

Kolejny numer wyszedł spod ręki zespołu: Marcin Paruzel, Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, Władysław E. Piekarski, przy współpracy z Tadeuszem Gierymski, Joanną Królicą, Januszem Orlikowskim i Zbigniewem Wołczyńskim.

Numer 4 był datowany na październik 1995. Numery 5-6 redagowane w zespole: Szymon Grzegorzewski, Marcin Paruzel, Władysław E. Piekarski (redaktor naczelny) Mariola Florek (sekretarz redakcji), przy współpracy Tadeusza Gierymskiego (felietony literackie), Piotra Głowackiego (kronika plastyczna), Zbigniewa Wołczyńskiego (wywiady), Janusza Orlikow-

skiego (eseje, krytyka) i Marcina Paruzela (skład komputerowy, studio BIGBIT). Wydawcą była Oficyna „Galeria”, a jako nominalni współpracownicy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. dr Władysława Biegańskiego, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, Fundacja WSP, Wojewódzki Ośrodek Kultury, Towarzystwo Popierania Kultury Regionalnej, Hurtownia „Solo-Kolos”.

Gdzieś w na przełomie listopada i grudnia 1995 roku Tadeusz Gierymski podjął ofensywę na rzecz stworzenia pisma w oparciu o tychże samych wydawców, z tym, że z nim jako Redaktorem Naczelnym. Chodziła przez pewien czas opowieść po Częstochowie, że był lepszym od Judasza, bo tamten sprzedał Jezusa za czterdzieści srebrników, a on „mini-Galerię” za milion ówczesnych złotych (ponoć tyle wynosiło honorarium dla redaktora naczelnego). Dołączył do niego Marcin Paruzel, który składał pismo za jakieś tam pieniądze. W pierwszym numerze „miesięcznika kulturalno-artystycznego” nawet wykorzystano teksty zgromadzone do „mini-Galerii”.

Ostatni w tej odsłonie był numer 10 – 11 datowany na kwiecień-czerwiec 1996. Po drobnych kosmetycznych zmianach organizacyjnych udało się wydać jeszcze cztery numery. Redagowali je Janusz Orlikowski, Ryszard Sidorkiewicz, Sławomir „Almanzor” Burszewski i Władysław E. Piekarski jako redaktor naczelny, przy stałej współpracy z Piotrem Głowackim, Marcinem Paruzelem, Zbigniewem Wołczyńskim, Januszem Porębskim.

Szczegółowa bibliografia „mini GALERII” zawarta jest na s. 393–401 w publikacji pt. „Varia Częstochowskie 2006 albo Rocznik Literacki”// Władysław E. Piekarski, Zbigniew Stańczyk // Częstochowa 2007.

Appendix²

Dr Marian Panek: Powiedz, czym jest kwartalnik literacki GALERIA w pejzażu

² Fragment wywiadu udzielonego dr. Marianowi Pankowi przez Władysława Edwarda Piekarskiego, „Galeria”, nr 20 (maj-sierpień 2011), s. 19 – 20.

Częstochowy i nie tylko? Jaka jest jego literacka waga i oddziaływanie?(z wywiadu udzielonego Marianowi Pankowi).

WEP: Przede wszystkim sama nazwa „częstochowski magazyn literacki GALERIA”. Magazyn to miejsce gromadzenia, składowania. My gromadzimy, składamy, zachowujemy dla potomnych dokonania twórców tego defaworyzowanego subregionu. A galeria to miejsce prezentacji... Obecnie nasz magazyn jest praktycznie jedynym miejscem, gdzie mogą drukować twórcy z Częstochowy i okolicy. Pytasz o wagę? To jakieś 20- 30 deko! Bo każdy z numerów to jakieś 170 – 200 stron druku. Nie jesteśmy konkurencją dla czegoś, co nie istnieje i nie może się z nami mierzyć. Literacka waga – to druk nie tylko twórców subregionu, ale zabieganie o druk twórców spoza regionu i spoza granic. Z emigracji. Jesteśmy magazynem dla koneserów i hobbystów literatury, dla studentów (szczególnie tych z filologii polskiej). Myślę, że niewielu twórców z regionu zna wagę i znaczenie „GALERII” dla środowiska i docenia to. Swego czasu nieżyjący już Waldemar M. Gaiński powiedział w przybliżeniu, że twórcy regionu zamiast oczekiwać honorariów powinni dopłacać do tego, że ich drukują. Że stwarzam im możliwość druku. Ale to nie ja stwarzam możliwość. To oni sami stwarzają sobie możliwość, bo są członkami Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” lub jego sympatykami. Magazyn systematycznie dociera do bibliotek uniwersyteckich, jest w bibliografii narodowej gromadzonej w Bibliotece Narodowej. Dociera także za granicę, a nawet za ocean, co kosztuje Towarzystwo (niekiedy mnie) około 200 – 300 zł za numer. Nie zawsze ten wydatek się zwraca. Magazyn ma też swoją wagę, przywracając niektóre nazwiska literaturze subregionu. Niektórzy w swych bibliografiach przykładają dużą wagę do zapisów z „GALERIA” w tle. Zbliżamy się do dwudziestego numeru. Skromny jubileusz. Przy okazji to gdzieś około 3500 stron druku, 3500 stron złożonych, złamanych, przygotowanych do druku przeze mnie. Uświadamiam sobie ogrom pracy. To

siedem pięćsetstronicowych tomów. Ponad pół metra na półce. To też waga...

Opr. Aleksandra Keller



Karol Barton, TV show, 90x70, olej na płótnie.

Małgorzata Franc

WOKÓŁ GALERII JUBILEUSZOWO

Jak ten czas szybko leci. Minęło już pięć lat, odkąd swój debiut miał „częstochoowski magazyn literacki GALERIA”, którego pomysłodawcą i redaktorem naczelnym pozostawał przez długi czas Pan Władysław Edward Piekarski. Pan Władysław wykonywał również ogrom prac związanych z przygotowaniem GALERII do druku, co pociągało za sobą szereg obowiązków, których niedopełnienie wiązałoby się ze zniknięciem tego periodyku z lokalnego rynku i środowiska twórczego. Dlatego też niewątpliwie należą się Panu Władysławowi od nas wszystkich, (a mam tu na myśli piszących, sympatyzujących, czytających a nawet będących w opozycji do naszego pisma) słowa jeśli nie podziwu to przynajmniej uznania Jego trudnej i wyczerpującej pracy. Jego niezmiennym staraniem ten niecodzienny magazyn skupia wokół siebie twórców różnorodnych parających się poezją, tak jak znakomici autorzy – Wiesław Wyszyński, Tadeusz Chabrowski, Ireneusz K. Korpyś, Jan Łączewski, Kazimierz Kowalczyk, Lech (Leszek) Grochulski, Izabela Kołdej – Ptak, Olga Maria Bąkowska, Alicja Nowak, Barbara Strzelbicka, Agnieszka Żłota, Małgorzata Franc, jak również literaturą i prozą tak jak Andrzej Kalinin, Tadeusz Chabrowski, Wojciech Kajtoch, Aleksandra Keller (obecna redaktor naczelna GALERII), Władysław E. Piekarski i nieżyjący już niestety Zbyszek Wołczyński, (który przez krótki czas pełnił funkcję redaktora naczelnego naszego pisma), Małgorzata Nowakowska – Karczewska (również pełniła funkcję redaktora naczelnego GALERII) i (pisząca te słowa) Małgorzata Franc, oraz malarstwem jak dr Marian Panek, Altea Leszczyńska, Alicja Nowak.

Po prawdzie można by tu wymienić jeszcze szereg twórców i sympatyków, którzy pojawiają się na łamach GALERII, lub dobrze o niej myślą. Od lat cieszymy się przychylnością Pani poseł Izabeli Leszczyny oraz Pani dr Edyty Sadowskiej (z tomikiem *Nazwał mnie Eddą*), które to Panie oprócz pełnienia zaszczytnych i znakomitych funkcji są również autorkami

znakomitych i mądrych wierszy a przy tym są to osoby obdarzone (moim zdaniem) niezwykle urokiem osobistym.

Tak więc toczy się ta nasza GALERIA jak niezniszczalny kamień, na którym można zapisać słowa tych, którzy dopiero stawiają pierwsze kroki w trudnej sztuce porozumiewania się z innym człowiekiem, (o czym najlepiej wie również autorka pisząca te słowa), jak również możemy tu spotkać osobistości i prawdziwych weteranów w posługiwaniu się słowem, pędzlem, komputerem, (mam tu na myśli naszego nieocenionego Rafała Sochę, który jest też twórcą i moderatorem internetowej strony GALERII). Bez jego zaangażowania i czasu nie byłoby strony internetowej magazynu.

Z łatwością więc możemy wysnuć wniosek, że bez pracy i zaangażowania wielu osób, głównie twórców, pasjonatów i animatorów kultury, nas samych, nas wszystkich, którzy w piśmie tym funkcjonują stale lub tylko czasowo i są z nim związani (choćby tylko myślą), pięcioletnia obecność częstochoowskiego magazynu literackiego, jakim jest GALERIA (pomimo licznych trudności a niekiedy i kontrowersji), nie byłaby możliwa.

Starajmy się więc ten stan rzeczy zachować, by móc go zmieniać na lepsze i by tak właśnie zapamiętano GALERIĘ oraz tych, którzy są z nią związani i których myśl krąży wokół niej, jubileuszowo i na co dzień.

Małgorzata Franc



Karol Barton, *Kobieta przy kawie*, 70x50, akryl na płótnie.

Małgorzata Franc

ŚLADY W PAMIĘCI ALBO WSPOMNIENIE TAMTEGO WIECZORU

Panu Andrzejowi Kalininowi z okazji 80- tych urodzin

Ludzie, których spotykamy na drodze naszego życia, są bardzo różni.

Jedni pojawiają się i znikają razem z upływem czasu, w pośpiechu coraz to nowych wyzwań i obowiązków. Rozpływają się we mgłę obojętności i zapomnienia jak drobinki kurzu, który właściwie niczego po sobie nie pozostawia, nikogo nie obchodzi i nikt za nim specjalnie nie tęskni.

Inni próbują rozpaczliwie zostać zauważeni, chcą zdobyć sławę ,cokolwiek ukrywa się w tym słowie, by dostać się na szczyt i jak najdłużej tam pozostać,(choć często niesie to ze sobą lęk, gorycz osamotnienia i niepewność jutra). Myślę, że bez zbytniego trudu pamięć każdego z nas podsunie przykłady takich osób.

Jednak wśród nas są i tacy, którzy wykonując czasem i najprostsze prace, a po prostu mają to „coś”, co ich w naturalny sposób wyróżnia. Możemy nazwać to talentem, darem losu, pocałunkiem Stwórcy, gdy przychodzimy na ten świat lub specyficznym przeznaczeniem, które musimy spełnić, zanim minie nasz czas.

Ja osobiście mam szczęście spotykać takich właśnie ludzi , którzy mają w sobie to „coś” i są inni w pozytywny sposób. I właśnie o takim wyjątkowym spotkaniu z wyjątkowym człowiekiem chcę napisać, a właściwie chcę do tego spotkania znów powrócić.

To był mroźny, grudniowy wieczór 1999 roku. Na zaproszeniu do ratusza, które otrzymałam dzięki uprzejmości kuzynki, przeczytałam, że jest to wieczór z poetką Panią Ludmiłą Marjańską, a prowadzić je będzie Pan Andrzej Kalinin.

Na zaproszeniu widniał dopisek – „obowiązują stroje wieczorowe”. Jezus Maria, pomyślałam, ratusz, dostojni goście, poeci, literaci, a ja nie mam wieczorowego stroju. I zamiast myśleć o mojej początkującej

twórczości, gorączkowo przeszukiwałam szafę i szuflady, by znaleźć coś na wieczór. W końcu zadzwoniłam do kuzynki Małgosi z zaskakującym pytaniem, jaki ma być ten wieczorowy strój? Zostałam szybko uspokojona – „Małgoniu, nie przychodź tylko w dżinsach”. Wybrałam zatem granatową spódniczkę i bluzkę, włosy przewiązałam aksamitką. I tak oto wieczorem 13 grudnia 1999 roku z drzeniem w sercu wyruszyłam na spotkanie z NIEZNANYM. Zanim dotarłam do ratusza, w mojej biednej głowie kłębiły się myśli – „A jak wiersze, które wcześniej podał Panu Andrzejowi mąż kuzynki Aleksander, nie spodobają się”, „A jak Pan Andrzej się przez to zdenerwuje i powie, że moje wiersze są nic nie warte i lepiej, żebym już nie pisała”. Tak wtedy właśnie myślałam, a skutek tego był taki, że gdy dotarłam w umówione miejsce, byłam tak roztrzęsiona, że zapomniałam języka w buzi, mimo że miałam już wtedy swoje lata i zazwyczaj nie miałam kłopotu wystawianiem się. Jak się potem okazało, zaraz przy drzwiach spotkała mnie przemiła niespodzianka, a właściwie dwie. Niemalże w drzwiach budynku ratusza czekała na mnie i moją Mamę (byłyśmy wtedy razem na tej uroczystości), kuzynka Małgosia, która od razu wręczyła mi gazetę ze słowami – „Twoje wiersze są w gazecie, Małgosiu”. Byłam tak zaskoczona, oszołomiona i szczęśliwa jednocześnie, że szepnęłam tylko „Dziękuję!”. Na co usłyszałam – „Nie mnie dziękuj, dziecko, tylko Panu Andrzejowi Kalininowi”. No i znalazłam się w kropce – albo to ja znałam Pana Andrzeja Kalinina i widziałam Go na oczy? Więc jęknęłam tylko płacząco – „Ciociu, ale ja nie wiem, który to Pan”. Kuzynka popatrzyła na mnie ze współczuciem – „Zaraz, Małgosiu, wszystko się wyjaśni, bo właśnie Pan Andrzej

nadchodzi”. I rzeczywiście, ujrzałam miłego Pana, kształtnej budowy, pod wąsem, który zamazysię przekraczał próg ratusza, ale zaraz gdzieś przepadł (chyba w szatni) i zanim zdołałyśmy podejść, do przywitania się z prowadzącym tamten wieczór utworzyła się spora kolejka. Czekaliśmy więc niecierpliwie (awłaściwiejaczekałam). A im bliżej był moment przywitania, tym bardziej byłam onieśmielona. W końcu zostałam przedstawiona Panu Andrzejowi – „To właśnie jest Małgosia, nasza młoda poetka”. Pan Andrzej spojrział na mnie przenikliwie i zamilkł na krótką chwilę, która dla mnie była jak wieczność, po czym rzucił „Bardzo mi miło”. Chciałam coś powiedzieć, podziękować za publikację, wyrazić, jak bardzo się cieszę, ale słowa utknęły mi w ściśniętej krtani i ledwie mogłam wtedy wyksztusić „Mnie również jest bardzo miło” i na drżących nogach powędrować na miejsce, bo wieczór z (nieżyjącą już niestety) Panią Ludmiłą Marjańską już się zaczynał. Wieczór, który jak się później miało okazać, zaważył na mojej drodze twórczej. Ta pierwsza publikacja moich wierszy *Na granicy* oraz *Ten drugi Feniks* z niezwykle pozytywną recenzją właśnie Pana Andrzeja Kalinina pozwoliła mi uwierzyć, że moje niedoskonałe wówczas pisanie jednak ma sens i że jest w nim ta iskra, z której może kiedyś powstać dobry i trwały płomień, w którym będę mogła wykuć coś pięknego i lepszego.

Dalszą część wieczoru pamiętam jak przez mgłę, choć niewątpliwie był piękny, biorąc pod uwagę osobę dostojnej Autorki i ze swadą prowadzącego spotkanie Pana Andrzeja Kalinina. Pamiętam, piękną dedykację od Ludmiły Marjańskiej z życzeniami dalszej pomyślnej pracy literackiej i zaskakującym zakończeniem, że do tej pracy trzeba mieć „końskie zdrowie”, co zapewne było wiadome Pani Ludmile, a co wprawilo mnie w zakłopotanie, bo myślę, że pisanie to przyjemność (oczywiście wtedy nie protestowałam). Pamiętam gromkie brawa po prezentacji wierszy tej znakomitej poetki

i tłumaczki oraz wesołość, która zapanowała po jednym z żartów Pana Andrzeja. Pamiętam tłum ludzi tłoczących się wokół Jego osoby tak, że w końcu nie zdołałam się do niego dostać i właściwie pożegnać (co sprawiło mi przykrość).

Jednak Pan Andrzej zdążył mi jeszcze rzucić przez ramię cenną wskazówkę „Proszę pisać... lepsze wiersze”. I tak właśnie rozstaliśmy się tamtego wieczoru. On – znany pisarz, niezwykła osobowość, uczynny i prawy człowiek. Ja – początkująca poetka, niepewna swoich umiejętności, dziewczynka biegnąca za swoimi marzeniami z naiwnością i sercem dziecka. I choć minęło już ponad 10 lat, tanto spotkanie i tamten grudniowy wieczór pozostawił ślady w pamięci.

W mojej pamięci na zawsze...

Małgorzata Franc



Karol Barton, *Nowe lepsze jutro*, 70x50, akryl na płótnie.

Aleksandra Keller

ŚMIESZNOŚĆ I GROZA – „ZE SZTAMBUCHA STAREGO KOMUCHA” ANDRZEJA KALININA

Rzecz rozpoczyna się przewidywalnie i sielankowo – pewien pisarz zostaje zaskoczony wizytą niezapowiedzianego gościa, który przychodzi z „literackim interesem” – swoim pamiętnikiem ku „ewentualnym poprawkom za wynagrodzeniem”. Pisarz sprowadzony do roli nie tyle krytycznego autorytetu literackiego, ile etatowego redaktora od korekty wzbrania się, kluczy, unika podjęcia decyzji. Ostatecznie przyjmuje zlecenie zaintrygowany swoistym stylem wypowiedzi swojego rozmówcy, sposobem zachowania i czymś dziwnie znajomym – intrygującą barwą głosu, która przekonuje i jednocześnie nie daje możliwości sprzeciwu. Gość znika równie szybko, jak się pojawił. Zostaje jednak rękopis...

Klasyczna scena. I klasyczna formuła po(d) rzuconego rękopisu, która pozwala cofnąć się w czasie, przyglądać się z bezpiecznej perspektywy dziejącym się wypadkom, a samemu pisarzowi ukryć się już nie tylko za osobą narratora, ale wyjść poza świat przedstawiony i stanąć w jednym szeregu z czytelnikiem. Bowiem podwójna osobowość, zwielokrotniona tożsamość staje się kluczem do zrozumienia tej historii – historii na wskroś przeanalizowanej, doświadczonej i własnej, zapisywanej w perspektywnym skrócie – „PRL”.

Narratorem i przewodnikiem po „rajskiej” krainie wspomnień jest Bożydar Polak. Przypisane mu imię i nazwisko wyluskuje go ze społecznej masy i nadaje status *everymana* – bohatera o uniwersalnych cechach postawionego wobec wyboru pomiędzy Dobrem a Złem. To jednocześnie katolik (wychowany w tradycji katolickiej) i świecki obywatel państwa. Ów szczególnie nabiera metaforycznego znaczenia, jeśli przywołamy w pamięci status religii i kościoła w komunistycznie zideologizowanym państwie. Te dwie wartości walczyły „o dusze” i wzajemnie się wykluczały – tu, w osobie

narratora, stanowią szczególnego rodzaju zrost antagonizmów pozostających w nierozzerwalnym ucisku i uznawanych za pierwszą przyczynę wszelkich niepowodzeń, na którą powołuje się ich właściciel, upatrując szczególnie w imieniu największej przeszkody na drodze swojej kariery.

Główny bohater to typowy aparatczyk partyjny, niemal wzorcowy przedstawiciel nomenklatury minionego systemu. W swoim pamiętniku przekazuje świadectwo tamtych lat. I jakkolwiek stara się być obiektywny (także wobec siebie), o tyle jego wizja otaczającego świata już od pierwszych linijek tekstu jest zmanipulowana, kreowana z perspektywy uprzywilejowanego decydenta, który usilnie stara się nas przekonać, że przyjął nową wiarę zwabiony iluzoryczną obietnicą szczęścia i społecznej równości.

W pierwszych latach tuż po II wojnie światowej, która przerewidowała dotychczasowy porządek i podważyła humanistyczne definicje, ludzie złaknieni normalności i spokoju zbyt łatwo ulegali prostym obietnicom. Za wszelką cenę chcieli żyć, wrócić do codzienności bez lęku, stać się na powrót tym najszlachetniejszym z gatunków. Komunizm (socjalizm) w powojennych, „ruinicznych” realiach wydawał się jedyną alternatywą nowego ładu gwarantującą to wszystko, czego pozbawiła ludzi wojna. Nie sposób zrozumieć procesu „nowej ewangelizacji spod czerwonej gwiazdy” poza kontekstem tego zbrojnego i ludobójczego konfliktu. W pamiętniku ten czas powraca już jednak jako echo, swoista „szczęśliwa” okoliczność dziejów.

Obserwujemy naszego narratora niemal od chwili narodzin, gdy z zapadłej wsi – dzięki protekcji wpływowego wuja Palimąki – udaje mu się wyjechać do miasta i stać się szeregowym członkiem organizacji partyjnych najniższego szczebla. Od tej chwili będziemy mu towarzyszyć niczym cień i poznamy

kolejne stopnie ideologicznego wtajemniczenia. Z każdym kolejnym etapem kariery nasz *cicerone* po zakamarkach swojskiego „demoludu” będzie odkrywał swoją nieporadność i niesamodzielność działania w myśl zasady „mierny, bierny, ale wierny”. W istocie mamy do czynienia z modelową sylwetką partyjnego działacza – człowieka bezkrytycznego, ale na tyle przebiegłego, by rozumieć, że przynależność do organizacji władzy warunkuje w krótkim czasie awans społeczny i materialny, zapewnia prestiż i szacunek – to wszystko, czego potrzebuje narrator, by ukryć swoje kompleksy. Bożydar (który na potrzeby ideologii zmieni wkrótce imię na bardziej zsekularyzowanego Bożka) – niczym słynny obywatel Jan Piszczek z kultowej komedii Andrzeja Munka – za wszelką cenę pragnie dopasować się do obecnej koniunktury, jednak wciąż prześladowa go pech, który paradoksalnie winduje go coraz wyżej ku rosnącej rozpaczliwej bohaterstwa. Owo historyczne załamywanie rąk nad losem, który jest konsekwencją uprawiania polityki, ujawnia koniunkturalizm i oportunistyczny Polaka – podwójną osobowość, z których jedna jest wierna i karna nowemu ustrojowi, druga prezentuje rozbrajającą prostoduszność i nieświadomość. W pewnym momencie czytelnikiem zaczynają targać wątpliwości – kim jest Bożek Polak? Jakiego motyw i postawy kierują jego postępkami?

Historia Polaka to historia rozbita na wiele kawałków, mozaika niewielkich odprysków zdarzeń. Pęknięta osobowość narratora wpływa na wielostrukturalność rodzajową tekstu. Choć bohater próbuje teatralnie tragizować i stara się nadać swoim wspomnieniom rys dramaturgii, nie potrafimy odczytać ich inaczej jak przewrotną komedię pomyłek. Przygody narratora opisane w pamiętniku przybierają formułę łotrzykowskiej gawędy (hiszp. *novela picaresca*) pełnej nagłych, komicznych zwrotów akcji, z których on sam zawsze jednak wychodzi cało – wszak nie uśmierca się głównego bohatera zbyt łatwo i zbyt szybko – fabuła musi się toczyć, jak życie. Bożydar vel Bożek zyskuje dzięki temu usprawiedliwiający status

ni to pechowca, ni to cwaniaka, człowieka uwikłanego, nieświadomego konsekwencji, a mimo to skutecznie lawirującego pomiędzy mieliznami partyjnej degradacji a ostracyzmem wspólnoty – współczesnego Sowizdrzała w służbie PRL-u.

Owa nieuchwytność osobowości, nieuchwytność motywacji zdarzeń, brak spójności postaw i czynów tworzą w powieści klimat wszechobecnej schizofrenizacji. I gdzieś pod skórę podpełza niepokój. Pod powierzchnią komizmu czai się groza opętania, zaprzędania duszy, które tak celnie zdefiniował w „Zniewolonym umyśle” Czesław Miłosz. Bohater zbyt późno uzyskuje świadomość swojego położenia – zbyt późno, by uciec i zbyt silnie uzależnił się od profitów za pełną służalczość.

„*Pod powierzchnią codziennych krzotań i zabiegów trwa świadomość nieodwołalnego wyboru. Człowiek musi albo umrzeć – fizycznie czy duchowo – albo odrodzić się w sposób jeden, z góry zdefiniowany, przez zażycie pigulek Murti-Binga*” (Cz. Miłosz, „Zniewolony umysł”).

W świecie wyczyszczonym z systemów chroniących duchową wartość człowieka, zrodziła się Konieczność wypełnienia Pustki. Konieczność zmuszała do pozbycia się indywidualności na rzecz Kolektywu – wspólnotowego wysiłku w odbudowie społecznej tkanki. Utopijność takiego systemu wkrótce przerodziła się w Absurd świeckiego Zbawienia, upiorną inżynierię zmierzającą ku skonstruowaniu nowej jednostki ludzkiej zdolnej przeobrazić świat podług narzuconego wzoru i w tym przeobrażeniu upatrywać cel swojego istnienia. Naczelnym celem ma być stopienie narodów w jedną całość.

W książce Andrzeja Kalinina – inaczej niż w parabolicznym eseju Noblisty – nowy system ukrywa dosyć przewrotnie swoją twarz za maską kłownady. Autor „Ze sztambucha...” wybrał strategię prześmiewczej opowieści, czym wyostrzył rysunek minionych czasów i dokonał aktu *katharsis* przez groteskowość. Podjął próbę zacierania, osławiania traum przez śmiech.

Dziś możemy pozwolić sobie na taki sposób opisu, bowiem dzieli nas bezpieczny dystans lat niepodległości. Wtedy, kiedy swój traktat pisał Miłosz, absurdalizacja nie wchodziła w rachubę, bowiem w dużej mierze nie zdawaliśmy sobie sprawy, że otaczająca nas rzeczywistość graniczy z psychozą.

Miłosz nami wstrząsnął – Kalinin leczy. Gdzieś pomiędzy nimi sytuuje się Tadeusz Konwicki, który w „Kompleksie polskim” doprecyzował definicję totalitarnego systemu:

„Dawniej zniewolonemu przysługiwało prawo krzyku, dziś niewolnikom zapewniono prawo milczenia, niemoty. Krzyk przynosił ulgę, krzepił zdrowie jak noworodkowi, hartował na przyszłość. Milczenie, niemota degenerują, duszą, zabijają. Dawniej, zniewolony, kiedy odzyskał wolność, mógł bez przeszkód włączyć się do wielkiej rodziny wolnych narodów. Dziś, przypadkiem uwolniony, nie będzie już zdolny do życia. Sam zginie od jądów, które zgromadził w sobie podczas czarnej nocy ubezwałnowolnienia”...

jako przestrożę na przyszłość.

wrzesień 2012
Aleksandra Keller



Karol Barton, *Okno na świat*, 70x50, olej na płótnie.

Andrzej Kalinin

WŁADYSŁAW EDWARD PIEKARSKI - ZASŁUŻONY DLA KULTURY POLSKIEJ



Foto: wep

Szacowny Laureat...

Jest dla kultury częstochowskiej postacią bardzo zasłużoną. Nie tylko z racji świetnych wierszy, których wydał już ponad trzynaście tomików, czy wielu publikacji literackich, ale przede wszystkim dla ogromu pracy na tzw. „niwie kultury”, gdzie przysporzył naszemu miastu sporo sławy i uznania. Jest przecież znanym w kraju jej animatorem, twórcą wielu przedsięwzięć z tym związanych, a także cenionym wydawcą i krytykiem literackim.



Foto: net

...i sam medal!

Aby o tym wszystkim w skrócie opowiedzieć, przytoczę tylko kilka najistotniejszych faktów, zaczerpniętych ze źródeł jak najbardziej obiektywnych, bo z krakowskiego Informatora Kulturalnego, wydanego przez Zarząd Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, pod tytułem „Pisarze z Krupniczej”.

Pod nazwiskiem Piekarski Władysław Edward znalazłem takie oto dossier pisarza. Urodził się 3 maja 1948 roku w Częstochowie. Po latach dowiem się że ten dzień ustanowiony zostanie jako Międzynarodowy Dzień Pisarza, ale nie dlatego że się urodził Piekarski - Międzynarodowy Dzień Pisarzy został ustanowiony przez

PEN Club w 1984 roku. Z zawodu technik-mechanik. Wcześniej studiował na Politechnice Częstochowskiej. Później Wiceprzewodniczący Rady Krajowej Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury w Polsce i prezes tego Stowarzyszenia w Częstochowie. Współzałożyciel, a następnie Prezydent FC Stowarzyszenia Międzynarodowi Twórcy Kultury skupiającego ponad 200 twórców z Europy, Ameryki i Azji. Prezes Rady Fundacji Kultury Robotniczej im. J. Wojciechowskiego. Wydawca i redaktor serii wydawniczej „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”, a także miesięcznika artystycznego, „Galeria”. W latach 1993-94 członek Zarządu Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Delegat na krajowy Zjazd Literatów w 1994.

Debiutował w 1967 roku wierszem w „Almanachu Młodych Twórców” (Pałac Młodzieży – Katowice). Swoje utwory publikował w czasopismach regionalnych i ogólnopolskich.

Wiersze Władysława Edwarda Piekarskiego tłumaczone były na języki rosyjski i bułgarski.

RODZINNY DOM

Urodził się w Częstochowie i dobrze pamięta tamten drewniany dom przy ulicy Czarneckiego, gdzie odkrywał dla siebie światy pierwszych fascynacji sportem, lotnictwem, książkami. Co wie o swoich korzeniach? Tyle, na ile mówiło się o nich w domu. Wspominano na przykład pradziadka Władysława Edwarda Piotra Piekarskiego, który za udział w Powstaniu Styczniowym został zesłany na długich 25 lat do Irkucka na Syberii, a po którym nasz pisarz nosi obecnie obydwie imiona. Mówiło się również o rodzinnych stronach Mamy, słynnym z partyzanckich bojów Maluszynie, gdzie wujek Władka Piekarskiego (Stanisław Grzybek) był jednym z dowódców tamtejszego oddziału AK.

Tata Piekarski zaraz po wojnie podjął pracę w Częstochowskiej Zakładach Okuć Budowlanych i pracował tam nieprzerwanie aż do renty, z uporem podnosząc swoje kwalifikacje, aż do funkcji kierownika jednego z zakładów. Ojciec Władka mawiał, że Piekarscy żyją krótko, ale bardzo intensywnie i przytacza tu fakt – „dziadek umarł w wieku 40 lat (zawał serca), ojciec

w wieku 50 lat, też zawał serca. Ja pierwszy zawał miałem w 33 roku życia”. W rodzinie jednak rządziła mama i jej to chyba zawdzięczać trzeba niezwykłą atmosferę tamtego domu. Czytało się tu książki na głos, słuchało wspólnie radia, szczególnie audycji teatralnych, całą rodziną chodziło do kina i przynajmniej dwa trzy razy do teatru. Był to czas kiedy kulturę wspierały zakłady pracy poprzez fundowanie biletów do kina lub teatru. Przy czwórce dzieci wydatki na kino czy teatr nie mieściły się w budżecie rodziny. Te piękne zwyczaje rodzinne wspierano skutecznie innymi jeszcze, choć niegdyśiejszymi już, ale jakże skutecznymi metodami wychowawczymi, kiedy za dobre sprawowanie nagradzano, a za złe karano, nieraz przy pomocy ojcowskiego paska od spodni.

Władek, najstarszy z dzieci w rodzinie Piekarskich czytać – jak mówi – nauczył się sam, ale zaraz potem dodaje, że tak niezupełnie sam, bo ma w tym swój udział ojciec, matka i stryjek. Nim poszedł do podstawówki, już zupełnie biegle składał litery w zdania i zachwycał się książkami, szczególnie tymi, w których były barwne ilustracje. Ale miał też w tej swojej młodzieńczej fascynacji znakomitego sprzymierzeńca. Dwie bramy dalej mieszkał bowiem stryjek Feliks Kasprzyk – syn chrzestnego Władka (chrzestny Władka to znany piekarz, który ponad pięćdziesiąt lat przepracował w swoim zawodzie w takich słynnych piekarniach jak „u Janczaka”, czy „u Jędryki”; wszędzie jako ten, co to „chleb robi”, człowiek niezwykle zachłanny na książki, którego zamiłowaniem, oprócz pasji do książek, był teatr – pracował przez kilkanaście lat jak pracownik techniczny Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, kilkakrotnie też jako statysta lub odtwórca epizodycznych ról. To on małemu Władkowi podsuwał najciekawsze pozycje literackie odpowiednie do jego wieku. Wciągał go pomału w ten niezwykle fantastyczny świat wzruszeń, fantazji, wyobrażeń, jakie dają tylko książki i z którego już wyrwać się nie sposób. Potem, gdy przeprowadzono się na Aleję Pokoju, rolę tę przejęła szkoła. W podstawówce dostrzegła to pani od polskiego Barbara Kurmin i małemu Władkowi

poświęcała wiele uwagi. A on, jak sporo chłopców w jego wieku, interesował się głównie lotnictwem. I znowu asumptem dla wyobraźni z tym związanej była literatura. Pochłaniał wtedy książki Janusza Meissnera, Bohdana Arcta, Jerzego Skalskiego. Znał na pamięć lotnicze przygody ich bohaterów, ale znał się również na typach aeroplanów właściwie wszystkich marek świata. Kiedy więc stanął problem wyboru szkoły średniej, decyzja mogła być tylko jedna. Technikum Budowy Silników Lotniczych, bo już wtedy wzrok jego osłabił się od ślęczenia nad książkami.

Mama oczywiście się bała. To taki niebezpieczny zawód – mówiła – o nieszczęście tam nie trudno, ale Władek był uparty. Pojechał do Wrocławia, zdał pomyślnie egzamin wstępny, dostał się więc do szkoły, ale szkopał tkwił w tym, że nie otrzymał niestety miejsca w internacie. Wynajęcie we Wrocławiu kwatery prywatnej z wiktem i opierunkiem przekraczało możliwości finansowe państwa Piekarskich, a i obawa o pozostawienie samopas w dużym mieście małego przecież chłopca, też zrobiło swoje. Władek wrócił do Częstochowy. Za namową chłopaków z podwórka podjął wnet naukę w szkole zawodowej. Tu polonistką była Stanisława Nowak, która goniła go nie do czytania książek, ale do pisania dyktand i wypracowań... Przez krótki czas była zmiana – polonistką została Wanda Nowak (siostra Stanisławy) popularnie zwana przez uczniów „Wandzią”, bo była pogodnego usposobienia, która miała inne podejście do języka polskiego... Przykładała większą uwagę do historii i teorii literatury. Po jej ukończeniu Władysław uczył się dalej w słynnym w mieście z wielu wspinających wychowanków Technikum Hutniczym przy ulicy Bolesława Prusa na Rakowie. Tu znowu trafił na znakomitą polonistkę panią profesor Barbarę Orłowską, (zmarła w ubiegłym roku), a która obok pierwszych kroków literackich Władka ma też na „sumieniu” Arkadiusza Franję, Szymona Grzegorzewskiego. Zainteresowania do literatury odżyły na nowo. Wtedy właśnie napisał swoją pierwszą w życiu książkę, „Nazywała się „Romantica” i była jakąś młodzieńczą, naiwną historyjką miłosną, która na szczęście gdzieś mi zginęła” – śmieje się

dzisiaj Piekarski. Potrzeba pisania wciąż jednak dawała o sobie znać. Coś nieustannie działało się w duszy młodego, wrażliwego chłopaka. Jakoś wtedy akurat Pałac Młodzieży w Katowicach ogłosił konkurs poetycki. Władek Piekarski wysłał tam kilka swoich wierszy i został wyróżniony. Zaproszono go do Katowic, bowiem dopatrzono się w jego utworach poetyckiego talentu. Przez dwa następne lata Władek związany był z warsztatami literackimi w tym właśnie Pałacu. Z tej niezwykłej szkoły pisania, ale również estetów i późniejszych twórców kultury, wyszło wielu znakomych literatów i znawców sztuki, że wspomnę tylko dzisiejszego senatora RP i reżysera filmowego Kazimierza Kutza czy krakowskiego pisarza i krytyka literackiego Andrzeja Torbusa (który w konkursie, na którym Władek dostał wyróżnienie był laureatem głównej nagrody). Tam też spotkał się z Wilhelmem Szewczykiem, Tadeuszem Kijonką, Feliksem Netzem i... Kaliną Jędrusik, itp. Krótko też polonistką zastępująca Barbarę Orłowską była Barbara Kubicka-Czekaj, u której po raz pierwszy dostał „gola” z języka polskiego... Smaczku sprawie dodaje fakt, że później po latach Władysław E. Piekarski wydał jej dwie książki „Syzyf w Tartarze” i „Sienkiewicz o artystach”, a także książkę poetycką jej córki Teresy Czekaj „sny o zakazanym szczęściu”.

W dalszym ciągu pochłaniał mnóstwo książek. Korzystał wtedy z dwu bibliotek – miejskiej publicznej i hutniczej przy Łukasińskiego... W tamtym czasie można było wypożyczyć po dwie książki jednorazowo...

DOROSŁE ŻYCIE

Po maturze musiał iść do pracy. W domu nie przelewało się, więc Władek postanowił połączyć pracę z nauką. Czuł się dorosły i nie chciał dłużej obciążać zapracowanych rodziców zwłaszcza, że mieli oni jeszcze na głowie młodszą trójkę dzieci. Pracę podjął 15 sierpnia 1968 roku w Zakładach Okuć i Instalacji Budowlanych za wstawienictwem ojca jako pracownik kontroli jakości. Studia podjął na Politechnice Częstochowskiej w systemie wieczorowym. Rano praca, wieczorami nauka. W takim zaharowaniu przebrnął przez

dwa pierwsze lata, a potem zaczęła go fascynować tak zwana działalność społeczna. Takie zajęcia, połączone z zagranicznymi wyjazdami, nobilitowało wtedy niebywale. Dzisiaj to oczywiście śmiesz, ale w tamtych latach taki wyjazd był szczytem marzeń każdego Polaka.

Pracował potem w „Metalplacie”. Tę firmę zapamiętał głównie z jednego ważnego i brzemennego w skutki powodu. Ożenił się tam z pewną młodziutką, piękną częstochowianką. Pytam więc, czy przyszła żona wiedziała, że zadaje się z poetą i z tej racji nie czeka ją łatwe życie?

- Wiedziała, ale tylko tyle, że od czasu do czasu pisuję coś tam – odpowiada pan Władysław. Przeczytała kilka moich wierszy i chyba się spodobały. Nie wiem, czy dlatego potem przy ołtarzu powiedziała: tak.

Po czterech latach tzw. kawalerki wkroczył w dorosły świat. Ten dorosły świat, tyle co założona rodzina, nakładały coraz nowsze obowiązki. Pan Władysław Piekarski mówi, że właśnie wtedy wziął rozbrat z literaturą na ponad dwadzieścia lat. Nie w dosłownym znaczeniu oczywiście. Piórem parał się dalej. Jego talenty w tym względzie szybko zostały dostrzeżone przez rządzącą wtedy wszechwładnie Partię, gdzie uznano, że z tego Piekarskiego, wiecie, może być dobry propagandzista. Pisał teraz przemówienia, różnego rodzaju referaty, wystąpienia, omówienia i gadki okolicznościowe. A zaczęło się od tego, że zaczął się bawić w „pracę społeczną”. Szybko odkryto jego zdolności organizacyjne i zaangażowanie w to, co robi. Zaczęły się awanse. Powstać miało województwo częstochowskie. Potrzebne były kadry. Przez dwa lata był szkolony jako kadra rezerwowa. W końcu był nawet organizatorem działań młodzieży w całym Zjednoczeniu. Potem przez pół roku był pełnomocnikiem ds. młodzieży w byłym NRD, dla tych, którzy pracowali na budowach i brygadach młodzieżowych w tamtejszych zakładach.

W tym czasie zmienił miejsce pracy na Fabrykę Artykułów Muzycznych – przy czym nie „robił” organek, a pracował jako ten, który zaopatruje fabrykę np. w opakowania do tychże organek. Tam zetknął się po raz pierwszy

z poligrafią, której tajniki wciągnęły go i stały się jego jakby drugą umiejętnością zawodową. Zapoznał się z technikami stosowanymi w poligrafii, przesiedział setki godzin w drukarniach Częstochowy, Krakowa, Gorzowa.

Urodziła się córka. Pensje, mimo że całkiem przyzwoite, nie starczyły na potrzeby małżeństwa... Zaczęły się „chałturki”. Weszła moda na tapety... A w gnaszyńskiej tapetowni z racji pracy w „organkach” były zawiązane znajomości, które umożliwiały wykupy tzw. makulaturowych końcówek, co dawało duże fory przy zdobywaniu klientów. Czas był dzielony między „pracą” a „fuchą”.

Któregoś dnia przypomniano sobie o tym, że zainwestowano w jego kształcenie. Władek na czas jakiś wyłądował w gminnym aparacie partyjnym w Rędzinach, a że duszę miał indywidualisty, nieposłuszną i sporo rozsądku w głowie, długo miejsca tam nie zagrażał.

Zabrał go do siebie ówczesny Dyrektor Kombinatu Cementowego „Rudniki”, gdzie został najpierw jego asystentem do spraw organizacji i zarządzania, a potem „rzucony” na „zabagniony odcinek” to jest zespół magazynów, w tym z pozostałościami poinwestycyjnymi po budowie Cementowni „Rudniki”. Wspomina, że świt go wyganiał z domu a zmrok do domu... Wytrzymał tak trzy lata. Wprowadził trochę porządku w gospodarkę magazynową. Pozbył się tzw. pozostałości poinwestycyjnych. Odszedł w tym czasie dyrektor Kombinatu, który go ściągnął do Kombinatu. Więc i on postanowił odejść z stanowiska... Nic innego mu nie zaproponowano, co by go usatysfakcjonowało.

Przeniósł się do huty noszącej wtedy imię Bolesława Bieruta.

Tam ze zdziwieniem przyjmowano odmowy przyjęcia przez niego stanowisk związanych z kierowaniem ludzi. Został zwykłym rozdzielczym składowiska i wysyłki na Walcowni Blach Grubych w systemie czterobrygadowym.

Był to już sławny rok 80. W kraju wrzało od strajków, demonstracji, rodziła się Solidarność. Władek nie wytrzymał i włączył się w ten nurt, ale po stronie tej oficjalnej, Związku Zawodowego Hutników. Zostaje wiceprzewodniczącym

rady wydziału ZZH.

Szybko też zauważa cele struktur, tak ZZH jak i Solidarności, które były dalekie od poprawy bytu robotników. Co dzisiaj z tamtych czasów zostało? Przekonanie o swoich wtedy racjach. Każda bowiem ze stron uważa, że to dzięki niej powstanie nowa Polska.

Przeżył rozwiązanie związków po wprowadzeniu stanu wojennego. Chociaż nie całkiem, bo 9 grudnia zmarła jego teściowa. Pogrzeb odbył się 11 grudnia. Załapał poważne przeziębienie z dość wysoką temperaturą i tak minęły go pierwsze dni stanu wojennego. Przepustki do poruszania się w godzinie policyjnej – pracował w systemie czterobrygadowym... Potem powstały komisje socjalne, które w jakiś sposób miały zastępować związki zawodowe w niektórych sprawach... Przyszło mu być takim „mężem zaufania” bo już wtedy wiedzieli, że na sprawach ludzkich się zna i umie załatwiać... A Walcownia Blach Grubych to prawie dwa tysiące ludzi.

Gdy powstała możliwość powstawania związków zawodowych (po stanie wojennym), stał się założycielem Związku Zawodowego Pracowników Huty im. Bolesława Bieruta (później Huty „Częstochowa”), jednym z wiceprzewodniczących Komitetu Założycielskiego, współautorem (a właściwie autorem) statutu Związku. Szybko zrozumiał, że związki w zakładzie są za słabe, przeto był inicjatorem powstania ponadzakładowego ruchu związkowego. Uczestniczył w centralnych negocjacji w sprawie powstania struktur ponadzakładowych związków zawodowych. Był członkiem zespołu, który powołał do życia pierwszą ponadzakładową organizację związkową – Federację Hutniczych Związków Zawodowych (dla której też tworzył statut), która z kolei powołała OPZZ.

No i trafił się pierwszy zawał. Na szpitalnym łóżku przeczytał anons o konkursie literackim. Napisał. Wygrał. Złamał monopol na coroczny wygrywanie przez wieloletnich „wygrywaczy”. I tak pan Władysław Piekarski wrócił niebawem do literatury. Odnowił działalność Zakładowego Klubu RSTK przy Domu Kultury Huty Bolesława Bieruta w Częstochowie. Potem został

prezesem Robotniczego Towarzystwa Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego. Towarzystwo było interdyscyplinarne – byli w nim literaci, plastycy, rzeźbiarze, fotograficy... Z czasem Towarzystwo to zyskało ogromne zasługi dla kultury naszego miasta. Wyszło stąd sporo częstochowskich, i nie tylko, poetów, prozaików, nie mówiąc już o walorach wychowawczych z tą działalnością związanych. Towarzystwo przyczyniło się do powstania federacji, którą była Rada Krajowa RSTK. W latach 1988-93 był Wiceprzewodniczącym Rady Krajowej Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury w Polsce. Był współzałożycielem a następnie Prezesem Rady Fundacji Kultury Robotniczej im. J. Wojciechowskiego. W okresie 1988-1996 zorganizował ponad dwadzieścia imprez plenerowych (w tym międzynarodowych w kraju i za granicą), konkursów (Ogólnopolski Konkurs Literacki „O laur Hutników”), konfrontacji (m.in. z jego inicjatywy odnowiono Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej i Konfrontacje Poetyckie jej imienia – jeden z najstarszych konkursów poetyckich w Polsce). Za jego pośrednictwem i namową od 1990 roku kolejni twórcy zostają członkami zawodowych związków twórczych (prawie każdy z członków ZLP z regionu). Od 1992 jest członkiem ZLP a w latach 1993-1994 członkiem zarządu krakowskiego oddziału ZLP i delegatem na Krajowy Zjazd ZLP w Warszawie w 1994 r. Z inicjatywy dr Stanisława Brajera w Zakopanym podczas z jednego z plenerów powołano Międzynarodowe Stowarzyszenie Twórców Kultury – i oczywiście obowiązki Prezydenta??? Stowarzyszenia powierzono Władkowi Piekarskiemu (bo komu innemu), który od lat ściągał na plenery twórców z zagranicy i sam plenery za granicę „wodził” – łącznie z tym nad Bajkał.

W końcu za „namową” Wałęsy wziął spraw „w swoje ręce”. Rzucił pracę w Hucie i poszedł na „swoje”. Otworzył Oficynę GALERIA, która początkowo miała być wydawnictwem, a stała się wszystkim, na czym można było zarabiać pieniądze. Przy czym te pieniądze nie przejadał, ale wkładał w działania wydawnicze.

W latach 1991- 1992 był redaktorem naczelnym

nym Oficyny Galeria i periodyku „Galeria”. Od 1992-1998 był wydawcą i redaktorem naczelnym miesięcznika artystycznego „Mini Galeria”.

Dzięki panu Piekarskiemu Częstochowa miała także dobrze redagowane periodyki kulturalne jak „Galeria” i „Mini Galeria”, gdzie mogli wypisać się do woli, ale i podnosić swój kunszt literacki, miejscowi twórcy. O innych zasługach pana Piekarskiego dla kultury naszego miasta pisałem już na wstępie tego tekstu. Ale przede wszystkim trzeba powiedzieć, że był pomysłodawcą i wydawcą serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”, którą rozpoczęło wydanie tomiku „Na cześć robaka” Agaty Polak, co miało miejsce w 1992 roku – równo dwadzieścia lat temu.

Potem zniknął z Częstochowy. Dobrodzień, Kraków, Niemcy, żeby powrócić i znów objąć się jako redaktor Wydawnictwa „DOM KSIĄŻKI”, a spod jego ręki wychodzą tak piękne edytorsko książki i tomiki wierszy, że aż radowała się dusza, iż są jeszcze ludzie, którzy tak potrafią. W tym dwa tomy „Poetyckiej Częstochowy (wraz z okolicą)”.

Potem trafiły mu się kolejne zawały i brak możliwości dalszej pracy. Renta i emerytura... Ale jego niespokojny duch nie pozwalał mu się zamknąć w czterech ścianach domu... Mówi, że bez tych działań już by go nie było... We współpracy ze Zbyszkim Stańczykiem w rekordowym tempie napisał „Słownik twórców literatury związanych z Ziemią Częstochowska (wraz z okolicą)”, w którym zawarto bibliografię 164 twórców literatury od średniowiecza do współczesności. Dzieło to należy uznać za jedno z najbardziej znaczących dla kultury w Częstochowie. Rozpędem jeszcze też wspólnie z Zbyszkim Stańczykiem powstały „Varia częstochowskie albo rocznik literacki 2006”, które wyciągnęło z szuflad literackie materiały twórców częstochowskich.

W marcu 2007 roku w Piwnicach Margaux na „Mirowskiej” skrzyknięci przez Piekarskiego twórcy literatury powołali „Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, a w maju tegoż roku ukazał się pierwszy numer „częstochowskiego magazynu literackiego

„Li-TWA”, które później na skutek sugestii Elżbiety Cichla-Czerniawskiej zmieniony został na „częstochowski magazyn literackie „GALERIA”. Towarzystwo zostało zarejestrowane 13 czerwca 2008 roku. Oficjalnie od tamtego czasu Piekarski prezesuje Towarzystwu. Nominalnym redaktorem „Galerii” jest Małgorzata Nowakowska-Karczewska, a w stopce jest zapisane przy nazwisku Władysław E. Piekarski – „zastępca redaktora naczelnego d/s technicznych, redaktor prowadzący”. Przy okazji to gdzieś około 3500 stron druku... 3500 stron złożonych, złamanych, przygotowanych do druku przez Piekarskiego... Uświadamiam sobie ogrom pracy... To siedem pięćset stronicowych tomów... Ponad pół metra na półce... To też waga. Magazyn systematycznie dociera do bibliotek uniwersyteckich, jest w bibliografii narodowej gromadzonej w Bibliotece Narodowej. Dociera także za granicę, a nawet za ocean... Magazyn ma też swoją wagę, przywracając niektóre nazwiska literaturze subregionu... Niektórzy w swych bibliografiach przykładają dużą wagę do zapisów z „GALERIĄ” w tle. Niedawno ukazał się jubileuszowy 20 numer „GALERII”. A ten materiał ukazuje się w numerze 25 – też jubileuszowym, prowadzonym przez Olę Wiewiórę wraz z nową, młodą Redakcją, w której funkcję redaktora technicznego pełni nie kto inny jak właśnie... Władysław E. Piekarski. Dzieje się tak na pewno z racji ogromnego doświadczenia Władysława w zakresie edytorstwa i redakcji tekstów, którym może i chce wspomagać młodą gwardię.

Towarzystwo było współwydawcą publikacji z serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”: „Relacje” i „Spadek” (w wersji polsko-angielskiej) oraz „Literatury prywatnej i innej...” autorstwa Bogdana Knopa, „Trzecie otwarcie” Jana Łączewskiego, „Ja, Margott” i „Las westchnień” Małgorzaty Franc, „Oszronione” Marzeny Pieńkowskiej (książka nagrodzona nagrodą Marszałka Województwa Śląskiego), „Margott” oraz „siedem monologów i jedna pieśń” Władysława E. Piekarskiego, „Wyśnij mnie...” Anny Bagriana (Ukraina), „5/7” Wiesława Wyszyńskiego, „Dojrzewanie” Marka Maculewicza, „Antyerotyki” i „Traktat

o pięknie i naiwności”, „Niesakralne przechadzki z bogami” Ireneusza K. Korpysia, debiutancki tomu Justyny Niedbały „Czarna odcień bieli”, debiutancki tom „INTERVIEW (Struktura ilości wysokiej jakości) (ANTYKSIĄŻKA), „Pean na trapezy syntezy” – Tomasza „Aztzentego” Barańskiego; „49 wierszy” i „Są takie miejsca” Jana Łączawskiego; „Podwójna miara” i „Brat” Altei Leszczyńskiej, „Z trzech krain po raz drugi” oraz „Listy Hrabiego... Zbigniewa Wołczyńskiego; „Urywki rzeczywistości” i „Rękawica koloru khaki” Rafała Sochy oraz jubileuszowe wydanie powieści Andrzeja Kalinina „Ze sztambucha starego komucha” nominowana do nagrody „GDYNIA 2010”, „Rozmowy w pociągu do Atocha” Władysława E. Piekarskiego, „Dialogi rodzaju żeńskiego” Aleksandry Keller.

Towarzystwo wydało szkice pt. „Władysława Terleckiego trylogia o powstaniu styczniowym („Spisek”, „Dwie głowy ptaka”, „Powrót z Carskiego Siola”)” Wojciecha Kajtocha; „Szkice częstochowskie 2007-2008” Ireneusza K. Korpysia, które zapoczątkowały serię „Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne” oraz „Kellerowskie szkice częstochowskie 2009 -2011” Aleksandry Keller. W 2010 roku, w serii wydawniczej „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików” ukazała się antologia poezji rosyjskiej znad Bajkału – „Syberiada” w tłumaczeniu Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza.

Książka „Rozmowy w pociągu do Atocha” Władysława E. Piekarskiego, jest obecnie przetłumaczona na język niemiecki i w tej wersji czeka na publikację. Trwają prace nad kolejnymi publikacjami. Poza powieścią Andrzeja Kalinina „Ze sztambucha starego komucha”, która była opublikowana we współpracy z Biblioteką Publiczną im. dr Władysława Biegańskiego w Częstochowie, wszystkie pozostałe publikacje były realizowane samodzielnie.

Przy okazji były „GLORIA ARTIS” dla Andrzeja Kalinina, Tadeusza Chabrowskiego, nagrody specjalne Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla obu, a w grudniu ubiegłego roku dla Władysława E. Piekarskiego. Do tego ponad 60 wniosków do różnych szczebli administracji rządowej i samorządowej.

Jakie ma plany na przyszłość?

Dotrwać do marca br. Ostatnio znowu na niemal kilka tygodni był wyłączony z działań Towarzystwa, bowiem w tym czasie przebywał na leczeniu sanatoryjnym. W ubiegłym roku „wylączył się” w ten sposób ponad sześć razy, przez ponad 60 dni (jedna szósta roku, a jak dołożyć jeszcze sanatorium, to już urasta do jednej czwartej roku). Stan jego zdrowia nie rokuje na poprawę i pogarsza się. Podczas ostatniego Walnego Zebrania zasugerował swoją rezygnację z pełnienia funkcji Prezesa Towarzystwa, lecz nie została ona poddana dyskusji, chociaż całkiem poważnie o tym mówił. Dlatego ponawia swoją prośbę, by tym razem rozważyć konieczność jego rezygnacji. Od wielu miesięcy stara się też przygotować tych, którzy mogliby kontynuować działalność Towarzystwa. Obecnie zasugerował zwołanie Walnego Zebrania i wybory Prezesa Towarzystwa oraz nowego składu Zarządu Towarzystwa tym bardziej, że zgodnie ze statutem jest to odpowiedni czas, gdyż kadencja obecnych władz dobiega końca. Ponadto został zakończony etap prac. Władysław Piekarski nadal może zajmować się pracą redakcyjną nad „częstochowskim magazynem literackim GALERIA” (w dalszym ciągu jako redaktor prowadzący), prowadzić i przygotowywać do wydania publikacje Wydawnictwa Literackiego „Li-TWA” w ramach Częstochowskiej Biblioteczki Poetów i Prozaików oraz uczyć następcę lub następców, którzy przejęliby przygotowania „GALERII” i publikacji w ramach Wydawnictwa. Nie chce też całkowicie wyłączać się z życia Towarzystwa – będzie służył radą i pomocą w miarę, jak wystarczy mu sił.

Sam mówi: „Sądzę, że będzie to także dobry czas, by w nowe pięciolecie Towarzystwo mogło wejść pod nowym kierownictwem, z nowymi planami. Pięć lat minęło w marcu 2012... Pięć lat minie w maju 2012 roku od chwili, gdy ukazał się pierwszy numer pisma (wtedy) „Li-TWA” (a dziś „GALERII”). Stało się to podczas spotkania z zaproszonymi pisarzami z Ukrainy w piwnicy na „Mirowskiej”.

„Pięć lat minęło również w maju 2012 roku od momentu, w którym poznałem Wojciecha

Pestkę i Bogdana Knopa (to mój osobisty jubileusz)... Tutaj wypada podziękować tym wszystkim, którzy tworzyli Towarzystwo i wspomagali jego działania, a także pomagali mi niekiedy w „zwarowanych” przedsięwzięcia, w które – prócz mnie – mało kto wierzył. Muszę przyznać, że niekiedy po prostu wymuszałem ich realizację, nie licząc się z odmiennymi opiniami (za co przepraszam).

Niebawem książka (już na ukończeniu), a potem...

We wrześniu 2011 r. zamknął etap przygotowania do publikacji książki pisanej w ramach stypendium Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego pt. „Rozmowy z Andrzejem Kalininem przy kalininówce”. Książka planowana jest do wydania w 80 rocznicę urodzin A. Kalinina.

Szykuje się do „Bibliografii częstochowskiego magazynu literackiego „MiniGALERIA i GALERIA”, aby udokumentować to wszystko, co się dzieje od 2007 roku w publikacjach na tych łamach (od „Varii częstochowskich...” - rok 2006). Wreszcie zamknięcie kolejnego etapu opracowania „Częstochowskich grup i grupiek literackich” – historii literackiej Częstochowy XX wieku i pierwszej dekady XXI wieku, w tym ponad trzydziestoletni jego udział w niej.

Może nowe stowarzyszenie twórców?

„Jak już kilka razy powiedziałem, jesteśmy w tak zwanym subregionie defaworyzowanym... Musimy wyrwać się z tego kręgu, ale to nie takie proste. Problem w tym, że jesteśmy traktowani jak dodatek do Śląska, w którym funkcjonują inne priorytety w literaturze. Istotniejsze są problemy subregionu Bielska-Białej z subkulturą Podbeskidzia, inne z subregionem katowickim, w którym króluje kultura typowa dla Śląska, łącznie z gwarą i próbą autonomii... Subregion częstochowski to coś takiego „ni pies, ni wydra”. Trochę to zmierza w kierunku „kieleckich szczyryków” i trochę małopolskich krakusów. Nie widać, aby nawet ciążyło ku Zagłębiu (nie mówiąc o Śląsku zza Brynicy). Podejmowane są próby...

W tych próbach Towarzystwo jest liderem, bo poza Towarzystwem nie ma reprezentan-

tów innej opcji w literaturze. Nie ma szans na oddział SPP, bo do SPP należy ledwie 3 literatów (czwarty M. Rawinis wyemigrował w rodzinne strony, piąty Waldemar M. Gaiński zmarł niedawno). Nie ma szans na oddział ZLP, bo – mimo, że jest już 11 członków ZLP – nie ma jedności, aby taki oddział powołać. Do powołania oddziału potrzeba w obu przypadkach, co najmniej 10 członków. „Zlepownicy” wolą należeć do krakowskiego oddziału, bo to splendor, którego nie można porównać do jakiegoś prowincjonalnego „oddzialiku” częstochowskiego, chociaż byłby to przypadek szczególny, żeby w mieście na prawach powiatu działał oddział ZLP czy SPP (choć istnieją oddziały ZLP w Gorzowie Wlkp., Koszalinie, Rzeszowie, Ciechanowie, Płocku, Słupsku). Na ostatnim zjeździe ZLP zauważono, że jest szansa na stworzenie oddziału, co już dwukrotnie podkreślałem. I nie jest to przypadek... Wiedzą o Towarzystwie i wiedzą o „GALERII”. Znają wagę Towarzystwa i „GALERII”. Dlatego „mrugnięcie” w stronę Częstochowy i być może zachęta... No i przede wszystkim tworzenia tzw. ładu korporacyjnego. Pisanie literatury to działalność zawodowa... Prawo do wykonywania zawodu nadają związki twórcze poprzez komisje kwalifikacyjne...”.

Na pewno Władysław E. Piekarski coś takiego dobrego będzie robił, bo mają to przecież w zwyczaju ludzie niezwyčajni i niespokojni.

Andrzej Kalinin



Karol Barton, The Kiss, 70x50, akryl na płótnie.

Konrad Ludwicki

NIEOGARNIALNOŚĆ ŻYCIA W MONOLOGACH (I PIEŚNI) WŁADYSŁAWA EDWARDA PIEKARSKIEGO



Okładka tomiku wierszy Władysława E. Piekarskiego „siedem monologów i jedna pieśń”.

Władysław Edward Piekarski (rocznik 1948) to chłop-czołg a jednak kruchy (co nieco chorowity) i sentymentalny. Człowiek-instytucja. Natomiast „instytucja” – jak wiemy – ma cokolwiek wydzźwięk pejoratywny. Jednak jego działalność na urzędzie różni to, iż każda sprawa jest rozpatrywana nie na korzyść – jak jest najczęściej w przypadku urzędu – biurokraty a na korzyść interesanta (*vel.* twórcy). Pomaga, wysyła maile, składa, wydaje... i czasami zgarnia nagrody. Zresztą robi to bez kamuflażu – bowiem hasło adoracji jest niczym leitmotiv. Zatem urząd jego – co by nie zarzucić temu organowi – jest przydatny.

Zostawmy służbę i urzędowanie skoncentrujemy się na tomiku *Siedem monologów i jedna pieśń*. Zgodnie z tytułem zbioru na czterdziestu czterech stronach faktycznie obcujemy z siedmioma monologami i jedną pieśnią. Da się też zauważyć – czego autor nie ukrywa – pewne powinowactwa (bądź lepiej szacunek) względem poezji Herberta. Obserwujemy inspiracje nim (patrz: *Mój ojciec, Raport z (nie)oblężonego miasta i Z mitologii*). WEP zresztą na początku

trzech pierwszych monologów daje tytuł *Trzy monologi do Herberta*. Nie jest to jednak fronda względem wielkiego poety, lecz raczej jest kreacyjna i koncepcyjna przekora. Bardziej pewna krnąbrność niż drastyczna buntowniczość. Piekarski na swój indywidualny sposób parafrazuje Herberta – efekt trawestacji wydaje się ciekawy.

Władysław Piekarski dedykuje Andrzejowi Kalininowi (1933) – *Jedną Pieśń* i Tadeuszowi Śliwiakowi (1928 – 1994) *Dwa monologi*. On sam jest pokolenie młodszy od tych dwóch i jest równocześnie – w mym odczuciu – ideowym kontynuatorem tychże literatów. Nie tyle naśladowcą, co prędzej zwolennikiem ich wyobrażeń i pojęć – idei właśnie. Wspomnianych dwóch a i innych, których przywołuje, m.in.: Leszka Marutę (1930 – 2002), Olgierda Jędrzejczaka (1930 – 2010) czy Juliana Kawalca (1916). Choć u Piekarskiego – i w tym jest jego oryginalność – zaczyna się całkiem „inna bajka”. Jego historia nie zawsze musi mieć wiele wspólnego z – nie da się uciec od tego zwrotu – tak zwanym *stricte* podmiotem lirycznym, lecz prędzej z wielowarstwową przestrzenią, z której wyrasta jego głos (por. część *Jeden monolog bez tytułu*). W ten sposób ta biograficzna (re)konstrukcja losów piszącego staje się pełniejsza a przez to bliższa prawdy.

Nie jestem zwolennikiem wszystkiego, co pisze Piekarski (prawdę mówiąc nie znam całości jego dorobku, ech tyle innych świetnych książek wciąż do przeczytania), niemniej jestem wyznawcą (znacznie bardziej wyznawcą niż znawcą) jego *Siedmiu monologów i jednej pieśni*. Bo i są to monologi, i jest pieśń. Monologi jako przede wszystkim oracje i refleksje a pieśń jako (bo ja wiem?) afirmacja (?) trwania – życia po prostu (patrz: *Kalinowska szósta pieśń nad pieśniami nie do śpiewania*).

Lektura Piekarskiego pozwala na wgląd w rozmaite (dyktowane głównie „warszatem”

i „temperamentem”) sposoby opisywania – ależ oczywiście! – egzystencji. Piekarski to twórca (zwrot „twórca” wydaje mi się w tym przypadku bardziej adekwatny niż egzaltowany „poeta”) nad wyraz „pojemny”. Znaczy to w mym rozumieniu, że wiele można z niego o nim wyczytać. Znaczy to też, że udaje się pewne wnioski – a niech tam – interpretacyjnie ulokować na różnych poziomach poznawalności. Na różnych horyzontach percepcji.

Liryka ta stanowi niemal wzorcowy przykład stworzonej przez nadawcę „persony”, której tożsamość z osobą autora jest niejako zamknięta w cudzysłów ironii. Pomiędzy markowaną trwogą (której ostatecznie autor ma świadomość) i nadzieją jawi się coś, co określiłbym czysto lirycznym dystansem.

Jest w tym wszystkim dyskretna i roztrępaność. Jest jakaś osobliwa wiwisekcja sekretów, nawet nie tyle (jakby się na pierwszy „rzut” mogło wydawać) zdrowia i zawsze stojącej blisko niego choroby, co po prostu powściągliwa wiwisekcja w obnażaniu tajemnic ludzkiej kruchości. Reminiscencje łączą się z czasem teraźniejszym – integrują z dzisiejszym tu i teraz. Piekarski dokonuje (roz)rachunku przeszłości. To nade wszystko pamięć nadaje jego wyznaniu kolorytu. Zdania i wyrazy mają barwę i zmysłowość. By uzupełnić: to nawet nie przeszłość (nie sama ona) jest tak ważna, lecz współistniejący z nią, a jakżeby inaczej, przedmiot. On sam – ów obiekt i eksponat – przestaje być wyłącznie rzeczą, tając się jakimś przywoływaniem meritum. Odbiciem t a m t e j minionej chwili. Niegdyśszego czasu. Jest i jeszcze coś: są wyznania na temat sensualizmu, czegoś, co określiłbym jako swoistą (bo bardziej wizualną niż erotyczną) pożądlivość (*martwa natura*). Te wynurzenia na temat własnej łapczywości wizualnej (a i smakowej) nadają specyficzny koloryt jego refleksjom. Promieniają jakimś melancholijnym (niby świątecznym) optymizmem.

Zatem – zmierzając to puenty – Piekarski zdaje się udowadniać, iż poezja współczesna odślania pewne pogranicze. Pogranicze, by uzupełnić, pojęć łączonych ze sobą. Uwidacznia

się triada: fikcja (bądź lepiej fabuła), narracja i doświadczenie (które można nazwać reprezentacją). Światotworzenie WEPa eksponuje ostatecznie nieogarnialność tego, co życiowe.

Niemniej – aby z mojego tekstu nie powstała wyłącznie li laurka czy panegiryk – już zupełnie na koniec wypada wytknąć pewne chochliki (lub lepiej diabły!) edytorskie. Przywołam na przykład formę imienia Olgierd – OlgierTa (pisownia oryginalna, s. 27) czy – co jest w mym mniemaniu niedopuszczalne – i n n y numer ISBN na tyle okładki, inny zaś na drugiej stronie tomiku. Ufam, iż – czego autorowi życzę – ewentualna trzecia edycja uniknie tego typu omyłek wydawniczych.

dr Konrad Ludwicki

Władysław Edward Piekarski, *Siedem monologów i jedna pieśń*, Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików, Częstochowa 2012, wydanie II, s. 45.



Karol Barton, Kobieta z ptakiem, 90x70, olej na płótnie.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

GLOSY DO KSIĄŻEK PRZECZYTANYCH GLOSA VII

O KSIĄŻCE ALICJI NOWAK „WCZORAJ”

Pani Alicja Nowak, zapewne własnym sump-tem, wydała książkę zatytułowaną „Wczoraj”. Jest to książka, a może raczej książeczka, która nie powinna pozostawać obojętna dla wszystkich tych, którzy czują się częstochowianinami albo też czują ku temu miastu jakiś sentyment. Ja wychowywałem się w podczęstochowskiej wsi, ale pięć szóstych mojego życia spędziłem w Częstochowie, z małymi przerwami na studia na Śląsku, w Katowicach. Głosę niniejszą piszę 3 sierpnia 2012 roku, tj. w dniu moich sześćdziesiątych urodzin, a zatem wszelkie rachunki i wyliczenia są, i łatwe, i proste. Nie będę żadnym uzurpatorem, jeżeli napiszę, że jestem częstochowianinem, choć stale podkreślam, że z duszy i serca pozostaję chłopem, tyle tylko, że cokolwiek wykształconym. Przynależność do stanu chłopskiego jest moją chlubą i dumą.

Nie ukrywam, że Pani Alicja Nowak, nie wiedząc czemu darząca mnie sympatią i zaufaniem, zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie kilku zdań wstępu do tej książki. Ponieważ kobietom się nie odmawia, a Pani Ali nie jestem w stanie odmówić czegokolwiek, wstęp ten popelnilem a to, że „Wczoraj” jest przedmiotem niniejszej glosy, to już od początku do końca moja inicjatywa, ze wszech miar uzasadniona. Nie można zatem przypisywać zarówno autorce jak i mnie żadnego kumoterstwa. Ani Pani Ala, ani ja nie należymy do partii politycznych tworzących rządzącą koalicję, a więc nie mamy skąd czerpać nauk jak się uprawia kumoterstwo i nepotyzm. Nie znam poglądów politycznych Pani Ali, a ona zapewne się domyśla, że jestem wrogo nastawiony do całej bezklasowej klasy politycznej zasiadającej w Sejmie i w Senacie, chociaż mam świadomość, że parę osób, np. Pana Kazimierza Kutza, takim osądem krzywdzę, ale skoro wszedłeś między wrony... a wyjątki potwierdzają

regułę.

„Wczoraj” należy do książek, których opowie- dzieć nie sposób. Jest jakby zbiorem osobistych wspomnień, refleksji nad przemijaniem i im- presji filozoficzno-poetyckich, napisanych przez osobę uduchowioną i uzdolnioną w postrzeganiu różnych barw i odcieni otaczającego nas świata. Nie wiem, czy są wśród częstochowian tacy, którzy imienia i nazwiska Pani Alicji Nowak nie kojarzyliby z obrazami, nieco zamglonymi, sprawiającymi przez to wrażenie, że świat, który przedstawiają jakby zabierał się do odejścia, jakby dosłownie i w przenośni miał za moment zginąć. Jestem wielbicielem tych obrazów ma- lowanych na modłę postimpresjonistyczną i w sposobie, jak czynią to mężczyźni, zdecydowa- nych pociągnąć pędzla, określonej tonacji w szerokich, barwnych planach. Natomiast to, co pisze Pani Alicja Nowak, jest bardzo kobiece przez przywiązanie do szczegółów i detali konstrukcji utworu. Takim właśnie utworem jest „Wczoraj”.

Ta książka ma wielu bohaterów, którzy jako zbiorowość stworzyli bohatera głównego, jakim była i zapewne jeszcze trochę pozosta- nie – Częstochówka. Młodszym czytelnikom śpieszę wyjaśnić, że Częstochówka to nie jest slangowe określenie Częstochowy, bo skoro jest „warszawka” to może być również „częstochów- ka”. Może takie określenie jest w obiegu, ale Częstochówka to byt realny, który nie wypadł sroce spod ogona, byt mający swoją historię i stałe miejsce na mapie Częstochowy, opisywane w taki sposób przez Panią Alę – *Rynek Wieluński serce dzielnicy – był wybrukowany kamieniami, o zwartej zabudowie przeważnie parterowymi domami; liczył czterdzieści osiem numerów. Czterdziesty ósmy to dom, pod którym w 1943 r. rozstrzelano dziesięciu zakładników. Miał ciekawą*

kształt, stał osobno na rozwidleniu rynku i ulicy łódzkiej. Był miejscem spotkań „za rogiem”. Od rynku wtulonego do podnóża Jasnej Góry od północnej strony, odbiegały równoległe do siebie ulice Łódzka i Bialska; łączyła je ulica Chłopickiego, wtedy zabudowana stodołami. Była też miejscem, gdzie próbowano siłę koni, kupowanych we wtorek na targu. Na zachód w stronę Kłobucka, biegła granitową kostką wyłożona ulica Św. Rocha, pamiętająca piesze konduktu pogrzebowe i konne karawany. Niskie domy miały szerokie wjazdowe bramy o łukowatym sklepieniu i małe furtki. Domy o zwartej zabudowie tworzyły jednolitą ścianę. Ulica Św. Rocha miała swoją gwarę i klimat, ludzie mieli zwyczaj wysiadania na ulicy przed bramami. Przechodząc, było się pod obstrzałem wielu oczu. Z zachodniej strony od rynku w stronę Jasnej Góry, przecinając ulicę Paulińską, pięta się Klasztorna. Szeroka ulica Wieluńska to trzydzieści dwa numery, zabudowana kamieniczkami mającymi po trzy okna, z wąskimi bramami i podwórkami. Była to ulica licznych sklepów różnych branż, dochodziła do parków i jasnogórskiego szczytu, gdzie zbiegała się z –jednostronnie zabudowaną okazałymi kamienicami – ulicą 3 Maja. Wspomnieć należy wtuloną za plecami Wieluńskiej, wychodzącą na 3 Maja, urokliwą uliczkę Św. Jana. Wspomnę jeszcze mały dom, który stał samotnie, pośrodku niewielkiego placu, przy zbiegu Bialskiej i Rocha. W pamięci mam jego wyraźny obraz. Dom był niski z dużym dachem, do którego swobodnie sięgało się ręką. Był kwadratowy, bielony wapnem na niebiesko. Miał trzy małe okna z pelargoniami. Drewniane drzwi zmuszały do schylania się, bowiem dom mocno zapadł się w ziemię. Legenda mówiła o nim, że pamiętał Szwedów i Napoleona. Cytat może nazbyt długi, ale któżby się poważał bardziej precyzyjnie i plastycznie opisać granice Częstochówki. Wszak Pani Ala tam się urodziła, tam się wychowywała i znała tam wszystkich, no powiedzmy, prawie wszystkich.

Od połączenia Częstochowy z Częstochówką w jeden organizm administracyjny upłynęło sporo wody w Warcie, a jeszcze do czasów młodości Pani Alicji Nowak zachowały się wyraźne ślady odrębności, może nie tyle administracyj-

nej, co gospodarczej. Częstochówka stanowiła samodzielny podmiot gospodarczy ze wspaniale zorganizowanym podziałem pracy. Dobry Bóg jak dotąd cierpliwie wysłuchuje moje prośby o chleb powszedni i mam ten chleb od mistrza Jędryki; podobny do bułki wrocławskiej, żytnio-pszenney, posypany makiem, z którego moja żona – Ślązaczka robi mi codziennie kanapki



Karol Barton, *Młyn i gęsi*, 70x50, akryl na płótnie.

do pracy. Żona pochodzi z górniczej rodziny, a w takiej rodzinie o męża i ojca zawsze się dbało. Sobotnie i niedzielne śniadania, które są najbardziej rodzinnymi posiłkami w moim domu, trudno sobie wyobrazić bez chleba „szlacheckiego”, nazywanego przez wnuczkę „szlachetem” i razowca pieczonych w piekarni Musiorskiego. Tęsknię za tym pieczywem, będąc na wczasach czy w szpitalu. Z książki Pani Ali dowiedziałem się, że firmy Jędryki i Musiorskiego to stare piekarnie usytuowane przy ulicy Św. Rocha. Smacniejszy chleb piekła tylko moja babcia. Bez ulepszczy i jakichkolwiek konserwantów ten chlebuś można było jeść przez dziesięć dni, bo na tyle czasu wystarczało owych sześć bochnów wielkich jak koła młyn-

skie. A przez cały ten czas chleb był świeży, a przez cały ten czas chleb pachniał i nigdy babci nie spleśniał. Jeżeli okruh tych chlebów spadnie na podłogę, podnoszę z uszanowaniem dla darów nieba, całuję i zjadam...

A przecież Pani Ala zajaadała się również bułkami pani Gawłowskiej i lodami pana Światyły bo rynek Wieluński miał swoją atmosferę. Tu żyło się spokojnie, bezpiecznie. Ludzie się znali. Dzielnica była samowystarczalna, wszystko bliskie, własne.

Z lektury „Wczoraj” wynika, że szczególnie miejsce w życiu autorki, zajmował i zajmuje jej ojciec – Kazimierz Nowak, kowal co się zowie, który kuźnię odziedziczył po ojcu a dziadku Pani Ali – Mateuszu Nowaku. Jakkolwiek za mistrza opisu w literaturze rodzimej uchodzi Władysław St. Reymont, to ten nasz laureat literackiego Nobla, kiwałby zapewne z uznaniem głową, gdyby czytał rozdział głosowanej książki zatytułowany „Kuźnia mojego Ojca Kazimierza”. Opis kuźni, dokonany ręką Pani Ali, tchnie potrójnym znawstwem, literackim, plastycznym no i sztuki kowalskiej, ale przede wszystkim miłością córki do ojca. Wspomnienia na nowo tę miłość rozgrzewają do temperatury kutego żelaza. Co prawda należy przypuszczać, że moi protoplaści mieli jakieś tam związki z kowalstwem, bo świadczy o tym moje nazwisko, ale tak naprawdę to kuźni i kowala, jako dzieciak, bałem się panicznie. W długie jesienne i zimowe wieczory babcia opowiadała mi, a dziadek skwapliwie jej przytakiwał, że kowale żyją w przyjaźni z diabłami. Kują dla diabłów widły i kleszcze, by mieli czym zaganiać potępione dusze do piekła, a tam by szarpać je rozgrzanymi kleszczami. Za taką robotę diabli płacili kowalom złotem zrabowanym w kościołach albo bogatym Żydom. Kuźnia w mojej wsi była naprzeciw podwórka ciotki Stefki. Jak z ojcem zachodziłem do ciotki, obojętnie czy to w lecie czy w zimie, to po pięciu minutach robiło mi się tak duszno, że musiałem wyjść na dwór... i z podwórka obserwowałem kuźnię, i kowala. Kowal to zauważał i wielokrotnie kiwał na mnie, by wejść do kuźni. Udawałem wówczas, że kowala nie widzę i spod spuszczonej głowy przyglądałem się, jak kują konie lub naprawiają

plugi, radła lub brony. Rytualem chłopskim było zapalanie papierosów od wystygłego, ale wciąż bardzo gorącego żelaza. Zapałki chłopci dzielili na czworo, a może to był zwyczaj, który miał świadczyć o czymś więcej, niż o tej przysłowiowej biedzie. Pani Ala kończy ten rozdział takim oto zdaniem – *Tobie, Tato, ulegato żelazo, a Ty ulegalesz mnie*. Coś na ten temat wiem, bo mam dwie córki, a już wnuczka może ugniatać dziadka niczym przysłowiową plastelinę.

Częstochówka w jakiś sposób żyła i z klasztoru jasnogórskiego, i z pielgrzymów. Pielgrzymki w głównej mierze przychodziły w lecie; na „zielną” tj. na święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przypadające na 15 sierpnia, na święto Matki Boskiej Częstochowskiej przypadające w dniu 26 sierpnia i na „siewna”, czyli na święto



Karol Barton, *Mesecina*, 70x50, olej na płótnie.

Narodzenia Najświętszej Marii Panny obchodzone w dniu 8 września. I ja pamiętam te odpusty. Na zawsze pozostanie w mojej pamięci widok i zapach poklasztornej „gastronomii”, tak opisany przez Panią Alicję Nowak – *Dobrze prosperowały „bary szybkiej obsługi” (garkuchnie)*. *Pod gołym niebem ustawiano prowizoryczne*

stoły i ławy, a na żelaznych piecykach „kozach” lub z cegły zbudowanego paleniska na kościach i oleju gotowano przeważnie zupę pomidorową i kapuśniak. Żurek z kielbasą kosztował drożej, był daniem bardziej wykwinutym jak również drugie dania – najczęściej kotlet mielony z ziemniakami i kapustą, rzadziej kotlet schabowy czy naleśniki. Tego typu dania przygotowywane były w domach i gotowe przynoszone w koszach. Ludzie jedli, siedząc na trawie. Talerze zmywano w wiadrze, byle jak, w jednej wodzie. Były też kobiety handlujące herbatą. Nosiły mocno opatulone czajniki z gorącym napojem, szklanki w koszykach i butelkę z wodą do pomywania. Nawet nocą słychać było głosy „herbata gorąca”. Dla handlujących był to czas niezłych zarobków, ale i nie lekkiej pracy. Przyjezdni często spożywali własną żywność: swojską kielbasę, kaszankę, pachnący swojski chleb i drożdżowe ciasto.

Nieodłącznym elementem pielgrzymki na Jasną Górę było zrobienie sobie, najczęściej całej rodzinie, „pięciominutowki”. Była to fotografia robiona dość szybko, może dłużej niż pięć minut, ale szybko. Zdjęcia te robiono na tle planszy z napisem „Pamiętka z Częstochowy” albo wchodziło się na stołek za planszą i wystawiało głowy z samolotu a zakochani z serduszka. Do dziś zachowała się w moim rodzinnym albumie taka fotografia, niezwykle dla mnie cenna, bo stoję na niej tuż obok mojej ukochanej babci. Pani Alicja Nowak też pisze o tych fotografiach.

Jednakże pielgrzymki z tamtych lat to w głównej mierze rozmodleni, pełni skupienia ludzie, czuwający nocami przed zasłoniętym obrazem, leżący krzyżem, nie tylko w kaplicy lecz także przed szczytem. Nie bardzo mogłem zrozumieć, o co tym ludziom chodzi. Wyobrażałem sobie, że są to osoby, które ciężko zgrzeszyły a kiedy spytałem babcię, co zrobiła, że leżała krzyżem przed Cudownym Obrazem – usłyszałem, że ma wiele powodów, by w ten sposób dziękować Najświętszej Marii Pannie. Później prawie przez godzinę klęczała, a z jej oczu płynęły łzy tak duże jak paciorki różańca, który odmawiała. A gdy kazanie głosił ksiądz kardynał Stefan Wyszyński, to ludzie słuchali

go z największą uwagą i cisza zalegała nie tylko jasnogórskie błonia, ale i obydwa parki, bo i w parkach stały tłumy i nikt nie śmiał przerywać kazania oklaskami. Nie słyszało się przed szczytem – „Precz stąd, Żydzi, raus, do gazu”... Teraz się słyszy, często słyszy. Zapewne od tych, którzy są przekonani, że Matka Boska była góralką z Podhala albo co najwyżej Włoszką z Loreto. Czasy się zmieniają, obyczaje również, tyle że nie na lepsze. W wolnej Polsce Jasną Górę przemianowano na świetlicę polityczną. Kiedyś była duchową stolicą wszystkich Polaków, dziś jest świetlicą partii jedynie słusznych i wyłącznie patriotycznych. Z goryczą zastanawiam się, czy jest w Polsce jeszcze jakieś miejsce, którego nie sprofanowano? Czy na Jasną Górę wróci klimat pielgrzymek i odpustów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych? Może wróci, ale ja już tego nie doczekam. Wpierw musi powymierać pokolenie a właściwie ci, którzy z dzielenia Polaków uczynili sobie źródło utrzymania politycznego i finansowego. U Królowej Polski, na honorowych miejscach, siedzą ludzie mówiący co innego i czyniący zupełnie odwrotnie niż to, co mówią. Wszyscy oni potępiali w czambuł wszystko co „państwowe”, a sami kurczowo trzymają się państwowych posad i usilnie zabiegają o to, by na państwowych posadach poobsadzać swoje dzieci i wnuki. Siedzą ci, owocem pracy których jest wyłącznie pomnażanie bezrobocia, a żaden z nich nie chce i nie zamierza skosztować owoców własnej pracy. Taki oto świecznik z wysoka oświeca lud boży zgromadzony wokół tronu Królowej Polski. Wiem, że wielu czytających te słowa nazwie mnie komunistą albo wręcz bolszewikiem. Niech nazywa, bo rzucanie inwektyw przychodzi nam tak bardzo łatwo, ale nim mnie potępi, niech udowodni tym wszystkim „wykluczonym”, że jest inaczej, że powinni mieć nadzieję na normalne życie w swojej ojczyźnie, że starość, która przychodzi tak szybko, nie zakończy się śmiercią naturalną z uwagi na brak środków na leczenie. To są moje duchowe dylematy, które zanoszę w modlitwach do mojej Niebiańskiej Matki.

Książka Pani Alicji Nowak jest absolutnie wolna od polityki. Jest to książka o czasach dynamicznego rozwoju Częstochowy. Rozwijał się przemysł, powstawały dziesiątki tysięcy nowych miejsc pracy, obsadzanych przez ubogich ludzi z podczęstochowskich wsi, którzy w mieście szukali swej szansy na życie bez głodowych przednówek. W ciągu dwudziestu lat Częstochowa podwoiła liczbę mieszkańców... i powoli wraca do liczby mieszkańców z 1945 roku. Zniszczony został przemysł a dla młodzieży moje miasto jest miejscem, z którego można jedynie uciec, jak najdalej stąd. Dla tych młodych ludzi książka ta jest dowodem, że w Częstochowie nie zawsze żyło się źle i bez perspektyw, a moje pokolenie wciąż wierzy, że jeszcze dla Częstochowy nadejdą dobre czasy, a może nic już nam nie pozostało, oprócz tej wiary... Dla mnie osobiście „Wczoraj” to podróż sentymentalna, do której autorka zaprasza bardzo taktownie, bez sugerowania czegokolwiek. Zaproszenie uzupełniają nostalgiczne wiersze Pani Krystyny

Biskup, podążające śladami Pani Ali, idealnie pasujące do konstrukcji książki.

Jako Wiceprezesowi Zarządu Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” jest mi po ludzku wstyd, że to nie Towarzystwo jest wydawcą tej książeczki. Pani Alu, obiecuję Pani, że zrobię wszystko, by tę kwestię wyjaśnić aż do przysłowiowego dna, choć to przecież nie ja zachęcałem członków Towarzystwa do pisania na temat *genius loci* Częstochowy. Może w tym przypadku zadziałało prawo jasnogórskiego świecznika – co innego mówimy, a jeszcze coś innego czynimy.

„Wczoraj” wpisuję do biblioteki książek, które bardzo mądrzy ludzie nazwali – **OCA- LIĆ OD ZAPOMNIENIA**. Pani Alicjo, Pani tą małą książeczką ocala od zapomnienia Częstochówkę, która za lat dwadzieścia, trzydzieści, pozostanie jedynie historyczną nazwą i miejscem o zatartych granicach. Ja, choć jestem „chłopak z Dębca”, dziękuję za to Pani z całego, obtuszonego serca.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

Barbara Strzelbicka

CZŁOWIEK NA ROZDROŻU

Książka Tadeusza Chabrowskiego „Białe nieszpory” jest książką niezwykłą – jej narratorem, a zarazem głównym bohaterem, jest osoba duchowna, zakonnik. Na dodatek monolog jest szczerym i głębokim wyznaniem, pozbawionym posmaku skandalu. Brata Prokopa autor zapewne obdarzył częścią własnej historii, a na pewno własnymi uczuciami. Opowieść zaczyna się w dramatycznym dla bohatera momencie: po złożeniu ślubów wieczystych dowiaduje się, że z powodu zdiagnozowanej epilepsji nie będzie mógł zostać kapłanem. Zamyka się dla niego droga, którą wcześniej obrał, wymarzył, zaplanował, droga, z której dumna była jego matka. Traci sens życia, a mimo to jego narracja jest spokojna, wyciszona, nie ma w niej dramatycznych zwrotów ani retorycznych pytań – jest pokora, poddanie się Bożej woli i łagodność.

Powieść, choć ma w zasadzie jednego bohatera, jest wielowątkowa – bohater bowiem żyje w kilku odrębnych światach. Życie zakonne oddzielone jest od świeckiego bardzo rygorystycznie: panują tu inne zasady, obyczaje, nakazy i zakazy, inny jest rytm dnia, tygodnia, roku. Tylko klasztory różnią się między sobą i te różnice brat Prokop dostrzega i opisuje. Trafnie charakteryzuje braci zakonnych, przedstawiając ich historie.

Drugi świat – drugi wątek – to życie świeckie, znacznie dla Prokopa ciekawsze. O ile życie klasztorne trąci nudą i rutyną, to życie świeckie dostarcza wielu wrażeń, tym bardziej, że bohater uczestniczy w nim sporadycznie. Zauważa urodę kobiet i ich stroje, pamięta, co działo się w gabinecie lekarskim, opisuje wygląd ulicy po deszczu... W tym świecie spotyka miłość –

w biblijnym tego słowa znaczeniu p o z n a j e kobietę. Nie ma to jednak większego wpływu na jego los – nadal jest związany ślubami ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Nie mówi o swoim cierpieniu, rozterkach – nawet ten wewnętrzny monolog wydaje się być ocenowany. W tym świecie także spotyka się z innymi kobietami – matką i siostrą, które przyjeżdżają go odwiedzić, a on nawet nie może zaprosić ich do swojej celi, bo taka jest zakonna reguła.

Na styku dwóch światów – zakonnego i świeckiego – jest Halina, penitentka poddana przez spowiednika (a Prokop nie może spowiadać) tyle oryginalnej, co okrutnej pokucie za grzech aborcji: przez miesiące, których zabrakło do donoszenia ciąży, w każdy pierwszy piątek musiała na brzuchu nosić żywego żółwia, którego potem z literą „H” na skorupie przyniosła Prokopowi, a on go wypuścił w klasztornym ogrodzie. Pokutę przyjęła z pokorą. Ciekawe, jaka pokutę zadał spowiednik jej spowiednikowi... Może go pochwalił za tę obrzydliwość? Brat Prokop dość beznamiętnie opowiada swoją historię, więc i nad tym zdarzeniem nie rozczuła się.

Trzeci świat, w którym brat Prokop czuje się najbezpieczniej, to świat książek. Czyta dużo, jego zainteresowania są rozległe, ale jednak także podlegają cenzurze życia zakonnego.

Najpierw literatura piękna, którą czyta chętnie i nawet jest nauczycielem historii literatury polskiej w dwóch ostatnich klasach niższego seminarium duchownego. Korzysta z podręcznika Ignacego Chrzanowskiego, zaś lektury obowiązkowe dla kleryków to bezpieczny kanon literatury polskiej, kończący się bodaj na pozytywizmie. Kiedy brat Prokop trafia do Biblioteki Jagiellońskiej, zauważa, że księgozbiór biblioteki klasztornej jest ubogi, łakomie rzuca się na poezję Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego, a pożytków z pracy translatorskiej Boy'a nie może się nachwalić. Długo jest pod wrażeniem Zniewolonego umysłu Czesława Miłosza, identyfikuje się z bohaterami esejów. Nasuwa się oczywiste pytanie: czy tytuł książki Miłosza jest kluczem do odczytania Białych

nieszporów? Lektury zakonnika są różnorodne: od klasyki literatury poprzez biografie sławnych artystów do żywotów świętych i pism mistycznych – jakby szukał dla siebie właściwej drogi.

Poezja pojawia się pod koniec książki, w jej początkowej części bohater spotyka się z nią za przyczyną młodszego zakonnika, który Prokopowi przynosi swoje wiersze do zaopiniowania. Potem trafia na utwory Tadeusza Peipera i za jego sprawą postanawia zostać poetą – w poezji widzi szansę ocalenia swojej zmysłowości – by nie tłuc głową o mur przez resztę życia.

Świat czwarty i czwarty wątek – to filozofia. Łączy się ściśle ten wątek z poprzednim, bo bohater obcuje z nauką za pośrednictwem książek. Nie jest adeptem filozofii – jej kurs przeszedł w seminarium, teraz zaś samodzielnie aktualizuje i poszerza wiedzę. Kolejność czytania jest w zasadzie chronologiczna, zgodna z Historią filozofii Tatarkiewiczza, dopiero potem dochodzą przedstawiciele nowszej myśli. Trudno nie zauważyć, iż jest to filozofia chrześcijańska, choć brat Prokop sięga także po dzieła filozofów, którzy wywarli wpływ na myśl chrześcijańską. Zachwyca się Platonem, ba: nawet zauważa, że święty Augustyn przyswoił Kościołowi Platonską koncepcję duszy. Nie może zrozumieć Uczty i wyłożonej w niej koncepcji miłości, nie może pojąć, że wg Platona miłość jest głównym czynnikiem ludzkiego działania... Trudne to dla mnicha, choć zna przykazanie miłości.

Podczas filozoficznych lektur brat Prokop także przechodzi pewną drogę: od Ojców Kościoła, poprzez świętego Augustyna i jego Wyznania, Piotra Abellarda, Dunska Szkota, świętego Tomasza z Akwinu, którego uznaje za najgenialniejszego filozofa, do Erazma z Rotterdamu, Kartezjusza i Kierkegaarda. Sięga także do pism Schopenhauera, Fichtego, Schellinga i Hegla, twierdząc, że za ich wielkimi słowami kryje się pustka myślowa – by dotrzeć do neotomistów.

Wśród filozofów nie pojawia się Immanuel Kant, choć pojawiają się Marks i Feuerbach. Trudno uwierzyć, że nie zna go Tadeusz Chabrowski, zatem pozostaje wniosek, iż nie zna

go bohater jego książki, brat Prokop. Dalszy wniosek jest oczywisty: jest to historia sprzed przewrotu kopernikańskiego w filozofii, jakim była myśl Kanta.

Swoistą ewolucję przechodzi bohater także w dziedzinie poglądów. Nie jest mu obca myśl ekumeniczna, gdy zauważa wartości, właściwe religii prawosławnej i protestantyzmowi. W poglądach filozofów chrześcijańskich i w postawach duchownych dostrzega mizoginizm. Przytacza myśl Orygenesisa, skądinąd kastrata, o małżeństwie, które jest jego zdaniem nieczyste i bezbożne, zdanie Ojców Kościoła, że kobieta jest narzędziem szatana i pogląd św. Tomasza, ulubionego filozofa, iż kobieta jest próbką, namiastką człowieka.

Wielkie wrażenie na bohaterze zrobiły historie życia Barucha Spinozy i Uriela Acosty, myślicieli niepokornych, oskarżonych o herezję, z których drugi, nie mogąc przeżyć dotkliwego upokorzenia, popełnił samobójstwo.

Brat Prokop, związany ślubem posłuszeństwa i zapewne głęboko wierzący, nieśmiało sięga więc po książki, których brak w klasztornej bibliotece i znajduje w nich nową wiedzę. Nie mówi o zwątpieniu w wierze, choć pojawiają się subtelne sygnały zwątpienia w powołanie i wartość życia klasztornego: rutynowego, czasem gnuśnego umysłowo i duchowo. Widoczne jest rozczarowanie życiem zakonnym, które nieopatrznie wybrał człowiek, nie mieszczący się w ramach reguły przez swoją wrażliwość, otwartą i dociekliwą umysłowość.

Jest jeszcze jeden mały świat brata Prokopa – to świat jego snów, do których przywiązuje dużą wagę, szuka wyjaśnienia marzeń sennych w książkach. Wydaje się, że tu jedynie czuje się wolny – wszak śluby snów nie dotyczą...

Główny bohater jest człowiekiem na rozdrożu, choć takie sformułowanie nie zostaje wyartykułowane. Nie pada też pytanie o to, co ma dalej robić. Nikogo o to nie pyta – nawet Boga. To pytanie stawia w jego imieniu czytelnik, zastanawiając się, co brat Prokop zrobić może i co powinien. Kariera duchowna jest dla niego zamknięta z powodu choroby, dodatkowo poja-

wiają się kłopoty z oczami. Życie mnicha, pełniącego jedynie proste posługi, nie odpowiada zainteresowaniom ni ambicjom Prokopa – jest człowiekiem o szerokich horyzontach, wrażliwym i twórczym. Filozofia? Kariera naukowa wydaje się zbyt trudna, zważywszy na losy Uriela Acosty. Opuszczenie zakonu? Chyba najbliższy jest tej decyzji – odnawia wszak znajomość z Urszulą... Pytanie o przyszłość bohatera pozostaje otwarte. Ponieważ jednak jego monolog zdradza ogromny chaos, pozostaje wiara, że z tego chaosu wyłoni się świat.

Język powieści Tadeusza Chabrowskiego zdradza liryczny temperament autora – liczne metafory, twórcze i świeże, dodatkowo charakteryzują bohatera i ani trochę nie ujmuje prostoty monologowi. W tok narracji wplecione są także wiersze autora powieści – z tytułowymi Białymi nieszporymi na czele. Brat Prokop jest więc poetą...

Oprócz literackiej zawartości książka zwraca uwagę edytorską i redakcyjną starannością, co na współczesnym rynku wydawniczym stanowi wyjątek i wzór do naśladowania. Posłowiem opatrzył powieść prof. Zbigniew Mikołajko, filozof religii, który znakomicie ujął temat książki – życiowy dylemat głównego bohatera, nie skrywając przy tym emocji – przejęcia i fascynacji. Posłowie jest więc pięknym dopełnieniem powieści.

Barbara Strzelbicka

Chabrowski T., Białe nieszpory, Lublin Norbertinum 2012. ISBN 978-83-7222-474-3



Karol Barton, Pocahunek brunatny, 80x65, akryl na płótnie.

Agnieszka Złota

„(...) BO TAK NAPRAWDĘ MAMY SIEBIE I PRZESTRZEŃ” – KOSMICZNE DYLEMATY MAGISTRA WITALISA

Najnowszy tomik poetycki Tadeusza Chabrowskiego kryje w sobie wiele zagadek interpretacyjnych. Na pierwszy rzut oka trudno odnaleźć klucz do odczytania tych utworów, który stanowiłby „zielone światło” wskazujące czytelnikowi właściwy kierunek poszukiwań. Niemniej wysiłek podobny warto podjąć, ponieważ autor oferuje czytelnikowi fascynującą perspektywę (a raczej wielość perspektyw), odczytań, przycięcie intelektualną uwikłaną w metafizyczną otoczkę poszukiwania fenomenów „za rogiem ulicy”.

Magister Witalis wpisuje się koncepcyjnie w tradycję refleksji zawartych w zbiorze *Miasto nieba i ziemi*. Przede wszystkim w sferze przenikania się *sacrum* i *profanum*, uobecnienia pod postacią ucieleśnionego ducha i przeduchowionej materii. Mamy tutaj kontynuację problematyki metafizycznej choćby z *Nowego drewnianego roweru*. Z kolei miłość jako wszechobecna siła witalna znajduje się poza dobrem i złem podobnie jak w ujęciu zaproponowanym przez poetę w *Zakwitną wieczorem*.

Czytając utwory zebrane w tym zbiorze, mam wrażenie, że bohater liryczny Chabrowskiego, podobnie jak hrabia Monte Christo Aleksandra Dumasa /skupia wokół siebie jakby osobny mały światek, mający jak i światy u Kartezjusza, swoje wiry i powinowactwa, tylko kręgi tych światów rozszerzają się w miarę, jak światy się wznoszą/. Przestrzeń i czas jako naczelné kategorie poznawcze tej poezji tworzą zaskakujące możliwości asocjacyjno-interpretacyjne, w postaci rozległych krajobrazów intelektualnych rodem z poezji Miłosa, w których rozgrywa się gra z czytelnikiem, podobnie jak w wierszu Herberta *Gra Pana Cogito*. Wyobraźnia przestrzenna Chabrowskiego jest wyobraźnią hybrydową (spiętrzoną), podlegającą własnej logice a raczej „metalogice” jak słusznie zauważył ks. Wacław Oszejka, a przez to fascynującą zarówno treściowo jak i formalnie. Nieprzypadkowo Mistrz Witalis rozdaje symboliczne karty, kryjące niezliczone zagadki istnienia, zaszyfrowane w tajemniczy

kod szczęścia dostępny wyłącznie przedstawicielom gatunku *homo sapiens*. Przestrzeń i czas postrzegane na wskroś indywidualnie stanowią niejako współrzędne geograficzne każdego człowieka. Determinizm czasoprzestrzenny uaktywnia w *Magistrze Witalisie* dylematy egzystencjalno-eschatologicznej natury.

Poeta doskonale operuje perspektywą. W zależności od przedmiotu rozważań zawęza ją /...jak komar ukryty pod liściem pokrzywy przyglądam się światu.../ lub rozszerza czyniąc kosmicznym niemal uniwersum /Witalis chce być mocą samego bytu, który odbija się echem po wszechświecie/. Optyka percepcji każdorazowo dostosowana jest do przedmiotu opisu. Żywotna siła, którą ma w sobie Witalis, udziela się światu i kosmosowi / każda planeta posiada w swym wnętrzu rozumną duszę, z którą komunikują się aniołowie/. Inaczej odczuwa perspektywę kosmiczną bohater liryczny Herberta z tomu *Struna Światła*, /drży i faluje niepokojem, ogromna przestrzeń małych planet która jak morze mnie pochłonie/. U Herberta, duchowego patrona zbioru wierszy Chabrowskiego, drżenie kosmosu wywołuje tajemniczy niepokój o trudnej do zidentyfikowania genezie, przestrzeń ujawnia się jako ogrom, który przygniata, przytłacza bezwładem. W świecie wykreowanym przez Witalisa dodatkowo /trzeba pilnie wsłuchiwać się we wściekle fugi/ historyzujące kwintety smyczkowe/ żeby ciało wprawić w drżenie/ napełnić rudo-zieloną algą ekstazy/. Drżenie jako synonim żywotnej siły witalnej w człowieku, pozwalającej uwiarygodnić istnienie, czyniąc je autentycznym, pozwala odczuć bohaterowi lirycznemu siebie jako istnienie kompletne tzn. odczuwające.

Witalis to postać, która dokładnie planuje swój dzień /punktualnie o dziewiątej rozwijam pierwszą chorągiew mojej wyobraźni/. Poznaje świat dzięki zmysłom, a najważniejszym z nich jest słuch (*Sen Witalisa*). Inaczej Pan Cogito /będzie tłumaczył surowym aniołem, że wzrok i dotyk nie mogą

go opuścić/. Witalis /chce się otulić przestrzenia/ szczególnie jak płaszczem/.../ pojawia się tutaj intuicja sartr'eowska, bowiem *esse* wyprzedza *cogito* w porządku istnienia, a percepcja rzeczywistości przez zmysły tylko potwierdza to spostrzeżenie.

W utworze *Ćma Witalisa* bohater liryczny projektuje swoje przemyślenia na sytuację owada, w tym przypadku ćmy (która szuka dla siebie treści), a korelatem tego stają się zwoje w umyśle zamiast neuronów. Pojawia się również obawa przed zwielokrotnieniem fałszywych mniemań, niemocą podjęcia czynu czy też inercją intelektualną.

Witalis /szukając dla siebie miejsca boi się rozczarowań/. Czasami ponosi go wyobraźnia, jednak /nie chce niepokoić całego świata drobnymi wątpliwościami, które dręczą jego umysł/. Jest typem badacza – empiryka, który wszystko zmierzy, zważy sklasyfikuje, uważnym poszukiwaczem fenomenów. Epistemologiczne poszukiwania rozpoczyna od próby diagnozy własnej kondycji psychofizycznej. Mówi o sobie /muszę złamać w sobie każdą wątpliwość, którą roi w sobie umysł /.../ pytania, które mnożą spór pomiędzy nauką a wiarą rzucam w ogień /.../. Jako zdeklarowany agnostyk Witalis /najczęściej pisze o Bogu uspokaja /w ten sposób sumienie i nie myśli, co będzie potem/. Chciałby się również przekonać czy /wiara agnostyka może się też cudem udokumentować/ (*Witalis dla zabawy*).

W odczuciu bohatera lirycznego rzeczywistość jest płynna i dynamiczna, podlega nieustannym transformacjom (*Kret*). W istocie jest to rzeczywistość ponowoczesna, pozbawiona stygmatu stałości, wywołująca niepokój i strach przed nieistnieniem (topos *horror vacui*), dlatego nie dziwi fakt, że poszukuje remedium, chcąc ocalić wartości w inkubatorze własnej duszy (*Witalis chce więcej być*). Pierwiastek *sacrum* przenikający jego egzystencję staje się w tej perspektywie gwarantem odrodzenia.

W wierszu *Życie jest piękne* Witalis stwierdza /cieszymy się jak embriony rozrastaniem komórek/. Wzrost duchowy (świadomościowy, intelektualny) implikuje wzmożenie determinizmu biologicznego, sygnowanego przez ekspansywny rozrost komórek. Witalis staje po stronie <brudnej rzeczywistości>, konkretnie przeciw abstrakcji i to go określa najpełniej. Poznając siebie, poznaje świat, pespektywa się rozszerza podobnie jak wyobraźnia aspiruje do kosmicznego oglądu.

Strategia podobna jak u Gombrowicza w *Pornografii* /A temu tonięciu w przestrzeni towarzyszyło straszne wzmożenie konkretności/.

U Witalisa ujawniają się kreacyjne moce wyobraźni /która jak pajak skacze po siatce myśli/ (*Egzystencjalista*). Jednak czółenka wyobraźni same w sobie są puste i rozbiegane, dlatego trzeba napęścić je powietrzem (*Siostra Nulla*), które jako nośnik pierwiastka sakralnego dotleni ją, zwiększając efektywność afirmacyjno–asocjacyjną. Dotlenienie „tkanki” wyobraźni w tej perspektywie tożsame jest z uduchowieniem, wprowadzeniem do krwioobiegu tzw. <sakrocytów>.

Poezja Chabrowskiego jest bogato nasycona wątkami filozoficznymi. Mamy tutaj poetykę epifanii. Szczególną uwagę zwraca polemika z platonizmem. /Platon w tej materii niewiele nam pomoże/ w jego jaskini stół pozbawiony był cienia/. Według Witalisa /rzeczy same w sobie nie istnieją, moc trwania nadaje im nasz umysł/. Poza tym /samoświadomość, czyli kartezjańskie Cogito/ nie ma żadnej treści w sobie, jeśli nie wypełni się jej przedmiotami z zewnątrz/. Witalis nie wie, komu może wierzyć, wątpi, skoro nie słyhać żywego słowa a tylko widać cienie znaków na ścianie rodem z jaskini platońskiej. Polemizuje z niemiecką filozofią idealistyczną w ujęciu Hegla, Kanta (*Wiatr zmiata godziny*).

Prawda w poezji Chabrowskiego /jest zwykłą zagadką naszego mniemania/, jest jak sopel lodu, zimna i krystalicznie przezroczysta. Podlega zniszczeniu, jej przypadłością jest kruszenie się, które niepokoi Transcendencję (*Egzystencjalista*). Jednak aby ją poznać, /trzeba przekroczyć próg świadomości obrośnięty kolcami/. Nie da się wywołać jej logarytmem jak chciał Brytyjczyk – Hume (*Witalis nie musi się martwić*), obliczyć (gdyż ostatecznie /wspinanie się po schodach na sto trzydzieste pięto teologii znuży nawet gorliwego neofite/), ani złowić na smycz konkretyzacji. Ma ona bowiem charakter epifanijny, objawia się nieoczekiwanie poprzez aluzje, które przyklejają się do języka, umiejętnie czytanie /w wielkiej księdze bytu (*Witalis rusza w świat*), poprzez rozplamianie się wyobraźni w akcie twórczym.

Bóg nazywany jest w tej poezji Wiekuistym (*Stworzenie*), Jahwe (*Myśli Witalisa o piekle Desant Aniołów w Garwolinie*), Bezkrzesnym, Miłością,

Abstrakcją (*Czy Bógu jest abstrakcją?*). Mamy tutaj Transcendencję, która dąży do choćby momentalnej materializacji. Umysł Witalisa racjonalizuje ją, próbuje oswoić Absolut uprzystępniać go doświadczeniu. Bóg postrzegany jest przestrzennie (*Czy Bógu jest abstrakcją?*), czasem jawi się jako doskonały rzemieślnik Wszechrzeczy – *deus artifex* (*Stwarzanie*), przy czym jest to strategia *creatio ex nihilo*, a czasem jako starotestamentowy, srogi sędzia ludzkości co /z naszych podziemnych silosów będzie groził pięścią niewiernym/. Transcendencja intensyfikuje swe potencje, pomnażając to, co dobre, wedle biblijnego nakazu moralnego skierowanego do ludzkości. Podmiot liryczny próbuje „przyłapywać” Boga ucłowieczonego, który wypuszcza z rąk pryzmat (*Dziennik Magistra Witalisa*), pozwalając Witalisowi zerknąć przez okulary transcendencji na świat niedostępny bezpośrednio ludzkiemu poznaniu.

Wiara w Boga, który smakuje jak „jogurt z jagodami” (*Cma Witalisa*), staje się „duchową papką”, pokazową manifestacją duchowej pustki. Podmiot liryczny mówi o sobie /wolę z Bogiem być sam na sam, nie zmuszać się do cnót, w które i tak zanurzam się jak młynarz w mąkę/. Wiara tego rodzaju nie potrzebuje pośrednictwa a jej sygnaturą są konkretne uczynki (etycznie dobre, zgodne dekalogiem). Nie potrzebuje również manifestacji społecznej, gdyż stanowi intymną sferę przeżyciową podmiotu, realizującą się poprzez mądre praktykowanie cnót (*Chcę być zbawiony*).

Witalis /wydobyty raz z niebytu, nie chce znowu wracać do nicości (*Z tytułu wieczności*). Nicość, niebyt postrzegane są w tej poezji poprzez leśmianowskie ujęcie, jako coś, co próbuje naśladować rzeczywistość, czyha zewsząd, dąży do materializacji poszukując dla siebie kształtu. Konkretyzacja przestrzeni, która jawi się w perspektywie horyzontalno-wertykalnej wiąże nicość z problematyką egzystencjalną /nie jest łatwo wypruć kamizelkę egzystencji podpiętą do własnej skóry/ oraz ontologiczno-epistemologiczną (ukazanie człowieka wobec tajemnicy bytu). Witalis zauważa, że /tak naprawdę mamy tylko siebie i przestrzeń/ i w istocie taki jest klucz do tej poezji. Wnikliwa analiza tych dwóch kategorii poznawczych powala dookreślić inne płaszczyzny rozważań Witalisa. Praktyczną tego konsekwencją jest marzenie podmiotu li-

rycznego o tym, aby /Wyprzedzić czas, owinąć się szczerlnie w hiperbolę przestrzeni i poszybować do gwiazd.../.

W poezji Chabrowskiego pojawiają się elementy wyobraźni modernistycznej, tj. motyw nicości i otchłani jako niepoznawalnych zagadek bytu; cienie i lustra postrzegane jako sygnifikacje filozofii idealistycznej; schodzenie w głąb, podziemie interpretowane jako konkretyzacje podświadomości w perspektywie psychoanalitycznej; mit eleuzyjski sygnowany przez bogatą symbolikę wiatru, jako zapowiedzi odrodzeńczych mocy przyrody j przewyciężenie inercji, oznaka witalności oraz wzrostu ziarna znamionującego cykliczność natury; idea prajedności wyrażająca się w dążeniu do uniwersalnej syntezy (na wzór pitagorejskiej muzyki sfer), dążenie do kosmicznej harmonii „świata ponad niebem” (hiper urani topos).

Chabrowski ujawnia się w *Magistrze Witalisie* jako poeta kultury, poszukujący stałych wartości. Podobnie jak Miłosz uważa, że nie można odrzucić języka, /bo język to ta część ojczyzny, którą można wziąć ze sobą na emigrację/. Tę pieczołowitość iście norwidowską (*Odpowiednie dać rzeczy słowo*) odczuwa się w każdym wersie. *W lubię pisać* pojawia się piękna strofa inspirowana wersami z V Pieśni poematu *Beniowski*, która tylko potwierdza wcześniejsze spostrzeżenia.

Koncepcyjnie poezja zawarta w tym zbiorze przypomina dylematy *Pana Cogito* Herberta, tym co łączy poetów jest wyobraźnia i oryginalność, które uważnego czytelnika tych utworów będą trwale zachwycać. Niemniej Chabrowski idzie dalej... w empirię... zostawia mitologiczno-biblijny sztafaż, mniej klasycyzuje, zyskując na przystępności. Oferuje czytelnikowi przygodę intelektualną z tekstem, który fascynuje bogactwem kulturowych odniesień.

Zaś tym, co ujmuje w *Magistrze Witalisie*, najbardziej jest bogate rekwizytorium języka, z którego poeta korzysta odważnie, precyzyjnie i z fantazją...

Agnieszka Złota

Tadeusz Chabrowski, Magister Witalis, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2011, ss. 74.

KAROL BARTON – RETROSPEKTIVA*



Karol Barton, *Autoportret – szkic (szablon), 50x70, farba w sprayu i dykta.*

Na sztalugach w 25 numerze GALERII – Karol Barton – częstochowianin z urodzenia, przedstawiciel młodego pokolenia plastyków zaliczany do grona nazwisk, które gwarantują najwyższy poziom artystycznej kreacji. Prace reprodukowane na łamach magazynu pochodzą z wystawy „Retrospektiva” prezentującej pięcioletni dorobek artysty, która miała miejsce w ratuszowej galerii „Poddasze” w styczniu 2010 roku. Na wystawę złożyły się prace malarskie z cykli: „Ludzie i XXI wiek” „Yugoslawia yugoslavijska” i najnowszego – „Sintetic”.

Ten urodzony w 1987 roku absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie oraz Akademii im. Jana Długosza na Wydziale Wychowania Artystycznego (dyplom w pracowni grafiki warsztatowej u prof. Ewy Zawadzkiej) może poszczycić się niebanalną twórczą pasją nie tylko w zakresie malarstwa, ale także filmu i muzyki. W ślad za talentem idą nagrody i wyróżnienia. W 2006 roku w Stuttgarcie odbył staż z ceramiki artystycznej w ramach programu „Leonardo da Vinci”. Czterokrotnie, z rąk Prezydenta Miasta Częstochowy otrzymywał

stypendium artystyczne: w kategoriach *film* (2008 i 2010) oraz *sztuki plastyczne* (2009 i 2011).

Barton to artysta wszechstronny – zajmuje się malarstwem, grafiką, filmem, gra na perkusji. Działa głównie w Krakowie (gdzie obecnie mieszka) i w Częstochowie (rodzinnym mieście). Jego prace można znaleźć w galeriach Warszawy, Krakowa, Poznania, Tel Awiwu i Nowego Jorku, które odwiedził z wystawą „Z inspiracji kulturą Żydowską” (2005). Współpracuje z artystami offowymi i niezależnymi.

Jego twórczość charakteryzuje wnikliwa obserwacja rzeczywistości. Uchwyciona na płótnach wizja otaczającego świata jest nie tylko krytyczna i zdystansowana, ale także stanowi humorystyczny komentarz do paradoksów życia.

Inspiruje go Picasso – kształt, bryła i zdecydowana linia, swoista geometria przestrzeni. Ale w jego twórczości możemy również dostrzec wpływ fowizmu (spod znaku Henri Matisse’a), impresjonizmu (Claude Monet) czy pop-artu (Andy Warhol).

Malowanie jest dla niego sposobem na wrazenie siebie, sposobem na życie. Sam artysta mówi: „Sądzę, że artysta nigdy nie jest zadowolony ze swoich prac. Ja sam mam świadomość potrzeby ciągłego poprawiania, zmieniania”, choć „Wszystko zależy od twórcy i od tego, jak bardzo chce”.

Prace Karola Bartona można obejrzeć na stronie <http://avanguard.digart.pl/digarty/>.

Opr. Aleksandra Keller

* *Materiały prezentujące sylwetkę młodego artysty plastyka oraz jego twórczość udostępnione dzięki uprzejmości Pana Ireneusza Bartona oraz Pana Tomasza „Aztzenteo” Barańskiego.*



Karol Barton, *Ederlezi, 80x35, akryl na dykcie.*

EPIZOD XIV: JAK ZOSTAŁEM REDAKTOREM

Nie będę owijał w bawełnę i przyznam otwarcie: tak, w tym miejscu miał się znaleźć, zwieńczony dramatycznym i nieco kuriozalnym finałem, ciąg dalszy przygód młodej pary turystów, szczęśliwie zakwaterowanych przez uczynnego Włodzimierza w sąsiedztwie osobliwego parku narodowego. Wszystko jest już obmyślane, materiał wyselekcjonowany, scenki rozpisane. Nic tylko się, trochę się nakręcić, odpowiedni rytm sobie złapać i lepić dalej groteskową fabułę z pogranicza thrillera, horroru, SF... Raczej bez fantasy. Żadnych elfów, krasnoludów, trolli, smoków, wiedźm (nie licząc pani Ćmielowej), centaurów, jednoroźców, driad czy innych tego typu dziwolągów nie przewiduję, chociaż w sumie przyznać wypada, że zahaczamy o klimaty pokrewne. Tu jednak w roli głównej wystąpić ma co innego.

Ma? A tak – wystąpić ma. I wystąpi, oczywista sprawa, jednakże z drobnym zastrzeżeniem: kontynuacja planowanej operacji prozatorskiej nastąpi najwcześniej w numerze kolejnym pisma literackiego „GALERIA”. Co się dokładnie wydarzyło w Górach Stolcowych – opowiem rzetelnie i bez kręcenia, najdokładniej jak potrafię, lecz dopiero w następnej odsłonie magazynu. A nawet, ściślej mówiąc, od tej następnej odsłony magazynu opowiadać ledwo zacznę, bo się raczej nie zmieszczę i nie dam rady zawrzeć – w odcinku o standardowej objętości – wszystkich górskich perypetii państwa Kownackich. Niby utarło się, że „idą” po dwa epizody na numer, ale działa się tak w myśl ustaleń niepisanych i mocno tymczasowych, obecnie zaś dochodzą mnie sygnały o konieczności równomiernego rozdziału miejsca między twórców (z szacunku dla „sprawiedliwości i demokracji”), jak również o nieodzowności odchudzenia pisma (w trosce o jego budżet). Więc groteskowy wątek z pogranicza thrillera, horroru i SF odkładamy na później, a teraz – to znaczy dzisiaj, w numerze bieżącym, w dalszej części rubryczki,

w reszcie „przysługującej” mi tutaj przestrzeni – muszę się po prostu zająć czymś innym.

Muszę – nie muszę. Nie o to nawet idzie, że istnieje jakiś tam przymus zewnętrzny. Bardziej mówiłbym o wewnętrznej powinności, o chęci, o pragnieniu odniesienia się do treści redakcyjnego komunikatu, który w skrzynce mailowej zalega mi już od jakiegoś czasu, a że go świadomie nie usuwam ani nigdzie nie przenoszę, to moje wyposzczone zmysły literackie pobudza on systematycznie, do opamiętania przywołując po każdym logowaniu, i przypomina nader jednoznacznie: nadchodzi numer jubileuszowy! Dwudziesty piąty! Na dodatek w roku pięciolecia powstania Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” i pięciolecia ukazania się pierwszego numeru częstochowskiego magazynu literackiego „GALERIA”! Ba, idąc dalej tropem rocznicowym, jest to też pięciolecie obecności wielu autorów na łamach naszego pisma (w tym mojej), stąd prośba o osobiste refleksje na tego typu tematy...

I jak tu wykasować takiego maila? Jak przejść do porządku dziennego nad tak niezwykle okolicznościami? Jak beztrudnie wypisywać androny o Stolcowym Parku Narodowym, kiedy okazja na wspominki – lub choćby tylko na symboliczną chwilkę „refleksji” – nadarza się nie lada? Wspominki jak wspominki, w sumie powspominać można zawsze i wszędzie, w barze przy piwku też się da, nie potrzeba żadnej otoczki, okrągłych cyferek, jubileuszów... Jednak sęk w tym, że – po pierwsze – nie po to kreuję się na profesjonalnego prozaika, aby zadawała się przypadkowym produkowaniem po knajpach, po drugie zaś – co leży „na wątrobie” jeszcze bardziej – dręczą mnie pewnego rodzaju wyrzuty sumienia. Osobliwe, dziwaczne, wręcz lekko irracjonalne, choć biorące się z głęboko zakotwiczonego przeświadczenia, iż jestem na bakier. Że zwyczajnie i bezwstydnie nie reaguję na sugestie tematyczno-redaktorskie,

nawet na te najdelikatniejsze, że mam swój świat i swoje kredki, i że tylko one mnie rajcują, wreszcie – że nie doceniam tego, co cenić należy, a jestem przecież winien co nieco częstochowskiej społeczności literackiej, od pięciu lat wspaniałomyślnie użyczającej mi łamów na nieokreśloną prywatę pisarską.

Ach te pięć lat... Słowo klucz. Dwadzieścia pięć wydań... To też klucz. Naturalnie nie zawsze i nie we wszystkie numery angażowałem się twórczo, nie w każdej „GALERII” zostawiłem jakikolwiek ślad, ale faktem jest, że praktycznie od początku istnienia magazynu – czy to oficjalnie, czy nieoficjalnie – dość blisko grona redakcyjnego byłem obecny (przeważnie jako „stały współpracownik”), co się zaś tyczy samego Towarzystwa „Li-TWA” – mam tę satysfakcję, że jestem jednym z kilkunastu członków-założycieli. A więc od startu, od formalnej inicjacji, od pamiętnego marca 2007 pozostaję w miarę na bieżąco i wiem, co w trawie piszczy.

No i tutaj oczywiście należałoby rozwinąć wątek owego piszczenia, wspomnień oraz refleksji z mitycznych pięciu lat. Tak też uczynię, dokładnie taki mam zamiar, nim jednak przejdziemy do sedna, kawałeczek tego odświętnego tekstu wspominkowo-refleksyjnego chciałbym poświęcić czasom „przed-litewskim”. Ważnym, bo przecież gdyby nie one, prawdopodobnie nie byłoby wśród założycieli mojej skromnej osoby. Już nawet zakładając, że dysponowałbym stosownym dorobkiem twórczym, wcale nie jest powiedziane, że o inicjatywie założycielskiej bym w ogóle wiedział... Albo odwrotnie – że inicjatorzy przedsięwzięcia wiedzieliby o mnie i, co za tym idzie, że do „obrad” zostałbym zaproszony... Szczęśliwym trafem wszystko zagrało, w porę dostałem cynk, w Piwnicy „Margaux” pojawiłem się na czas. I tym samym pośród grupy założycielskiej formalnie zaistniałem.

Och, inicjatorzy przedsięwzięcia... Jak mi się ładnie napisało. Ładnie, zgrabnie, ale i trochę enigmatycznie. Wręcz nieprecyzyjnie, podczas

gdy tajemnicą poliszynela jest fakt, że jedynym inicjatorem (i zarazem katalizatorem wszelkich działań organizacyjno-stowarzyszeniowych) od początku, tj. od zarania dziejów „Li-TWY”, był – i do dziś pozostaje – Władysław Edward Piekarski. Pomysłodawca całej idei, Prezes Towarzystwa. Założyciel i najważniejszy z redaktorów „GALERII”. Pamiętam dobrze, jak przed pięciu laty – w ów marcowy, niewyraźny, trochę jakby pochmurny dzień – ścisła przybywających do Piwnicy, cieszył się autentycznie i serdecznie witał wszystkich, już z chodnika na Mirowskiej wskazując drogę na zebranie założycielskie. Jest tu trochę symboliki... Zresztą nie w tym rzecz, bym serwował teraz peany pochwalne na cześć Władysława (choć jak nikt zasłużył sobie i sądzę, że bieżący numer magazynu, wraz z całokształtem jubileuszowych refleksji, dobrze to potwierdzi). Każdy wie, ile „Li-TWIE” i „GALERII” daje Prezes, jak się angażuje, jaką pomysłowością wykazuje. Specjalnie nie trzeba tłumaczyć, bardziej chciałbym podkreślić, że gdyby nie WEP, nie byłoby ani mojego członkostwa w Towarzystwie, ani wielu moich tekstów „galeriowych”, ani samego Towarzystwa Literackiego w Częstochowie też by pewnie nie było...

A najlepsze jest to, że wkrótce minie 10 lat, odkąd zawitałem w progi „DOMU KSIĄŻKI”. To dopiero jubileusz. Co prawda wiąże się on tylko i wyłącznie ze mną, z moimi wspomnieniami, z prywatą literacką niżej podpisanego, w związku z czym mało kogo fakty tego typu mogą obchodzić, lecz to właśnie wtedy, jesienią 2002 (pod koniec października), przybyłem ze swoimi surrealistyczno-banalistycznymi zapiskami na Wilsona 8. A było tak, że kilka miesięcy wcześniej, już po ukończeniu politechniki i po odbębnieniu podchorążackiego przeszkolenia wojskowego, postanowiłem zebrać „do kupy” najciekawsze kawałki studenckie i wreszcie coś z nimi uczynić. Bezskutecznie pukałem od drzwi do drzwi, aż w końcu – przez drukarnię „GRYF” na Garibaldiiego – trafiłem do „DOMU

KSIĄŻKI”, gdzie poznałem Władysława E. Piekarskiego. Okazał mi wielką pomoc. Szczerze ocenił przedstawiony materiał, ukierunkował wizję na książkę, zasugerował zmianę tytułu... Z wszelkimi pracami redakcyjno-korekcyjnymi uporaliśmy się w miarę szybko, debiutancki zbiór opowiadań gotowy był tuż po Nowym Roku 2003 (czyli mniej więcej na moje dwudzieste siódme urodziny, choć oficjalnie ukazał się jeszcze z datą 2002).

Później często zaglądałem do Wydawnictwa. Dowiedziałem się o istnieniu serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”, zetknąłem się z pierwotną – jak się okazało – wersją dzisiejszej „GALERII” (funkcjonującą jeszcze w latach dziewięćdziesiątych), poznałem wielu częstochowskich literatów, którzy w „DOMU KSIĄŻKI” bywali regularnie... W międzyczasie spisałem pierwszą część koszarowych wspomnień o tytule „SPR”. Leżały w szufladzie, nie bardzo wiedziałem, co z tak specyficznym utworem uczynić... Któregoś dnia o moim „półkowniku” dowiedział się Władysław i oczywiście tak mnie zmobilizował, że poprawki naniósłem jednej nocy, nazajutrz zaś pognałem do redakcji z wersją ostateczną.

Przy okazji niedługo potem usłyszałem najkrótszą, najtreściwszą – i jak dotąd chyba najdosadniejszą – opinię o mojej bazgraninie. W „DOMU KSIĄŻKI” pracował wtedy Marcin Paruzel, który – choć sprawny prozaik – zajmował się przede wszystkim grafiką oraz typografią. Siedział za monitorem i toczył zmagania z jakimś upartym projektem. Normalna sprawa, że oczekiwałem słówka na temat tekstu, który parę dni wcześniej zostawiłem do poczytania. Wkroczyłem więc dumie do pokoju redakcyjnego i chciwie się rozejrzałem. Władysława akurat nie było. Marcin, z zaciętą miną, nerwowo klikał myszką.

– Pańska książka jest do dupy – oznajmił raptem. Słabo się jeszcze znaliśmy, nie do końca rozumiałem dość specyficzny humor kolegi po piórze. Jednak wkrótce wyjaśnił, że żartuje, bo nastrój ma kiepski, a poza tym

potwornie irytują go przydługie wypowiedzi umundurowanych bohaterów, utrudniające jakoby prace edytorskie...

A już tak na poważniej – Władysław pochwalił tekst, szczególnie na tle wcześniejszych opowiadań. Że widzi postęp, jest myśl przewodnia, są ręce i nogi. Zauważył też, że opowieść mówi niby o czasie straconym (co czuć między wierszami), ale tak naprawdę czas ten – jakoby „wycięty” z życiorysu – wcale nie jest dla mnie stracony. Miał rację... Im dalej od wojska, tym mocniej się zgadzam. Przy okazji delikatnie zganiał za obrażanie ludzi (dostało mi się za nieszczęsne „zetory”). Na koniec zaś obiecał, że napisze słówko wstępne – i tak też uczynił. Książkę otwiera tekst „Od redaktora”, który odebrałem – jako początkujący literat – bardzo ciepło, krzepiąco... Wręcz jako zachętę do dalszego pisania.

„SPR” zadebiutował – jeśli mogę się tak wyrazić – na I Dniach Książki w Częstochowie. Impreza odbyła się w czerwcu 2003, w Miejskiej Galerii Sztuki. Wspominam ją bardzo miło. Dla mnie była swego rodzaju „ukoronowaniem” tamtego najwcześniejszego okresu aktywności literackiej. „DOM KSIĄŻKI” zorganizował stoisko, Władysław zaprosił kilku autorów. Przez dwa dni siedzieliśmy przy publikacjach, rozmawialiśmy o literaturze... Poznałem wtedy m.in. Tomka Gładysza i Zbyszka Wołczyńskiego. Naprawdę był to miły, sympatyczny, bardzo przyjemnie spędzony czas, szkoda tylko, że kolejne odsłony Dni Książki – przynajmniej jeżeli chodzi o mój prywatny punkt widzenia – nigdy nie dorównały tej pierwszej edycji. Z różnych przyczyn oczywiście, ale to temat na inną bajkę...

Teraz w czasie przeskoczyć chciałbym o okrągły cykl olimpijski. O całe cztery latka w przód – a więc już w okres funkcjonowania Towarzystwa. W tych osobistych wspominkach do głowy przyszły mi bowiem obrazki z innej imprezy (plenerowej wprawdzie, lecz podobnie jak tamta – ze stoiskami, publikacjami oraz tłumami zwiedzających). XV Dni Częstochowy, sierpień 2007. Jeden z owych „dni” poświęcony

został na prezentację częstochowskich organizacji pozarządowych. „Li-TWA”, jako świeżo upieczona „organizacja”, miejsce swoje na Placu Biegańskiego znalazła, oczywiście dzięki operatywności niezmordowanego Prezesa Piekarskiego. Dwa stoliczki, cztery krzeselka, pawilon ogrodowy – bo słońce grzało mocno... Było gdzie usiąść, było gdzie książki wyłożyć. Wspominam to wszystko nie dlatego, że do czegoś zmierzam lub coś wyjątkowego wydarzyć się tam miało, a po prostu dlatego, że takie akurat scenki, wiążące się ściśle z początkami „Li-TWY”, utkwily w mej głowie. W sensie dosłownym się one nawet z tą „Li-TWA” wiązały, bo przecież na stoliczku pod baldachimem leżały już dwa pierwsze numery magazynu literackiego o nazwie identycznej jak nazwa Towarzystwa, trzeci zaś (w wersji roboczej) pod stoliczkiem oglądaliśmy nieoficjalnie. Były też świeżuteńkie „Varia częstochowskie 2006 albo rocznik literacki” – tomisko imponujące, opasłe. Opracowane przez Władysława E. Piekarskiego i Zbigniewa Stańczyka, będące próbą ogarnięcia i przedstawienia najnowszej (często zaś po prostu zalegającej w szufladach) twórczości literackiej autorów z regionu. Pomysł przedni. I choć nie doczekał się kontynuacji, funkcję „Variów” przejął magazyn „Li-TWA” (który wkrótce, aby nie budzić mylnych skojarzeń z państwem litewskim, przemianowany został na odrodzoną „GALERIE”).

A wspomniane „Varia” świetnym są przykładem zbawiennego wpływu, jaki wywiera Towarzystwo (w sensie motywacyjnym) na moje pisarskie lenistwo. Bo takowe istnieje! Teraz może ciut mniej jest ono odczuwalne (czasu wolnego mam jak na lekarstwo, więc gdy już go mam, to na ogół siadam i po prostu piszę), jednak różnie z tym wcześniej bywało... Dla przykładu – jest zima 2007 (koniec lutego), dzwoni redaktor i mówi, że zamykają „Rocznik 2006”, w związku z czym może bym coś tam podesłał, bo mnie przeoczyli, zawczasu nie poinformowali, a tu już – prawdę mówiąc – kierować do drukarni by pasowało... Siadam więc i myślę. No tak, tyle co ukończyłem

„Urywki rzeczywistości”, ale to przecież za długie... O wiele za długie, a ja ciąc opowiadań nie lubię. Wszelkich fragmentów unikam jak ognia. W ogóle unikam krótkich form, nie piszę, nie wymyślam, „fizycznie” niczego takiego w szufladzie nie przechowuję... Co najwyżej w głowie, to już prędej. W słynnym „banku pomysłów”, tyle tylko, że jeżeli chodzi o ów „bank”, to by trzeba jeszcze spisać, bo wiadomo... Szperam, szperam i szperam. Faktycznie trochę w pamięci, a trochę – mimo wszystko – w starych wydrukach. Znalazłem jakieś odrzuty z „Halucynacji”. W sumie dobre, ale tam nie pasowały, więc wyciąłem... Jedno z lekcją u murarzy, drugie ciężkawe, osobiste, trochę egzystencjalne, zaczynające się od szkolenia BHP. Potem mi się przypomniało samo szkolenie. A nawet to, że kiedyś – gdy w poprzednie ferie zimowe bawiłem u narzeczonej w Katowicach, a ona uczyła się do medycznych egzaminów – z nudów, przy okazji obmyślenia szczegółów festynu na groteskowym Placu Rady Republik Bananowych, szkicowałem sobie absurdalną scenkę z niekumatą słuchaczką na behapowskim wykładzie o stoczni, traserach i kompresorku. Odnalazłem niedokończony plik, spasowało z „odrzutami” (tuż po lekcji murarskiej, a przed „dołerskim” kawałkiem o piłce i piwie). A gdy już się to piwo na koniec wyłoniło, jako taka niby pointa, to mi się jeszcze przypomniała – od dawna przechowywana w „banku” – scenka z byłym podchorążym oraz jego bromową fobią. Zawzięłem się, nockę trochę zarwałem, ale napisałem. Na drugi dzień to wszystko kosmetycznie ogarnąłem, wygładziłem, wysłałem. I jako „Miniatury” poszło do „Variów”.

Tak to właśnie jest. Gdyby nie mobilizacja Władysława, być może wcale tych tekstów bym nie spisał (lub z otchłani brudnopisu nie wyłuskał), nie mówiąc już o ich publikowaniu. Kolejne numery „GALERII” mobilizowały. Sięgałem do odkładanych na bliżej nieokreślą przyszłość pomysłów, pisywałem coś w rodzaju felietonów, ale sporadycznie, raczej pod wpływem impulsu i nieregularnie. Raz nawet

pokusilem się o tekst okolicznościowy (z okazji wydania dziesiątego numeru pisma), lecz nie czuję się w tym za dobrze, takie pisanie „na zamówienie” z trudem mi przychodzi...

W międzyczasie starałem się bywać na wieczorkach autorskich, które organizowało nasze Towarzystwo. „Zaliczyłem” ich z kilkanaście, aż wreszcie doczekałem się własnej promocji. Spotkanie odbyło się 28 sierpnia 2009, w winiarni „Stary Rynek”. Teoretycznie promowany był najświeższy zbiór opowiadań („Rękawica koloru khaki”), choć dużo dyskutowaliśmy o utworach starszych. Rozmowę poprowadził wiceprezes „Li-TWY”, Bogdan Knop, który kilka miesięcy wcześniej napisał posłowie do odświeżonych i powtórnie wydanych „Urywków rzeczywistości”, toteż „w tematyce” mojej prozy dobrze był zorientowany.

A jeszcze wcześniej, skoro już dotarłem do roku 2009, odbyła się wyjątkowa uroczystość: Gala Jubileuszowa z okazji 75. rocznicy urodzin oraz 25-lecia pracy twórczej Andrzeja Kalinina. Pisarz został uhonorowany Brązowym Medalem za zasługi dla Kultury Polskiej „Gloria Artis”. Miałem zaszczyt wziąć udział w części artystycznej, występując z utworem „Zbieram na piwo”. Wyboru piosenki dokonał sam jubilat. Benefis odbył się w maju, w „Teatrze u Stacherczaka”, pod honorowym patronatem Marszałka Województwa Śląskiego.

No tak... Fajnie, miło, sympatycznie wspomina się tamte wydarzenia – niestety dalej trafiam na dość potężną lukę. „Wyrwa” w pamięci bierze się stąd, iż pod koniec roku 2009 mocno zaangażowałem się w muzykę, a działalność literacką, brzydko mówiąc, zaniedbałem. Nagrywałem jednak profesjonalny album muzyczny (pojawiała się realna możliwość wydania płyty, o czym marzyłem od dziecka). Naturalnie wcześniej wiele piosenek musiałem dopracować (brakowało np. słów, solówek), przekonstruować, przearanżować... Później (tzn. po ukończeniu samych nagrań) osobiście czuwałem nad miksowaniem, masteringiem... Jak najlepiej pragnąłem zrealizować ten swój wymarzony „projekt”, przed sesjami dużo

ćwiczyłem, inne rzeczy poszły w odstawkę. Żona była w ciąży, spieszyłem się... W kwietniu urodziła się Natałka, w domu kończyliśmy remont, czasu miałem jeszcze mniej... Kilka numerów „GALERII” świadomie odpuściłem, nie pojawiałem się na spotkaniach „Li-TWY”, niczego nie pisywałem. Mozolnie realizowana płyta ukazała się 22 czerwca 2010, ale postanowiłem pójść za ciosem – i sesję nagraniową lekko przedłużyłem. W wakacje zarejestrowałem kilka dodatkowych utworów (nie tyle z myślą o kolejnym albumie, co bardziej o promowaniu się w Internecie). W połowie września definitywnie odstawiłem gitarę i pozamykałem wszelkie sprawy „nagraniowe”, a w październiku wyprowadziliśmy się do Warszawy. Szybkie tempo. Aktywnego udziału w życiu literackim Towarzystwa nie byłem w stanie brać, działalność muzyczną zawiesiłem całkowicie...

O tym wszystkim opowiadają już jednak kolejne odcinki „Świata według Sochy”. O moim urlopie wychowawczym, o doświadczeniach rodzicielskich, o przyczynach „ześłania”, o obserwacjach warszawskich... Na szczęście wszystko to przedstawiam na łamach „GALERII”. Przewornie obmyśliłem sobie bowiem formę stałej rubryczki, czegoś na kształt serialu literackiego, oczywiście na wypadek, gdyby jakiegokolwiek problemy „motywacyjne” znów się pojawiały... I co? Ano nic, sprawdza się! Żadnych problemów nie ma, a wręcz przeciwnie – jest dużo frajdy. Niby chciałem „ciągnąć” tę formułkę tylko w okresie warszawskim, tak mi się jednak spodobała, że żal po prostu przestać...

A z Warszawy wróciliśmy wiosną tego roku, zdążyłem nawet wziąć udział w Walnym Zebraniu Towarzystwa. Zarząd wkrótce powierzył mi funkcję e-redaktora, czyli – innymi słowy – dostałem „zielone światło” na przekształcenie nieoficjalnego bloga dyskusyjnego (powołanego do życia jeszcze w stolicy) w oficjalny serwis internetowy „Li-TWY”. Przystąpiłem do działania – zmieniłem szatę graficzną, ze starego adresu przetransportowałem najistotniejsze treści, wprowadziłem kilka nowych działów

(w tym rzecz bez precedensu – elektroniczne „ARCHIWUM GALERII”, gdzie znajdują się wszystkie dotychczasowe wydania pisma). Strona działa, jest funkcjonalna, stale się rozwija. Bardzo mnie to cieszy.

Z moimi poczynaniami internetowymi zbiegło się w czasie powołanie nowego składu redakcyjnego „GALERII”. Redaktorem naczelnym został Zbigniew Wołczyński, zaprosił współpracowników. Odbyło się spotkanie organizacyjne, wyłoniono oficjalny skład redakcji. Częściowo na nowych zasadach opracowaliśmy dwudziesty trzeci numer. Został zamknięty i skierowany do drukarni, od podstaw i całkowicie „po nowemu” powstać miał dwudziesty czwarty. Gdy nagle...

Zbyszek odszedł 6 sierpnia, zmarł w szpitalu. O wiele za wcześnie, miał 51 lat... Nie znaleźmy się zbyt dobrze. Ale zawsze będę Go wspominał bardzo ciepło i bardzo pozytywnie. Uśmiechnięty, kulturalny, szczerzy, sumienny, bezinteresowny. Z dobrym słowem dla każdego. Krótko mówiąc: porządny gość. Podobała Mu się nowa witryna Towarzystwa, zdążył nawet jeszcze poprawić i uzupełnić swoją biografię. Bardzo chciał, aby notki wszystkich naszych literatów się tam znalazły, to m.in. o tym rozmawialiśmy telefonicznie pod koniec lipca... Był okres wyjazdowo-urlopowy, nie mogłem przybyć na zebranie redakcyjne, pogadaliśmy więc tylko trochę przez komórkę. Szkoda, że nie zdążyłem już przedstawić Mu swoich wrażeń po lekturze „Hrabiego Pocięja”. Wieczór autorski przegapiłem (mieszkając wtedy w Warszawie), a książka wpadła mi w ręce niedawno... Przeczytałem uważnie. Pomysłowa, zabawna, oryginalna. Oczywiście spore fragmenty pamiętałem z „GALERII”, no ale teraz zgłębiłem całość. Miałem nawet kilka pytań...

Życie płynie dalej, trzymamy w rękach jubileuszowy, dwudziesty piąty numer „GALERII”. Nie mam pojęcia, kto zostanie (został?) nowym redaktorem naczelnym (jest wrzesień 2012). Nieoficjalnie miałem propozycję objęcia takowej funkcji... Tydzień myślałem,

ostatecznie odmówiłem. Chcę być fair. Nie do końca jestem pewien, czy się nadaję, czy jestem najodpowiedniejszym kandydatem, ale przede wszystkim: czy podołałbym czasowo? Naprawdę schlebia mi, że pomyślano o mnie. Poczuję się dowartościowany, jednak uczciwość nakazała odmówić. Chcę dalej pracować w redakcji, moderować stronę „Li-TWY”, prowadzić rubrykę prozatorską. Wszystko to daje dużo twórczej satysfakcji i jedynie na to, szczerze mówiąc, ze względów czasowych mogę sobie aktualnie pozwolić.

Rafał Socha



Karol Barton, So Nevo Si, 120x50, akryl na dykcie.

Małgorzata Nowakowska – Karczewska

Kącik „Z notatnika Małgorzaty N-K” urodził się wraz powstaniem „Galerii”. W czasie jakiejś rozmowy, w nastrojowym półmroku górnych salonów U Stacherczaka, gdzie wówczas adorowali się członkowie naszego Towarzystwa, przypominaliśmy sobie twórców rozmaitych pikantnych wierszyków. Władysław Piekarski, który pasjami lubi wszelkie aluzje z cyklu „momenty były”, zaproponował, bym poszperała w literaturze i przywołała takie pieprzne utwory. Nie miałam nic przeciw temu i tak pojawił się Naborowski, po nim Morsztynowie, Fredro i inni.

Z biegiem czasu kącik nieco spoważniał. Pojawiać się zaczęli poeci dziś już niemodni, a jednak interesujący, czy to z powodu powikłanych życiorysów, czy nietuzinkowej osobowości (Lechoń, Lemański, Broniewski, itp.). Z upływem lat (już lat?!) powstała całkiem spora galeria.

Konopnicka pojawia się przywołana poprzednim szkicem, bo to i krewna Broniewskiego, i osobowość niepospolita, i talent nie we wszystkim tak mierny, jak imputował Lechoń.

MARIA KONOPNICKA 1842 – 1910

Kochała kwiaty, choćby astry pięknie kwitnące w Żarnowcu, z upodobaniem stawiała pasjansy („Naturalnie, że i tu panuje pasjans” – donosiła bliskim z podróży do Nicei), za pechową uważała środę – dzień, w którym wydano ją za mąż „(...) za przeżytego hulakę i człowieka już niemłodego (...)”, dla którego jakoby, prócz bojaźni, żadnych żywszych uczuć nie miała, jak wspominała po latach.

Początkowo wszak zdawało się, że zawarte w zabytkowym kościele św. Mikołaja w Kaliszu małżeństwo między Janem Jarosławem z Kroczoła młodzianem, dzierżawcą wsi Bronowa, a Marią Stanisławą dwóch imion Wasiłowską, panną, będzie szczęśliwe. Przystojny Jarosław, doskonały tancerz, starszy wprawdzie o lat dwanaście od dwudziestoletniej żony, fascynował Marię. „Jest tak dobry, że się poddaje wszystkim moim figlom i pustotom, a ja nawzajem pozwałam się całować – bo sama całuję tylko od wielkiego dzwonu” – zwierzała się siostrze. Oczarował ją także stary, typowo szlachecki dwór w Bronowie i piękny ogród:

„A latem to kwiecie
Aż się w okno ciśnie
Białe bzy, jaśminy,
I rozkwitłe wiśnie ...”

Wzajemne, silne chyba pożądanie, nie kończyło się oczywiście na pocałunkach, w krótkim czasie pojawiła się na świecie spora gromadka dzieci. A jednak „wąsaty anioł” rychło rozczarował Marię. Okazał się być dla kobiety marzycielskiej, nadwrażliwej człowiekiem zbyt przyziemnym, pieniactwem rozmiłowanym „w prawowaniu się do namiętności”, utracuszem; szybko więc i bezpowrotnie stracił miejsce w sercu żony.

Maria, coraz bardziej nieszczęśliwa i samotna („Ach! Jakże nieskończenie smutnym jest życie!”) usiłowała sobie stworzyć jakiś własny świat daleko od „hałaśliwej atmosfery domu, w którym zawsze pełno było ludzi, jeśli nie gości to wierzycieli”. Patrzyła już na życie bez złudzeń, z głęboką świadomością bólu, jaki ono wywołuje. „Mam duszę tak rozbitą i pełną smutku gorzkiego, że się zwijam w sobie, jak chory lis”. Wreszcie zdecydowała się na krok wyjątkowy, pod pretekstem edukacji dzieci opuściła niekochanego męża, przenosząc się, nie bez obaw, do Warszawy.

„Z jaskółką czarną rzucam gniazdo moje,
Wioskę zieloną ...
Przedemną lecą jakieś niepokoje (...)”

Odtąd musiała sama utrzymywać siebie i sześcioro dzieci. Jarosław tymczasem tracił kolejne dzierżawy, tonął w długach, zazdrościł żonie rosnącej sławy i do końca życia nękał ją roszczeniami finansowymi.

„Z jednego kubka, ty i ja
 Piliśmy onej chwili,
 Lecz że nam w wodę wpadła łą,
 Więc kubek my rozbili.
 I poszli w świat, i poszli w dal,
 Osobną każde drogą.
 Ani nam szczątków onych żal,
 Co zrosnąć się nie mogą” –
 wspominała wiele lat po opuszczeniu męża.

Warszawskie lata to wprawdzie często czas biedy – „(...)zwykle w początkach każdego kwartału wpadam w takie tarapaty, że ledwo uszy z nich widać”. Dni rozbite godzinami lekcji, których udzielała w snobistycznych domach („(...)jak to ciężko robić coś tylko dla chleba”), nadal czas samotności („Dzika jestem, do szerszego życia przywyknąć nie mogę”), ale także czas, w którym rozkwitła jej poezja.

„(...)A pieśń się wije, tkana
 Wpół z prawdy, a wpół z cudów.”

Drobna, zwinna, rudawa Maria, kobieta o wyjątkowo bogatej skali uczuciowej, niepozbawiona kokieterii mogła się podobać, uchodziła za „genialną poetkę i jedną z najpiękniejszych kobiet towarzystwa”. Pragnęła kochać, pragnęła uczuć wzniosłych,

„Ty sam się rodzisz i umierasz po to,
 Byś raz z miłosną spotkał się pieszczotą (...)
 W miłości tylko jednej tyś człowiekiem”

ale stugębna plotka stale przypisywała pięknej Marii – przez zazdrosne panie zwanej „mężczyźniarą”, a przez panów „niewiastą mocno kochliwą” – skandaliczne romanse, zwłaszcza ze znacznie młodszymi mężczyznami, a nawet kobietami.

Pierwszą z ofiar jej występnej miłości miał być Konstanty (Kocio) Kryński, gubernator jej dzieci, który rzekomo „olśnił i porwał umysł bądź co bądź ciekawy i wyrrywający się ze szranek obowiązków świętych, lecz szarych, nudnych, no... i krępujących lotną, gorącą wyobraźnię”.

Szeptano także, że usidliła młodszego o lat siedemnaście dramaturga Jana Gadomskiego,

który wprawdzie był niezbyt wielkiej urody, ale „miał talent rozmawiania z niewiastami i podobał się im”.

Oburzenie obrońców moralności wzrosło jeszcze, gdy pięćdziesięcioletnia Maria stała się obiektem adoracji przeszło dwadzieścia lat młodszego Maksymiliana Gumpłowicza („zadurzył się w starej babie” – twierdził jego ojciec, sławny prawnik, który bezskutecznie starał się wyperswadować synowi zauroczenie). Maksymilian jeździł wszędzie za poetką, proponował



Portret Marii Konopnickiej wg Marii Dulębianki - olej, płótno 60 x 40 cm, 1946 rok, zbiory prywatne.

małżeństwo, a gdy niczego nie uzyskał, przed hotelem w Gratzu, gdzie akurat zatrzymała się Maria, pozbawił się życia strzałem z pistoletu.

Nawet młoda malarka, Maria Dulębianka, która przez wiele lat towarzyszyła poetce („Jest mi zawsze bardzo kochana i o mnie bardzo zahaczona sercem.” – zwierzała się Konopnicka), dla wielu była nie tyle jej przyjaciółką i partnerką umysłową, ile obiektem lesbijskiej miłości. Bo „nosiła się po męsku, a włosy miała całkiem kuso podcięte”, bo w listach do dzieci

Maria nazywała ją pieszczotliwie Pietrkciem, bo polowała zapalczywie („właśnie przed chwilą wybrała się z wyżłem na szaraki”).

Ta pono mocno kochliwa niewiasta, otoczona tyłu adoratorami, była jednak chyba ogromnie samotna i nigdy niespełniona w miłości.

„I złudą jest, że w życia ruch
Z Kochaniem serca idziesz w dwóch,
Że dotrwa miłość, dotrwa druh ...
A prawdą jest, że z życia bram,
Wśród zimnych – zimny wyjdiesz sam
W mogilnej ziemi czarny puch(...)”

Pisała dużo, szybko (zawsze fiołkowym atramentem), wiedząc, że

”(...) Gdy się poeta nawzdychał, nazgrzytał,
Zawsze się jeszcze znajdzie taki smakosz,
Co wzniesie oczy i będzie to czytał (...)”

a przecież nader często źle odczytywano jej intencje. Już pierwsza książka pisarki „Fragmenty...” (poświęcona trojgu bohaterom przeszłości – Hypatii, Vesaliuszowi i Galileuszowi – którzy zapłacili ogromną cenę za swe niekonwencjonalne poglądy i działania) ściągnęła na głowę Marii gromy środowisk klerykałnych. Uznano, że przyświecająca autorce myśl jest „bezbożna i bluźniercza”. Broniła Marii niezawodna, zawsze bezinteresownie życzliwa Orzeszkowa, która za radą Teodora Jeża („drukowałbym, nie oglądając się na nic”) opublikowała „Fragmenty ...” w swoim wydawnictwie. „Maria Konopnicka – dowodziła Orzeszkowa – nie napisała historii Kościoła, tylko w formę poetyczną ujęła trzy odrębne w czasie, a pokrewne w idei, momenty historii ludzkich walk o swobodę myśli i sumienia”.

Konopnicką zmuszono, by odżegnała się od heretyków (np. rozwydrzonej bezbożnicy Orzeszkowej) w formie publicznego wyznania wiary. Uległa, by znów móc drukować. „Scena odbyła się w kościele kapucynów w obecności Ilnickiej i Pługa (redaktorów „Bluszczu” i „Kłósów”), występujących w roli niby rodziców chrzestnych (...) autorka „Fragmentów...” płakała tak, że serce bolało na nią patrzeć. Nie

ze skruchy to było jednak, lecz z bardzo zrozumiałego wstydu i żalu nad sobą” – donosił w liście do Elizy Meyet, wspólny znajomy obu pisarek. Orzeszkowa straciła wydawnictwo i otrzymała zakaz opuszczania Grodna, ale nadal robiła wszystko, by wspierać przyjaciółkę „(...) wiem, że zrobiłaś to, serdeczna moja, żeby mi pomóc w tym świecie, gdzie wszyscy rozpychają się pięściami, żeby sobie zrobić miejsce, dla cichych zostawiając obietnice ewangelicznych błogosławieństw” – pisała wdzięczna Maria.

Los Marii nie rozpieszczał, ale ambicją, pracą, uporem, talentem radziła sobie w życiu nader dzielnie. Skarżyła się wprawdzie czasem,

„Ach, ja w jesieni przestaję być sobą,
A jestem smutkiem, ciszą i żałobą (...)”

ale rychło dla pociechy uciekała w świat wyobraźni:

„Czy to bajka, czy nie bajka
Myślcie sobie jak tam chcecie,
A ja przecież wam powiadam,
Krasnoludki są na świecie”.

Wieczna bieda („wieszczka ta, nieposiadająca ani grosza funduszu” – konstatawał Pług) zmuszała Marię do szukania nowych zajęć. Zdecydowała się za radą znajomych redagować „Świt”; „lepiej jest redagować pismo, niż bałazarzyć”. Ambicje były duże, chciała zmienić „smak letniej tej wody, którą przelewają tu w prasie”, ale po dwóch latach z ulgą zrezygnowała z dziennikarstwa. „Nie wiem sama, jak dotąd mogłam wytrzymać w tej klatce. Teraz przecież będę znów wolnym, swobodnym ptakiem”.

Źródłem wiecznych trosk, tragedii nawet, były dla Marii dzieci, choć niewątpliwie starała się wychować je mądrze. Piękna, inteligentna Helena, silnie rywalizująca o uczucia matki, nie wytrzymała napięcia psychicznego. Kradła („Wszystkie kradzieże były popełnione z takim pomysłem i zręcznością, że nie sposób myśleć, żeby uczyniła to osoba mająca jakiegokolwiek zboczenie umysłowe” – pisał Meyet), wywoływała publiczne awantury, wreszcie targnęła się

Myśl – taka daleka,
Jak sen...”

a utyskiwaniem, że dno strasznie kamieniste i trudno pluskać się w morzu albo niebo wprawdzie błękitne, ale domy podle urządzone. Kolejne święta czy imieniny wskutek stałych „paroksyzmów biedy” były bardzo skromne; żyła głównie z nieregularnie wypłacanych honorariów. „Kupiłam (...) babkę za franka, pekefleisu funt i musztardy, cztery śledzie marynowane i ¼ funta sera. Z tego było przyjęcie wieczorne (...)” Lada szczegół pejzażu budził nostalgię:

„Wierzbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łyzy (...)
Na rozdrożu, na tułaczem,
Gdzie nas rzucił los (...)”

Angażowała się poetka z wielkim poświęceniem w różne akcje patriotyczne (sprawa Wrześni), mając coraz większą pewność, że „(...) my (Polacy) chyba nie zginiem! Bo na co dawałby nam Pan Bóg tyle ducha i rzewności – i dumy jakiejś – i prostoty – gdyby to wszystko na marne miało iść”.

Podatna na pochwały, nieobojętna na zaszczyty, Maria z dumą przyjęła pomysł uroczystego uczczenia ćwierćwiecza jej pracy pisarskiej. „Tak więc szykuje się jubileusz od nieba do ziemi” – pisała do dzieci. Zamówiła dwie nowe (jakże to kobiece) suknie, by godnie wypaść w czasie obchodów w Krakowie i we Lwowie, i cierpliwie przyjmowała wielogodzinne hołdy. Niechętna zawsze poetce warszawska „Rola” kpiła przy tej okazji, że oto „ojcowie pozytywizmu wraz z całym zastępem zżydziałego i bezwyznaniowego potomstwa pasują panią Konopnicką na wieszczkę narodową, ba! Wszechświatową”.

Maria marzyła jeszcze tylko o jakimś skromnym dworku, gdzie „Cisza, spokój jedyne ukojenie, jakie człowieka leczy – z życia”. Niezawodna Orzeszkowa pomogła i to pragnienie zaspokoić. Komitet jubileuszowy zakupił ośmiopokojowy dom z ogrodem w Żarnowcu. Moment objęcia dworku w posiadanie opisała Maria ze sporą dozą humoru synowi: „(...) Wójt i gmina przyjmowała chlebem i solą.

W progu witał komitet pań lwowskich, szczęściem bez długiej przemowy. W sieniach poseł Bojko wyróżnął setną orację”.

Okoliczni chłopcy rychło pokochali poetkę, ale Maria nie znalazła w Żarnowcu spodziewanego szczęścia i spokoju „Za późno to przyszło. Nie mam sił cieszyć się tym”. Zdrowie, od wielu lat marne; „Co do mnie, to miewam niezłe dnie i fatalne noce z siedzeniem w łóżku, synapizmam, gorącą kąpielą na nogi i niezmierną ilością strofantum, mającego mi ułatwić oddychanie”. Niechętnie poddawała się wszelakim kuracjom, nie przepadała za lekarzami „Jednak głupi są ci doktorzy”. Po kolejnych atakach duszności z zalem opuściła Żarnowiec („Akurat astry tak pięknie kwitły”), udając się do Lwowa. Przeczucie mówiło „Ostatni zdaje się etap”, ale przecież chciała żyć, badającego lekarza z nadzieją pytała „Czy lecę do przepaści już nieubłaganie, czy jeszcze się zatrzymam?”.

Zdążyła jeszcze odebrać zbiorowy list od chłopów z Żarnowca „Niech się tam poradzą co rychlej jakiego doktora i wracają do nas (...)”. Przeczucie nie zawiodło Marii, mogła już tylko przywołać wersy swego pełnego metaforycznych treści wiersza „Wizja”:

„(...) I życie przejdzie, i śmierć zamroczy
Ale ja w trumnie otworzę oczy
W bezbrzeżne, białe pole (...)”

Nad grobem pięknie pożegnał Marię Jan Kasprowicz „(...) duch twój pozostanie między nami, dopóki żyć będziemy. A żywi będziemy, gdyż nie umiera naród, który z łona swego takich, jak ty, wydaje wojowników”. Na Cmentarzu Łyczakowskim zegnały poetkę „nieprzebrane fale ludności w potokach cudnych jesienno-słonecznych spadających liści”, ale bez duchownych, nadal bowiem uważano, że nie była prawowierzącą katoliczką.

Małgorzata Nowakowska – Karczewska

Cytaty:

Maria Konopnicka, *Liryki i poematy*, Universitas, Kraków 2002.

Maria Konopnicka, *Korespondencja*, Wydawnictwo PAN, 1971.

Wiesława Grochola, *Nielatwo być Konopnicką*, Nasza Księgarnia, 1989.

WAŻNIEJSZE ROCZNICE HISTORYCZNE W 2013 ROKU

1050 lat temu – pierwsza zapisana wiadomość o Mieszku I i jego państwie (963 r.)

875 lat temu – śmierć Bolesława III Krzywoustego i początek podziału Polski na dzielnice (1138 r.)

220 lat temu – drugi rozbiór Polski z udziałem Rosji i Prus (1793 r.)

175 lat temu urodził się Xawery Liske, późniejszy założyciel i pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego.

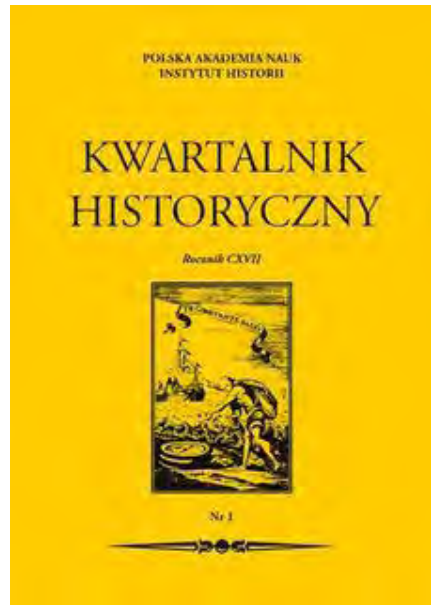


Xawery Liske (foto: net).

160 lat temu – powstanie styczniowe, ostatnia próba walki zbrojnej o odzyskanie niepodległości (1863 r.)

145 lat temu – tzw. „Wiosna Ludów”, wydarzenia w Galicji i Wielkopolsce (1848 r.)

95 lat temu – ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI po rozbiorach (1918 r.), obrona Lwowa przed bolszewikami; powstanie wielkopolskie



Okładka Kwartalnika Historycznego (foto: net).

65 lat temu – ostateczne „zjednoczenie” lewicowych partii (PPR i PPS), powstanie PZPR (1948 r.)

dr Jan Łączewski

WŁADYSŁAW BEŁZA

- Kto ty jesteś?
- Polak mały.
- Jaki znak twój?
- Orzeł biały.
- Gdzie ty mieszkasz?
- Między swemi.
- W jakim kraju?
- W polskiej ziemi.
- Czym ta ziemia?
- Mą ojczyzną.
- Czym zdobyta?
- Krwią i blizną.
- Czy ją kochasz?
- Kocham szczerze.
- A w co wierzysz?
- W Polskę wierzę.
- Czym ty dla niej?
- Wdzięczne dziecię
- Coś jej winien?
- Oddać życie.

29 stycznia 2013 roku przypadała równo setna rocznica śmierci autora tego patriotycznego wiersza dla dzieci, które kilka pokoleń – w tym moje – znało na pamięć oraz wielu innych liryk społeczno-patriotycznych. Urodzony w Warszawie (w 1847 roku), związany początkowo z Poznaniem, gdzie był współtwórcą i redaktorem „Tygodnika Wielkopolskiego” oraz inicjatorem stałego teatru, a następnie przez wiele lat we Lwowie. Był pracownikiem Ossolineum, współ-

twórcą (obok J. I. Kraszewskiego) Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza. Jako częstochowanie powinniśmy też zapamiętać napisany przez niego dramat „Kacper Karliński” dotyczący znanego fragmentu z początku panowania króla Zygmunta III – obrony zamku w Olsztynie koło Częstochowy przed austriackim kandydatem do korony polskiej.

Jest pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

dr Jan Łączewski

Jan Łączewski

CZY POLSKA PROWADZIŁA WOJNY ZABORCZE?

I

Gdy byłem dzieckiem uczęszczającym do szkoły podstawowej (wówczas mówiono „powszechniej”), moja mama uczyła w domu mnie i moją młodszą siostrę, że Polska jako jedyny wyjątkowy kraj europejski nie prowadziła wojen zaborczych. Polacy (a poprzednio już Lechici) jedynie bronili siebie i swojej ziemi przed obcymi, którzy na nasz kraj napadali, a byli to głównie Niemcy i Moskale. Tak uważała wówczas niemal cała elita ludzi wykształconych a pewnie i masy. Dziś rozpatrując wydarzenia z przeszłości, jako zawodowy historyk dostrzegam – ku pewnemu zdziwieniu – że moja matka miała rację. Polska w przeszłości rzeczywiście wojen zaborczych nie prowadziła. Te nieliczne przypadki wkroczenia wojsk polskich na obcy teren stanowiły na ogół próbę odzyskania ziem uprzednio straconych. Przykładem są wojny z Zakonem Krzyżackim w latach 1409 – 1411 i 1454 – 1466 czy wojna króla Stefana Batorego z Moskwą o Inflanty przyłączone do Rzeczypospolitej w 1566 roku na prośbę ostatniego wielkiego mistrza Zakonu Kawalerów Mieczowych a zajęte przez wojska cara Iwana IV zwanego Groźnym. (Batory wyprowadził się na Inflanty kolejno w 1579, 1580 i 1581 roku). Również zajęcie Smoleńska w 1611 roku było odzyskaniem tego miasta utraconego w 1514 roku za czasów króla Zygmunta I. Podobnie trudno by było uznać za wojnę zaborczą trzy powstania śląskie (1919, 1920 i 1921), które miały

na celu powrót do Polski ziemi górnośląskiej, wprawdzie utraconej przed pięcioma wiekami (choć z niemieckiego punktu widzenia mógł być to zabór). Także generał Lucjan Żeligowski, dokonując zbrojnego zajęcia Wilna w 1919 roku, zajął ziemię, którą Litwini uważali za im należną, ale która tak naprawdę była wówczas niczyja (toczyła się wojna zapoczątkowana przez bolszewicką rewolucję), ale jej mieszkańcami byli w olbrzymiej większości Polacy.

Tak więc praktycznie jedyną wojną zaborczą (ale i tam nie chodziło o zagarnięcie ziemi, lecz o ustanowienie w Rosji sprzyjającej Polsce i jej interesom władzy), była wojna lat 1610 – 1613. Nie przyniosła ona Polsce specjalnych korzyści a jedynym jej trwałym skutkiem jest pamięć faktu, że to polskie wojska zdobyły Moskwę, którą to sztukę powtórzył jedynie Napoleon Bonaparte 200 lat później.

Możemy więc w oparciu o historię uznać, że Polska wojen zaborczych nie prowadziła. Tylko pytanie czy to dobrze, czy źle, dlaczego tak się stało i jak należy ten fakt oceniać.

II

Zaniechanie prowadzenia wojen zaborczych, brak zainteresowania zdobywaniem nowych ziem dla ekspansji ludnościowej (mam na myśli stulecia XVI do XIX, bo dzisiaj patrzemy na to już inaczej, czego dowodem są upadki dawnych imperiów połączone niekiedy z przeprosinami za

kolonializm, itp.) dowodzi braku instynktu narodowego, żeby nie powiedzieć patriotyzmu. Polska w XIV i XV wieku stała się wielkim europejskim mocarstwem bez konieczności dokonywania agresji na inne ziemie. Zrobili to za nas Litwini, dokonując podboju niemal całej Rusi (z wyjątkiem Moskwy), której ziemie stały się częścią litewskiego państwa a następnie przez unię polsko – litewską stały się prowincjami Rzeczypospolitej Obu Narodów i wobec wyższości cywilizacyjnej Polski faktycznie były jej częścią. Później wytworzyło się pojęcie „kresów”, które swoim obszarem prawie trzykrotnie były rozleglejsze niż piastowska część terytorium państwowego tej wspólnej Rzeczypospolitej. Polska szlachta w sprawach terytorialnego rozwoju kraju zachowywała na ogół bierność. Również królowie popełniali błędy, których klasycznym przykładem był tzw. hołd pruski, kiedy to Zygmunt I nie skorzystał z możliwości powiększenia „królestwa” kosztem księstwa pruskiego i zgodził się na stosunek lenny. Stało się to w 1525 roku, gdy Polska była potęgą. Jednak Królewiec (obecny Kaliningrad) nigdy nie stał się integralną częścią Polski.

Podam jeszcze dwa trochę egzotyczne przykłady bierności polskiej szlachty na kwestie terytorialne. W 1628 roku Polska nie skorzystała z możliwości zhołdowania Krymu, o co prosił zagrożony przez Turcję chan Szahin Giraj. Natomiast w 1645 roku król Władysław IV nie zareagował na propozycję księcia Kurlandii (polskiego lenna) Jakuba Kettlera, by umieścić polską flagę w świeżo przez niego zdobytej kolonii na Trynidadzie (w domyśle także w podbijanej właśnie Gambii). Oznaczałoby to udział Rzeczypospolitej w podbojach kolonialnych, które na pewno były wojnami zaborczymi.

Ale ostateczna konkluzja nie będzie pozytywna. Polacy nie chcieli wprawdzie podbijać i zniewalać innych, ale nie potrafili także obronić swojej wolności. Jak łatwo przechodzili na stronę wroga, żeby uniknąć walki, świadczy przebieg tzw. szwedzkiego „potopu”. Moja wspomniana na początku niniejszego szkicu matka uczyła mnie również, że naród polski nigdy nie wydał zdrajców. Tu się myliła: warcholów, którzy dla

własnej korzyści lub (błédnego) rozumienia polskich interesów narodowych czy też po prostu z nienawiści występowali (i występują) przeciwko legalnym władzom państwa – było u nas chyba więcej niż gdzie indziej, bo sprzyjała temu instytucja wolnej elekcji (obecnie nadmiar demokracji) i uzależnienie się od obcych mocarstw. Nie prowadziła Polska wojen o obce ziemie, ale też nie potrafiła obronić siebie, swojego państwa i swojej wolności.

III

Jedyny przykład wypowiedzenia przez Polskę wojny miał niezbyt wojskowy charakter. Gdy siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zaatakowali amerykańską bazę Pearl Harbour na Wyspach Hawajskich, co oznaczało wojnę z USA, Wielka Brytania i przedstawiciele sojusznicznych rządów emigracyjnych przebywający w Londynie wobec zajęcia ich krajów przez Niemcy, wypowiedzieli Japonii wojnę.

Jedynie Polska tego nie zrobiła ze względu na dług wdzięczności (wielką pomoc humanitarną dla dzieci polskich tułających się po bolszewickiej rewolucji na ziemiach Azji oraz dość silne powiązania wojskowe a zwłaszcza współpracę wywiadów).

Dopiero po mocnej presji ze strony Brytyjczyków Polska prawie o tydzień później wypowiedziała Japonii wojnę. I wówczas doszło do bezprecedensowego wydarzenia. Premier Japonii generał Hideki Tojo ogłosił: „Wyzwania Polaków nie przyjmujemy. Polacy, bijąc się o swoją wolność, wypowiedzieli nam wojnę pod presją Wielkiej Brytanii”. I tak się skończyło jedyne – jak dotąd – wypowiedzenie przez Polskę wojny.

Dodam jedynie na koniec, że pomoc humanitarna Japończyków dla polskich dzieci, które stały się dorosłe, a potem osiągnęły wiek starczy i z powodu wojny oraz komunizmu nie mogły wrócić do kraju, przetrwała różne koleje losu aż niemal po nasze czasy. Gdy w 2002 roku japońska para cesarska składała wizytę w Polsce, towarzyszyła jej ostatnia trójka tych właśnie ocalonych przed laty „dzieci”.

dr Jan Łączewski

NOTY O KSIĄŻKACH NADESŁANYCH

Antologia wierszy poetów częstochowskich Klubu „Złota Jesień” Część III: [wiersze] / Praca zbiorowa pod redakcją Beaty Łukarskiej i Barbary Strzelbickiej – Częstochowa: Klub Poetycki „Złota Jesień” przy OPK „GAUDE MATER” w Częstochowie 2012 - 192 s.; 20 cm.

Piąta zbiorowa publikacja Klubu „Złota Jesień”, która jest świadectwem cotygodniowych spotkań Klubu. Formuła podobna do poprzednich publikacji z tymi samymi błędami merytorycznymi, o których można było przeczytać na łamach „Galerii”. Ale trzeba zauważyć i zwrócić uwagę, że pojawiają w nim nazwiska Małgorzaty Franc, Lecha „Leszka” Grochulskiego, Ireny Krawczyk, Agnieszki Złotej i Barbary Strzelbickiej, które mają już za sobą indywidualne debiuty książkowe oraz „nadzieja” w osobie Pauliny Surmy.

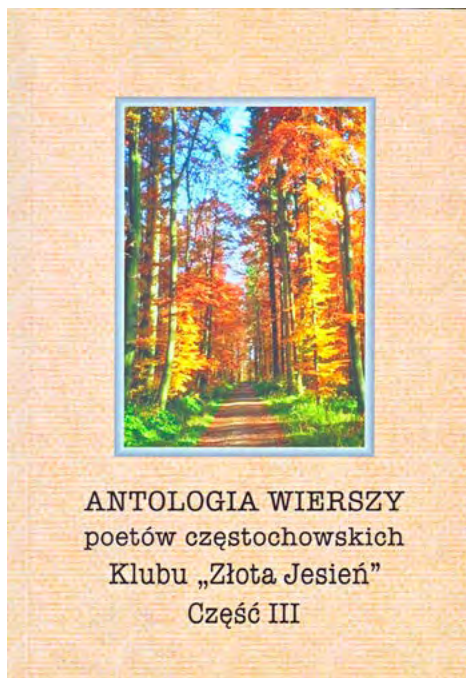


Foto: red.



Foto: red.

Bajeczka dla dwóch synków i córeczki:

[wiersze] / Joanna Szymańska - Częstochowa: Wydawnictwo „e media” 2012 - 43s.; 20 cm.

Po publikacjach częstochowskiej serii „Cała Polska czyta dzieciom” wydawanej przez Wydawnictwo „Dom Książki” i „Sekretach Legrietty” Małgorzaty Nowakowskiej – Karczewskiej to kolejna książeczka adresowana do najmłodszych odbiorców. Trzeba też dodać, że jest to druga książka poetycka Joanny Szymańskiej po wydanym w 2009 tomiku „Przez okno wiersza”.

Studium filozofii upadku: [wiersze] / Agnieszka Złota - Częstochowa: Wydawnictwo Literackie „Li-TWA” - Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików 2012 - 73s.; 20 cm.

Drugi tomik poetycki dobrze zapowiadającej się poetki – faworytki w kategorii młodych twórców w konkursie Marszałka Województwa Śląskiego. Jedyną wadą tej książki jest brak wad i brak wiary w to, że autorka dorasta do tego, żeby być poetką, a swoją niewiarę podbuduje słowami dr Artura Żywiółka (który kilkanaście lat temu debiutował w Częstochowskiej Biblioteczce Poetów i Prozaików, podobnie jak jeszcze jeden doktor – dr Konrad Ludwicki, który kilka miesięcy temu wydał w tej samej serii zbiór miniatur „Ściana i inne miniatury”). Swoim słowem wsparł także dr Ryszard Miszczyński jako filozof. Tomik zilustrował plastyk w osobie dr Mariana Panka.

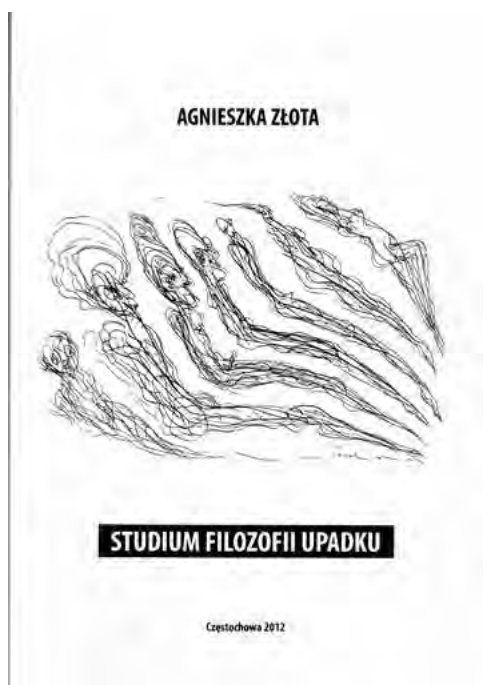


Foto: red.

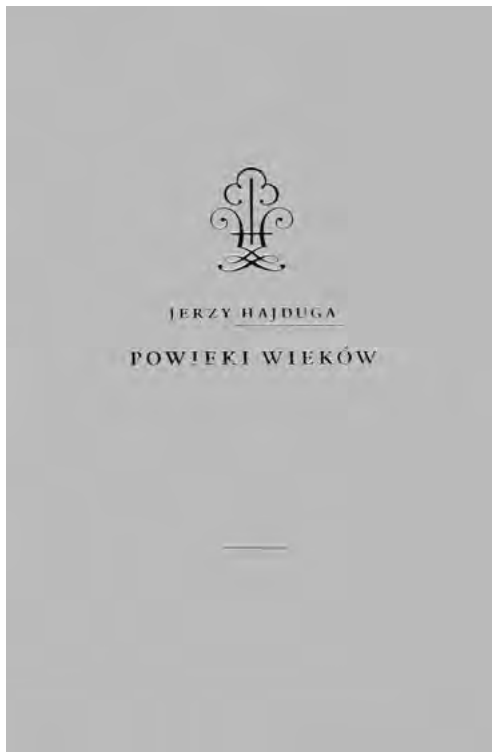


Foto: red.

Powieki wieków: [wiersze] / Jerzy Hajduga – Poznań: Wydawnictwo Nowa Pracownia 2012 - 40s.; 20 cm.

Jak radzić sobie z przemijaniem i bezradnością wobec śmierci? Jerzy Hajduga pisze o chorobie i odchodzeniu matki czule, poruszająco, ale bez sentymentalnego pocieszenia. Wspominając przeszłość, ucieka przed melancholią w codzienne teraz. Starzenie się opisuje bez złudzeń i bez patosu. Ufa czytelnikowi i jego poczuciu humoru. Jest w tym tomiku wiara, ale nie ma w nim pewności [z noty Marcina Jaworskiego].

Andrzej Niewinny Dobrowolski

HISTORYJKA O HISTORII

Pielgrzymka. Powiedzmy warszawska. Trzecia Aleja. Na rogu Dąbrowskiego częstochowianin z niedowierzaniem słyszy skandowanie:

- Po-wie-sić Kor-de-ckie-go!... Po-wie-sić Kor-de-ckie-go!
- Kiego? Co wyśta powariowały? Chłop od dawna nie żyje!
- Ale należało go powiesić!
- Taaak? A czemuż by to?
- Bo jakby się dureń tak nie stawał, to dzisiaj mielibyśmy tu Szwecję.
- No nie wiem, czy na pewno macie rację, bo czytałem we „Wprost” o liście od przeora do stojącego pod wałami niemieckiego generała Müllera (poczekajcie, miałem tu gdzieś ściągę; o, jest!)... no więc pisał tak: „Ponieważ całe królestwo polskie posłuszne jest Najjaśniejszemu Królowi Szwecji i uznało Go za swego Pana, przeto i my wraz ze świętym miejscem, które dotąd królowie polscy mieli we czci i poszanowaniu, pokornie poddajemy się Jego Królewskiej Mości Panu Szwecji (...). Zanosimy ustawiczne modły do Boga i Najświętszej Bogarodzicy, czczonej w tym miejscu, o zdrowie i pomyślność Najjaśniejszego Pana, Króla Szwecji, Pana i Protektora naszego Królestwa”.

To się, kurna, porządnego człowieka nie czepiajta! Robił, co mógł, ale jak widać nawet z pomocą matkoboski nie udało mu się poddać. I skończyć mi tu z tymi krzykami, boście są w świętym miejscu, a nie na bazarze.

HALINA

Słowa tworzą cuda, wiara tylko nadzieję.
Przysłowie staroszkockie

Szczupła, z siwiejącymi włosami związanym w mysią kitkę pracuje u wylotu promenady łączącej Aleję Najświętszej Maryi Panny z właściwym placem podjasnogórskim. Dochodzi dziesiąta wieczorem. Powietrze już nieco bardziej rześkie, lecz daleko jeszcze od wychłodzenia całodziennego skwaru. W żółtym świetle wysokich lampionów nieliczni turyści i pielgrzymi. Postronnemu trudno odróżnić, kto jest kto, ale Halina orientuje się doskonale.

- O, ci tam, to Niemcy.
- Halo! – pytam po angielsku – Państwo z Niemiec?

- No, siamo Italiani – odpowiadają. W każdym razie z zagranicy.

- Właściwie nie wolno, ale wieczorami nikt mnie stąd nie przegania. Przychodzę koło szóstej, siedzę do późna. Dopóki są ludzie. A kręcą się jeszcze długo po zamknięciu klasztoru. Właściwie po dziesiątej jestem tu bardziej z ciekawości niż dla pożytku, bo groź wrzuci naprawdę mało kto, ale i tak nie mam nic ciekawszego do roboty. Jestem bezdomna. Czy się siedzi w parku na ławce, czy tutaj, pupa boli jednakowo. A tutaj choć tę złotówkę, dwie się zarobi.

- Od kogo głównie? Od bogatych, biednych, turystów, pielgrzymów?

- Dają wyłącznie biedni. Przeważnie z prośbą, żebym ich wyręczyła w modlitwie. Za mamusię, tatusia, o urodzaj. Jedna pani o zmniejszenie podatku miała sprawę do Maryi. Mnie tam bez różnicy, modłę się o wszystko. Zapłacą, to się modłę. Tutaj ruch, gwarno, atrakcje, to i ludziskom na modlitwę czasu już nie staje. Przyjadą umęczeni, niektórzy wręcz przyjadą, to bardziej o odparzonych stopach myślą niż o tym, co ich tu sprowadziło.

- Ale przecież to samo, co u pani, mogą załatwić bezpośrednio w kaplicy, pisząc kartkę z życzeniami wprost do Matki Boskiej.

- Tam drożej. I pisać trzeba. Kto tam teraz potrafi sklecić poprawnie parę zdań. A do Maryi z bykami nie wypada. To idą do mnie. Mnie wystarczy powiedzieć byle jak i też się pomodłę. W usługach klient ma rację – dodaje Halina z uśmiechem.

- Widzę, że mimo ciężkiej pracy humor pani nie opuszcza.

- A cóż mam robić? Jedyne, co mi zostało, to śmiać się. Łzy już wyplakałam. Jestem bezdomna, syn w więzieniu, przysła synowa bezrobotna, wnuczek jeść chce... płaczem go nie nakarmię.

- A renta, zapomoga?

- Złożyłam papiery o rentę. Mam wypracowane dwadzieścia lat w gastronomii, lecz zakład, gdzie zaczynałam w sześćdziesiątym trzecim, nie istnieje. Dokumentów nie ma, a ZUS chce rozpiski za cały przepracowany okres. Ustawa jedno, biurokracja drugie, zła wola urzędników trzecie. Nie jest wesoło, więc, jak mówię, tylko śmiechem można minę reperować.

- Czy to, co tutaj pani zarobi, to pani podstawowy dochód?

- Mój, synowej, wnuczka i osiemdziesięciosześcioletniej mamy. Wszystko na moich barkach. Czy raczej pupie. Obolałej od tego siedzenia, choć kurtką grubą gąbkę przykrywam.

- Niech pani powie szczerze: zawsze się pani modli ściśle wedle zaleceń klienta?

- No wie pan!? Jestem uczciwą osobą, a nie jakąś rumuńską żebraczką, które oszukują ludzi, kłamiąc o swojej biedzie i nieszczęściach. Pełno tu ich w ciągu dnia.

- Panią też zaczepiają?

- Niechby która spróbowała! Łażą, jęczą i biadola, że na chleb czy chore dzieci, a ich mężowie w parku przy fontannie popijają piwo. Złodziejstwo, proszę pana. Ja modłę się w konkretnych sprawach na konkretne zamówienia. To fakt, że honorarium wyznacza klient nie zawsze kojarzący wysokość opłaty ze skutecznością modlitwy, ale to już jego sprawa. Nie będę przecież wywieszać cennika. Tych pełno na dziedzińcach klasztornych. Do mnie idą ci, którym tamtejsze ceny nie pasują albo ich po prostu nie stać. Ja z nich nie zedrę. A Maryja wysłucha każdego. Zwłaszcza mnie, która jestem tu na stałe, pod ręką niejako. Ma mnie w swojej opiece.

- Nie pomyślała pani, że gdyby się nieco bardziej postarała, mogłaby pani tę rentę załatwić? Nie musiałyby pani, jak sama pani mówi, na gąbce nie na gąbce, ale jednak pupy wysiadzać.

- Eee, a co ja bym robiła? W domu siedzie... yyyy... mówiłam przecież, że jestem bezdomna. Na ławce równie twardo. Oj, przepraszam, widzi pan tę tam po lewej? Sięga do torebki. Mam klientkę.

Jak podejrzewałem (a szczegółów dowiedziałem się nazajutrz u konkurencji), zgromadzone fundusze pani Halina bez reszty przeznaczają na dobroczynność wobec siebie, czyli na gorzałkę. Wprawdzie test zapachowy przewidywał taką opcję, lecz udawałem, że wierzę w to, co miała mi do powiedzenia. Jak mówiłem: „Słowa tworzą cuda, wiara tylko nadzieję”. Słowa pani Haliny aż nadto zdały się świadczyć o nadziei, iż jej klienci wierzą w cuda. Mnie, ma się rozumieć, nie pomijając.

Andrzej Niewinny Dobrowolski



Fotografia ze zbiorów Autorki.

Agnieszka Jarzębowska

Sezon grypowy

W piątkowy* wieczór już miałam dać
się grypie,
myślałam: Ledwo dzisiaj zipię.
Lecz telefon mnie wyrwał z pościeli,
jakaś impreza beze mnie zaczęła.

I w słuchawkę nadali:
- Długo będziem na ciebie czekali?
Dziś wam zdradzę: Na chrypkę
dobrze sobie zaaplikować bibkę.

**dzień tygodnia wstawiać w zależności od potrzeb*

Życzenia noworoczne

Obyśmy mogli wiecznie
czuć się świątecznie.

O jednym

Ile jest wart - pokaże.
Szkoda, że tylko szantażem.

Praca zmianowa

Pracowała ciągle na zmianę;
między wieczorem a ranem.

Wirtualne uczucie

Zadaję kłam
słowu SPAM.

Apel do niedokładnych

Brak precyzji
do rewizji.

Przez skórę

Czuję czasem przez skórę,
że niektóre słowa
nie przejdą mi przez klawiaturę.

Zalecenia terapeuty

Proszę od dziś wypierać
wszystkie złe myśli
tam, gdzie dwa zera.

Kiedyś i dziś

Od wieków kościół obrastał kramem.
- A dziś?... - Tym samym.

Polak do Polaka

- Nie ma co zwlekać.
- Pora narzekać.

Agnieszka Jarzębowska

FOTOgaleria



Stary fotograf strażnik czasu (foto: Janusz Mielczarek)